

NICOLE AVRIL

**Taniec
na diabelskiej skórze**

**Tłumaczenie
MAREK PUSZCZEWICZ**



**KRAJOWA AGENCJA WYDAWNICZA
WARSZAWA**

Widział wokół niej jedynie bałagan. A jednak pewnego rodzaju spójność ukazywała się pośród tego całego chaosu, jak gdyby ktoś usiłował zamknąć wszystkie wyjścia. Od podłogi do sufitu wznosiły się stosy akt, groźnie nastroszone tekturowymi teczkami. By wzmocnić trwałość fasady, w szczeliny powtykano gazety i magazyny. Inne, bardziej dziwaczne przedmioty wślizgiwały się w szparki i pozwalały, by z całej tej magmy wylaniały się ich niewielkie oznaki: kawałek rękawa, wstążka po jakimś dawnym prezencie, wyszczerbiona krawędź spodka. Młoda kobieta odwróciła się plecami do tego stosu, który w dwóch trzecich przesłaniał szerokie okno.

Ledwie przekroczył próg, ona natychmiast dostrzegła jego zdziwienie i dała po sobie poznać, że ją to rozdrażniło.

- Okna, które się nie otwierają, to żadne okna - rzuciła w jego stronę tytułem usprawiedliwienia. - Mój stary, będzie się pan musiał do tego przyzwyczaić. W tym mieście człowiek nie ma wyboru. Początkowo ja też się dusiłam. Kilka razy dziennie miałam ochotę za wszelką cenę odblokować te przekłete szyby. Powietrza, powietrza! A później, jak wszyscy, nauczyłam się oddychać w rytm klimatyzatorów. Teraz czuję się dobrze w mojej kryjówce. Widzi pan, nawet kiedy zjeżdżają wzdłuż zewnętrznej ściany, żeby umyć okno,

nie udaje im się rzucić okiem do mego biura. Krótko mówiąc, jest jak jest!

Rozcapierzywszy palce zanurzyła obie dłonie we włosy, których nieład odpowiadał miejscowemu bałaganowi.

- Nie będzie pan chyba tak stał przede mną jak wrośnięty w ziemię - dorzuciła, przymknąwszy oczy. - Proszę to postawić i nie wracajmy do tego.

Chodziło o metalowe pudła. Musiały zawierać filmy i leżały ułożone w stos na fotelu, na ogół przeznaczonym dla gości. Sygnał telefonu, na który młoda kobieta odpowiedziała natychmiast, żonglując angielskim i francuskim, pozwolił nowo przybyłemu na wykonanie polecenia i zachowanie milczenia.

W chwili obecnej nie interesował się już dekoracją, lecz kobietą, od której zależało jego życie. Przypomnił sobie słowa przyjaciela: „Ostrzegam cię, że szefowa F.M.O. jest bardzo ładna. Nie wygłup się.” Nie było takiego niebezpieczeństwa. Potrzebował tej roboty za wszelką cenę. Jeszcze kilka miesięcy spędzonych na cmentarzu King David, na przycinaniu trawników latem i tłuczeniu lodu na pokrytych złotem grobach zimą, a stałby się bardziej sztywny niż ci nieboszczycy, których grobów nie miał najmniejszej ochoty pielęgnować przez okrągły rok. Tym bardziej, że zwolniono go dwa tygodnie wcześniej i, jeśli nawet nie żałował swej poprzedniej pracy, wiedział, że z oszczędności nie wyżyje przez dłuższy czas. Rady przyjaciela były zbyt cenne. Miał zamiar być ostrożny jak kobra.

- Elvire, ludzie z ekipy pytają, czy będą ci potrzebni jutro rano.

Jakiś ciemnowłosy mężczyzna wsunął głowę przez uchylone drzwi. Elvire kontynuowała rozmowę telefoniczną. Mężczyzna przeprosił i zaczął iść na palcach. Dała mu znak, żeby podszedł. Lewą dłonią młoda kobieta zatykała słuchawkę, a prawą odsuwała ją od siebie. Marszczyła brwi

w taki sposób, że tworzyły one linię prostą pod wypukłym, wysokim czołem. Rzeka do mężczyzny, który nachylał się do niej.

- Czy ich będę potrzebowała? Oczywiście, że ich będę potrzebowała! Jutro wszyscy o dziewiątej w tym samym miejscu. To stanowi część umowy, a oni dobrze o tym wiedzą. Zgoda, Georges?

Tamten natychmiast odszedł, nadal na palcach, a Elvire z radością podjęła rozmowę telefoniczną.

Gość nigdy nie widział tak białej skóry. Jej biel nie miała w sobie nic nadzwyczajnego, to jej przezroczystość go fascynowała. Jak można było żyć, poruszać się, wydawać polecenia, mijać nieznanym, kierować F.M.O. ukazując swe odkryte ciało? Gdyż skóra tej, którą nazywano Elvire, nie dodając do jej imienia słówka „pani”, „panna”, czy jakiegokolwiek nazwiska, pozwalała na oglądanie wymykających się z turkusowej sukienki bez rękawów, długich, bardzo szczupłych ramion, których uczepiły się błękitne żyły. Być może nie odznaczały się bardziej niż u innych, lecz bladość i cienkość skóry, zamiast skrywać przed spojrzzeniami, podkreślała je na przekór złudnym rysunkiem. Był to, rzecz by można, wynaturzony bluszcz, którego liście, nazbyt długo pozbawione blasku słonecznego, w niezrozumiały sposób zabarwiły się na niebiesko. Kiedy Elvire śmiała się - Elvire śmiała się często, razem z tamtym, na drugim końcu sznura - pasożytnicza roślinność wczepiała swe pnącza wzdłuż jej szyi, aż do skroni. Widać było, jak zwłaszcza z prawej strony, nabrzmiewa coś w rodzaju pączka, gotowego do rozpęknięcia pośród zmarszczek jej spojrzenia.

Z lęku, aby nie uprzedziła jego myśli, choć miała na wpeł przymknięte powieki i nawet zapomniała o jego obecności, gość wstydliwie spuścił oczy. To co dostrzegł pod biurkiem wcale go bardziej nie uspokoiło. Była bosa, bez butów i pończoch, a jej nogi skrzyżowane pod turkusową sukienką, zadartą do połowy uda, były jeszcze bledsze od ramion. Pod

lewym kolaniem widniała mała, niebieska plamka, jak ślad wewnętrznego kwitnienia.

Jej śmiech pozwalał nikłemu blaskowi przefiltrować się przez powieki. Górna warga zawijała się na różowym dziąśle i maleńkich, szpiczastych kłach małego drapieznika.

- Dobrze, ale to nie wszystko - powiedziała odkładając wreszcie słuchawkę - co pan umie robić?

Już miał odpowiedzieć, gdy ona zaczęła przekładać akta walające się po stole. Jednym ruchem dłoni, co bez wątpienia graniczyło z cudem, odnalazła list, który napisał kilka dni wcześniej.

- To bardzo ładne, co pan mi tu opowiada. Lecz dyplomy mnie nie obchodzą. Ja potrzebuję kogoś, kto umie prowadzić i dobrze zna miasto.

- Umiem prowadzić i znam dobrze miasto - odparł łagodnym głosem, któremu usiłował dodać stanowczości.

- Tak, tak, wszyscy tak mówią. Ma pan chociaż papiery w porządku?

- Oczywiście.

Przebiegała wzrokiem podanie, a pod biurkiem bujała nogą przyozdobioną niebieską plamą. Zapewne musiała się uderzać o rogi wszystkich mebli. Zdało mu się, iż dostrzega w niej jakąś kruchość. Czyż przejrzystość skóry nie wystawiała jej na wszystkie niebezpieczeństwa? Absurd. Czy to nie on przecież przyszedł do French Movie Office błagać o bliżej nieokreśloną pracę szofera-gońca? On zaś litował się nad losem szefowej, pięknej, młodej kobiety, której natura zdawała się być całkowicie nieprzystosowaną do tego miasta, być może nawet do tego życia. Tylko się nie wygłup, powiedział kumpel i pomimo tych zaleceń, on już wyobrażał sobie jak kieruje krokami Elvire, by jej oszczędzić uderzania się o meble.

- Pana adres - rzekła nagle, nie przestając wymachiwać przed sobą pismem jak wachlarzem - jest waszyngtoński. Nie rozumiem. Ożenił się pan w Waszyngtonie. Mieszka pan

w Waszyngtonie. O co panu chodzi? Przecież nie będzie pan kursował tam i nazad? Potrzebuję kogoś całkowicie dyspozycyjnego.

- I ja taki jestem.

- Jest pan, jest! Jak pan ma zamiar sobie poradzić? Nie widzę tego.

- Zamieszkać w Nowym Jorku. Zawsze tu chciałem żyć.

Powtórzył „zawsze” i pomimo nacisku jaki położył na ton tej wypowiedzi, widać było wyraźnie, że powtarza słowo dla siebie samego, a nie by przekonać ewentualnego pracodawcę. Noga Elvire już się nie huśtała. Kiedy jej ciało stało się wreszcie nieruchome, spojrzała na niego po raz pierwszy.

- Zawsze? - zapytała, patrząc na niego błękitnymi oczami w sposób dziwnie uprzczywy, dziwnie niejasny.

- Tak, zawsze.

Pomyślał, że właśnie się zdradził. Skoro Nowy Jork był dla niego marzeniem, to znaczyło, że jeszcze nie znał dobrze miasta. Nikt nie każe szoferowi wozić się po mieście ze snów. Jednak młoda kobieta nie usiłowała schwytać go w pułapkę.

- Wszyscy to mówią. Sądzę, że ja sama tak mówiłam.

Zamilkła. W minutę później przeżyła tors, poruszała rękami i nogami, czochrała czuprynę i śmiała się, głośno, z kpiną czającą się w głosie. Emanowało z niej zaraźliwe podniecenie. Przytłoczona ciężarem własnej wesołości, wznosiła teraz ku niemu swe dziecięce spojrzenie.

- Dlaczego? Dlaczego chciał pan przyjechać do Nowego Jorku? - pytała.

- Och, to długa historia... - zaczął.

Szukał słów, wahał się, gładził dłonią swe wełniste włosy.

- Ma pan rację - ucięła mocnym głosem, prostując się nagle. - To trwałoby zbyt długo. Jeśli w ogóle będzie pan tu pracował, będziemy na to mieli mnóstwo czasu. Powiadam: jeśli w ogóle...

Wstała i próbowała wygładzić na biodrach zmarszczki sukienki, która nie sięgała jej do kolan.

- Zostawię pana z moim kolegą. Pomoże mi podjąć decyzję, więc chciałabym, żeby się z panem zobaczył. To jak tam panu na imię?

- Alassane.

- Alassane. Nieźle, Alassane.

Stała przed nim, szczupła, o zgrabnej talii.

- Nie będę ukrywać przed panem, że mam jeszcze jednego chętnego: starszego Francuza. Wszystko to bardzo mnie martwi. Nie mogę sobie uzmysłwić, że pan Martial odjechał. Pan rozumie, pan Martial był kimś więcej niż szoferem, człowiekiem wyjątkowym, moim drugim tatą. W sumie cieszę się razem z nim, chciał odnaleźć swą prawdziwą rodzinę na Haiti. Niegdyś był tam ministrem i musiał pakować manatki. Dzisiaj ma możliwość powrotu. Mój Boże, żeby to się tylko dobrze dla niego skończyło. Tak bardzo lubiłam pana Martiala. Kiedy tu był, nic złego nie mogło mi się przytrafić.

Potem, nie zmieniając tonu, zawołała przez uchylone drzwi: „Georges, chciałabym, żebyś przyjął Alassane'a!”

Nadal była bosa, wychylony tors utrzymywała w równowadze jedną nogą, zaś głowę pochłonał korytarz. Usłyszała odpowiedź tego, którego wołała: „Natychniast, natychniast, Elvire. Powiedz mu, żeby do mnie przyszedł.” Alassane już stał, kiedy cała gama okrzyków dobiegła z korytarza. Elvire rzuciła się w ramiona mężczyzny o bardzo jasnych włosach.

- Sébastien, Sébastien - wołała. - Przecież to nasz wspałały Sébastien, wielki fryzjer z SoHo! Co ja mówię? SoHo? Największy na całym Manhattanie! Sébastien, tak się cieszę, że cię widzę!

Całowała go i muskała czubkiem palca zarys jego cienkich wąsów.

- Widziałeś moje włosy? - pytała nie zmieniając tonu.

- Katastrofa! - odpowiedział jasnowłosy Sébastien.

- To jego maniera - mówiła Elvire, biorąc natychniast na

świadków Georgesa i Alassane'a. - Tak się właśnie pozna-
liśmy, znieważył mnie już na pierwszym spotkaniu.

- Nie martw się, jakoś to poprawię. Gdzie siadamy?

- Chodź - odrzekła - zrobisz mnie na bóstwo. Jutro przy-
jeżdża Truffaut. Muszę jakoś wyglądać.

Georges zaciągnął Alassane'a do swego biura. W kilku zdaniach wykluczył kandydaturę starszego Francuza. Potrze-
bował młodego i silnego chłopaka, który mógłby się obła-
dować ciężkimi pakunkami, lecz również ma mówić po fran-
cusku, po angielsku oraz służyć za przewodnika po Nowym
Jorku gościom i ekipom zdjęciowym.

Georges zapewniał, że jest to praca jednocześnie pasjonu-
jąca i delikatna. Wszystkie wielkie nazwiska kina francu-
skiego lądowały w Nowym Jorku z żądzą podboju, lecz
miasto stawiało opór, którego tamci nie przewidzieli, lub, co
gorsza, pozostawało obojętne. Wówczas trzeba było pocie-
szać, schlebiać, szukać rozrywek dla gwiazd zepchniętych do
poziomu zwykłych śmiertelników, po tej stronie Atlantyku.
By ich ukoić nie było nic lepszego od pięknej, białej limu-
zyny z czarnym szoferem.

Georges mówił konfidencyjnie, tonem uporczywej
poczciwości.

- Wie pan, nie jesteśmy zwolennikami niewolnictwa -
mówił, a Alassane myślał, że po raz pierwszy od chwili gdy
przekroczył próg biura French Movie Office, czyniono
aluzję do koloru jego skóry. - Czarny, czy biały, dla nas to
wszystko jedno - ciągnął Georges ze wzruszającą staranno-
ścią.

Ten recital wymuszony przez sumienie wyzwalał w Alas-
sane'ie ochotę do śmiechu. Jednak było to lepsze od zniewag
wygłaszanych przez okrągły miesiąc przez red-necka, który
panował nad martwymi duszami na cmentarzu King David.

- Jesteśmy braćmi, nieprawdaż? - powiedział Alassane ze
śmiechem, który nim wybuchnął w ustach, drapał go w głębi
gardła...

Był to śmiech, jaki on sam nazywał śmiechem afrykańskim. Sposób obrony i głośnego oznajmienia, że nie jest się znowu takim głupcem.

- O.K., O.K. - przytaknęła Georges, częstując go solidnym kuksańcem w plecy. - Zostaniemy parą prawdziwych przyjaciół. Zaczynasz od przyszłego poniedziałku.

Przy wejściu do biura, Elvire rozciągnięta w klubowym fotelu, z głową odrzuconą do tyłu śpiewała „Bye, bye, Baby”, podczas gdy Sébastien cieniował jej jasne kosmyki. Włosy padały wokół niej na wykładzinę.

- Przypuszczam, że nigdy się z tego nie otrząsnę - mówiła.

- Z czego? - pytał Sébastien.

- Ze śmierci Janis Joplin.

Alassane szedł po Avenue of the Americas w kierunku parku. Powtarzał sobie, że to właśnie było z pewnością środowisko show-biznesu i, że wzięwszy wszystko pod uwagę, miał szczęście wejść w nie niecały rok po przyjeździe. Jesień była prawdziwą porą początków. Szedł zbyt szybko i w pośpiechu zdarzało mu się roztrącać mijanych przechodniów. Całe miasto było ciepłe i wilgotne, coś jakby gigantyczna pralnia, w której wszystkie bębny pracowały na pełnych obrotach. Lubił tę wilgoć. Lubił to życie, które zdawał się dostrzegać przed sobą. Z radości mógłby bić skrzydłami.

Biały cadillac był domem Elvire. Za zasłoną przydymionych szyb mogła robić wszystko i tego sobie nie odmawiała. Gdy była sama z Alassane'em, najczęściej siadała z przodu, obok niego. Lecz czasami wślizgiwała się na tył, by tam lepiej oddać się swym zajęciom. Jeśli oznajmiała: „dziś wieczór będziesz udawał czarnego szofera”, to oznaczało, że wybrała otchłanie tylnego siedzenia. Wówczas Alassane przytrzymał jej drzwi i kłaniał się z udaną uniżonością.

„Głupiego czarnego szofera!" - wykrzykiwał, a z głębi gardła dobywał się jego afrykański śmiech. „Niech będzie, że głupiego. To będzie jakaś odmiana po tych wszystkich znanych i nieznanach geniuszkach. Dorożkarzu, trzaśnij z bata!" - wołała, gdy limuzyna sunęła w ciszy i nabierała kosmicznej prędkości, natychmiast hamowanej przez czerwone światło lub korek. Cadillac, luksusowy i tajemniczy okręt, musiał tłumić swą niecierpliwość i pozwalał się unosić pomiędzy szklanymi skałami fali powolnej i gęstej. Alassane starał się nie wymusić na nim żadnego gwałtownego ruchu, by nie przeszkodzić Elvire w makijażu. Ona zaś zonglowała po omacku ołówkami i tubkami, rzucając okiem w lusterko jedynie po to, by dokończyć dzieła, gdy cienie starły z jej twarzy ostatni refleks dzieciństwa.

Alassane czuł, że poruszenie za jego plecami wzmagало się. Skorzystał z tego, by przekręcić lusterko wsteczne i zmusić obraz Elvire do zniknięcia z jego pola widzenia.

- Ależ jesteś wstydlivy! - mawiała. - To natura twoja, czy Afryki?

- Nie wiem, być może obojga.

Elvire już zadawała pytania tego rodzaju w tydzień po przybyciu Alassane'a. Przyjechał po nią do domu i gdy zadzwonił do drzwi, przyszła mu otworzyć odziana w maleńkie figi, których przezroczystość kiepsko skrywała jej żółte runo. Zaskoczony tym widokiem cofnął się, a ponieważ wyglądał na zdecydowanego na przechadzkę po korytarzu, by pozostawić jej czas na ubranie się, ona zakpiła: „To z pewnością dlatego Pan Bóg dał Senegalczykom tak czarną skórę. Żeby nie można było zgadnąć kiedy się rumienia."

Nawet jeśli obraz Elvire zniknął ze wstecznego lusterka, Alassane z łatwością wyobrażał sobie przebieg operacji. Elvire ściągnęła sweter, później słyszał jak myszkuje w barku cadillaca i przestawia butelki. Cichy, przenikliwy okrzyk, który towarzyszył dźwiękowi syfonu, jasno wskazywał, że

Elvire właśnie zraszała sobie pachy i pierś wodą selcerską. Po westchnieniu ulgi i przerwie, jak gdyby wreszcie udało jej się podsumować jakieś dłuższe rozumowanie, powiedziała:

- Rozumiem co czujesz. Pewnego dnia zrobiłam wypad do Queens i widziałam czarną kobietę, która w ataku szału przechadzała się nago po chodniku, zanim nie zabrała jej policja. Pamiętam, że nie było w niej nic nieprzyzwoitego. Jej skóra była takim ostatnim ubraniem. Choć naga, zdawała się ubrana. Pomyślałam, że biała byłaby o wiele bardziej szokująca. Bładość jest bezwstydna. Nie uważasz?

- Biała reprezentuje w oczach pani cywilizację, podczas gdy czarną wyobraża sobie pani nagą, pośrodku sawanny. Na chodniku w Queens powraca ona do tego, co pani uważa za jej prawdziwą naturę i tyle.

- Mimo wszystko nie jestem aż tak głupia - odparła szeleszcząc papierami.

- Dla pani czerń jest odzieniem - uśmiechnął się Alassane. - Tak przynajmniej twierdzą wasi najwięksi krawcy.

- W ogóle nie rozumiesz tego co chcę powiedzieć - jęknęła. - Nikt mnie nie rozumie! I czemu, do diabła, uparcie mówisz do mnie „pani“?

- Z przyzwyczajenia.

- Zbyt szybko nabierasz przyzwyczajień! Czego ci trzeba byś się zgodził mówić do mnie ty? Rozkazu?

- Być może.

- Począwszy od dzisiaj zabraniam ci mówić do mnie „pani“.

- Czarny szofer zawsze jest posłuszny wielkiej, białej pani!

Dla zgiełku owej szóstej godziny biały cadillac stanowił najtrudniejszą do przebycia zaporę. Kabina była odizolowana od świata. Nic już nie docierało do kierowcy i jego na

wpólnagiej pasażerki. Ani dźwięk, ani zapachy, ani ciepło, ani zimno. Byli sami w oku cyklona. Elvire przystąpiła do swej intymnej toalety, podczas gdy tuż obok niej przemykały inne karoserie. Motocykliści o odznaczających się pod koszulkami muskułach zrównywali się na moment z cadillakiem, piesi omijali samochód, cała ludzka masa mrowiła się wokół nich. Pasażerka pozostawała niewidoczna we wnętrzu swego klimatyzowanego pudełka.

Ze swych licznych pakunków wyciągnęła sukienkę i buty. Toaleta dobiegła końca.

- Tutaj - komentowała - można przeżyć tylko wtedy, gdy człowiek jest zdolny przystosować się do wszystkiego. Mówię wyraźnie „przystosować się”, nie „przyzwyczaić”. Przyzwyczajenie to śmierć. Kiedy przybyłam do Nowego Jorku, przez pierwsze dwa tygodnie dawałam się zamknąć w kościołach, żeby tam spać aż do rana. Mogłam przeprowadzić analizę porównawczą różnych ławek, ze szczególnym uwzględnieniem wyściełanych w Saint-Thomas. Nawet dzisiaj mogłabym spędzić noc na pętli autobusowej Greyhounds, mimo, że wołę poduszki w cadillaku.

Trzaskając drzwiami cicho rzucał do siebie samej:

- Wszystko, byle tylko nie wyjeżdżać.

- O której mam po ciebie przyjechać? - zapytał skupiwszy się na tym, żeby mówić do niej ty.

- Zadzwoń do ciebie. Jeśli będziesz w domu - tym lepiej, jeśli nie - trudno.

Oddalała się szybkim, nerwowym krokiem, przyciskając do zagłębienia w talii bezkształtną torebkę. Zdawała się iść na ślepo z pewną ciekawą determinacją. Na uczucie, że zawsze musi przeć naprzód nakładało się u niej inne, że nigdy nie ma nic do stracenia. Alassane wstrzymywał się z odjazdem aż do chwili, gdy zniknęła pod markizą. Nawet jeśli mu mówiła dokąd chodzi i kogo spotyka miał wrażenie, iż umykając przed jego spojrzeniem przepycha się przez świat, którego on nie był w stanie sobie wyobrazić. Dzwoniła do niego

w środku nocy prosząc, by ją zabrał spod adresu całkowicie różnego od tego, pod jakim ją zostawił na początku wieczora. W głosie Elvire było coś odległego i błagalnego. „Jeśli to dla ciebie duży kłopot, wezmę taksówkę”, mówiła. Czuł, że potrzebuje go, by znów móc postawić stopę po tej stronie świata.

Przybiegał niepokojąc się co zastanie. Kulila się z zimna w wejściu do budynku. Na widok białego cadillaca natychmiast się prostowała. Jej wygląd już nie wyrażał najmniejszego zmęczenia. Siadała obok niego. Po makijażu nie pozostawał najmniejszy ślad. „Jedź, jedź”, powtarzała. „Tak bardzo kocham noc.” Udawała, że przeprasza za kłopot, po czym wskazywała palcem różne rzeczy, których urodę zdawała się odkrywać. Na tylnym siedzeniu leżały starannie złożone przez Alassane'a ubrania, które Elvire porzuciła kilka godzin wcześniej.

Nie wydawała poleceń. Mówiła: potrzebuję ciebie. Było jasne, że na taką prośbę Alassane odpowiadał w każdym miejscu i o każdej porze. Zawdzięczał jej pracę, a ona nie skąpiła mu swego wsparcia w wielu okolicznościach. Kilka dni po rozpoczęciu pracy w F.M.O., kiedy miał zawieźć na plan francuskiego reżysera zgubił się w Bronxie. Jeśli nie całkiem skłamał twierdząc, że zna Nowy Jork, zapomniał uściślić, iż poza Manhattanem był jak na obczyźnie. Po długim błakaniu się pośród nędznych dekoracji udało mu się wreszcie dowieźć swego pasażera na miejsce pracy. Nie szczczędający drwin technicy amerykańscy czekali od ponad godziny na Francuzika, który nie był nawet w stanie przybyć na czas. Wieczorem reżyser przelał złość z całego dnia na Elvire. Alassane słyszał jak tamten krzyczał: „To wszystko przez tego kretyńskiego Senegalczyka! Zrobiłaś błąd zatrudniając go. Ale stało się! To teraz wywal go szybko na bruk!” Nie zdołał odgadnąć odpowiedzi Elvire, lecz kilka minut później poszła na kolację z reżyserem, który wyglądał jakby się całkiem uspokoił. Nazajutrz rano, nie chcąc więcej

sprawić kłopotów Elvire, Alassane zaproponował jej swoją dymisję. „Ten facet oszalał, oszalał”, zakrzyknęła biorąc na świadka wyimaginowaną publiczność. „Następnym razem przed wyruszeniem przestudujesz plan. Co do reszty, to ja tu decyduję, a nie ci przelotni panowie. Ja cię zatrudniłam, a ty musisz mi udowodnić, że tego dnia nie popełniłam życiowej pomyłki.”

A jednak to co odczuwał nie było wdzięcznością. Handel uczuciami nie odpowiadał mu: ty mi dałeś to, ja ci zwracam tamto. Kiedy wieczorem w swoim maleńkim mieszkanku w Columbus Alassane myślał o Elvire, do głowy przychodziło mu tylko jedno określenie: to cudowna kobieta. Nie próbował nawet szukać powodów swego entuzjazmu.

Już od wczesnej młodości pokładał nadzieję w Ameryce, a los sprawił, że znalazłszy się wreszcie w Nowym Jorku trafił do pewnego rodzaju francuskiej enklawy. Odnalazł tu to, co tam odrzucił. Francja to była kolonialna przeszłość, on zaś wierzył, że uda mu się przed nią umknąć wybierając Amerykę. Jego przyjaciele wyjeżdżali na studia do Paryża. On chciał przekroczyć Atlantyk. Wszystkie niegdysiejsze wycieczki wiodły go do wioski Soumbédioune. Z wysokości urwiska obserwował rybaków wypływających za mierzeję i obiecywał sobie, że pojedzie dalej niż oni. Ten wysunięty w morze skrawek ziemi na zachodnim krańcu senegalskiego wybrzeża służył jego marzeniu za trampolinę. Będąc dzieckiem przychodził tu w gromadzie wraz z matką, braćmi, siostrami i wszystkimi sąsiadami. W burzliwe wieczory należało uciszyć Mami Wata. Wówczas każdy przynosił swego obola dla morskiej boginki. Mała rączka Alassane'a ciskała w fale kilka orzeszków ziemnych. Wtedy jeszcze wierzył, że boginka o sześciu ramionach przyjmie z wdzięcznością jego ofiarę. Mami Wata miała ciało syreny. Zamiast naszyjnika nosiła węża. Jej gniew potrzęsał falami i sprawiał, że tonęły statki. Kiedy już w nic nie wierzył, nadal

wsuwał do kieszeni kilka orzeszków przed wyruszeniem do Soumbédioune. Prosił Mami Wata, by jakaś fala uniosła go na inny kontynent. Jakże mogłaby pozostać nieczuła na tę modlitwę, którą wyszeptywał z zapalem dokładnie w tym miejscu, gdzie Dakar zbliża się najbardziej do Nowego Jorku?

Lecz przed wielkim rejsem na jego drodze było jeszcze wiele zakrętów. Najpierw opuścił Dakar i kraj Wolofów udając się na Wybrzeże Kości Słoniowej. Następnie w Abidżanie udało mu się zaangażować jako tłumacz w Siłach Pokojowych stworzonych dziesięć lat wcześniej przez Kennedy'ego, pragnącego włączyć Amerykę do rozwoju Afryki. Odkrywał literaturę poprzez Richarda Wrighta i Jamesa Baldwina. Czarni Amerykanie mówili mu o Malcolmie X, który odrzucił swe niewolnicze nazwisko, o Black Muslims i mrocznym Harlemie, nędznym, lecz żywym, bardziej szarpanym w owych latach przez rewolty niż Mami Wata przez sztormy. W 1974 wraz z nimi oglądał w telewizji Mohammeda Ali z Joe Frazierem. Po raz pierwszy obrazy z Kinszasy były retransmitowane bezpośrednio przez satelitę do różnych krajów afrykańskich.

Z jednego krańca czarnego lądu na drugi noc wibrowała od jednogłośnej modlitwy wszystkich ludzi. Ich mistrz powinien zwyciężyć i wznieść się nad sawanną jak bóg-baobab. Wszędzie śpiewano refren zairskiej piosenki: „Ali boumaye, Ali boumaye. Ali zabij go, Ali zabij go.” Walka stała się mityczna. To już nie byli tylko dwaj pojedynkujący się mężczyźni, lecz Ameryka czarna rzucająca się do gardła Ameryce białej, czarni całego świata potykający się z białymi w niezwykłej walce. Figury w tej partii szachów były nie z kości słoniowej, czy z drewna, lecz z ciała, z muskułów i krwi. Szachownica była na miarę świata, a czarne bóstwo obdarzone wszelką urodą.

Mohammed Ali odmówił wyjazdu do Wietnamu. To nie była jego wojna. Toteż zabroniono mu występów na ringu

przez trzy lata. Gdy powrócił na arenę Joe Frazier pokonał go. W Kinszasie miał się odbyć rewanż. Miał należeć do czarnego ludu.

Kiedy o trzeciej nad ranem, w trzeciej rundzie Frazier padł na skutek K.O. wszyscy Murzyni powstali. Był to afrykański triumf. Jak niegdyś na plantacjach Południa świat białych stracił prawo bytu. Nocą niewolnicy stawali się panami dzięki swym rytuałom, a ich właścicielom pozostawał jedynie niewidoczny żywot fantomów. Siła była dana tym, którym udało się zachować sekretną więź z ziemią.

Noc to był jeden wielki zgiełk. Mała Holly, która obgryzła paznokcie aż do krwi w oczekiwaniu na walkę, rzuciła się w ramiona Alassane'a. Spoczywała w nich nadal gdy nastał świt.

Holly mieszkała w Waszyngtonie, a przybyła na Wybrzeże Kości Słoniowej wraz z Siłami Pokojowymi. Jej rodzina - jak sądziła - pochodziła z Gambii, lecz jej bardzo jasna skóra świadczyła o licznych mieszkankach. Opowiadała mu o Waszyngtonie, gdzie żyła, zaś Alassane wypytywał ją bez przerwy o Nowy Jork, który ledwo знаła.

Kilka tygodni po zwycięstwie Mohammeda Ali wybrali się razem do Yamoussoukro, do wioski prezydenta Houphouët-Boigny. Niedaleko drzewa, w wodach sztucznego jeziora pluskały się krokodyle. Tam właśnie Alassane zapytał Holly, czy pewnego dnia zgodziłaby się wyjść za niego za mąż.

Z land-rovera wysiadło dwóch służących z pałacu prezydenckiego, odzianych w kwieciste bubu. Jeden z nich niósł wiadro wypełnione po brzegi kawałkami mięsa, drugi - czarnego, żywego kurczaka.

- Tak bardzo kochasz Amerykę, że aż chcesz się ożenić? - zapytała Holly z roześmianymi oczami.

- To ciebie kocham - zapewniał Alassane.

- No, powiedzmy mnie i Amerykę.

Codziennie o piątej krokodyły tłocząc się i ocierając łuskami gromadziły się w oczekiwaniu na rytualną ofiarę. Ich nozdrza wystawały z wody, a wyłupiaste oczy wpatrywały się w pustkę.

- Zgoda, pobierzemy się - powiedziała Holly.

W jej sposobie mówienia, śmiania się, jedzenia, ubierania, Alassane widział Amerykę. Lubił jej ciało nieco zbyt krągłe. Chciał, żeby otworzyła przed nim przyszłość. Dzięki niej mógł jechać do Stanów Zjednoczonych do pracy.

Służący rzucali kawałki mięsa, które totemiczne krokodyły napinając z wysiłkiem kostropate grzbiety, coraz bardziej wybałuszając nieruchome oczy niezgrabnie chwytaly. Paszczyki miażdżyły baranie serce i rozwierały się ukazując krwawą miąższ. Z ostateczną ofiarą wstrzymywano się aż do chwili, gdy apetyty były już prawie zaspokojone, by wykazać, iż nie chodziło jedynie o karmienie zwierząt, lecz o odkrycie świętego związku łączącego składającego ofiarę, Prezydenta, z tymi, którzy ją przyjmowali, ze zwierzętami równie niebezpiecznymi w wodzie jak i na lądzie. Tak więc jeden z mężczyzn w kwiecistym bubu rzucił czarnego kurczaka w kierunku najstarszego krokodyła. Żle wycelował i ptak, który trzepotał skrzydłami wylądował na grzbiecie kajmana. Jakiś młodszy krokodyl pochwycił go natychmiast, rozszarpał zębiskami jak piłą i pochłaniał drgające zwłoki. W trakcie przełykania kilka czarnych piór wypadło pomiędzy szczęk królewskiego zwierzęcia.

Alassane i Holly powrócili do Abidżanu popędzani przez harmattanę, suchy wiatr nadciągający z Sahary, który pędzi piasek północy aż do oceanu. Kilka tygodni później pobrali się nie zawiadamiając rodzin, tak że na całą ceremonię składało się jedynie kilka tańców w mesie Sił Pokojowych. W Dakarze świętowanoby radośnie przez tydzień, a rodzice pana młodego przybyliby z interioru. Lecz Dakar oddalał się coraz bardziej i Alassane czuł, że chwila wielkiego odjazdu miała wkrótce nadejść.

Najpierw wyjechała Holly. Alassane pozostał przez jeszcze jeden rok w Afryce, żeby zgromadzić pieniądze na podróż i by było z czego żyć w oczekiwaniu na pracę. Nigdy nie kochał bardziej swej żoneczki, jak tego roku. Pisywała do niego z Waszyngtonu, a każdy z tych listów coraz bardziej wzmacniał sznur, który mu rzucała z drugiego brzegu, a który miał go przeciągnąć aż na nowy kontynent.

Teraz, gdy Alassane mieszkał już w Nowym Jorku wcale nie miał uczucia, iż dotarł do kresu swej podróży. To co go zawsze skłaniało do patrzenia poza linię horyzontu, podsuwało mu teraz chęć na poznanie wszystkiego, na odkrycie wszystkiego. Chciał pożerać, pożerać bez ustanku szkło, stal i chmury.

Kiedy Holly go odwiedzała, dziwił się widząc, jak jest wylękniona w tym mieście. Nie chciała wystawiać nosa na zewnątrz. „To dla ciebie tu jestem. Mam gdzieś Nowy Jork.” Przemieszczała się pomiędzy fotelem a łóżkiem. Przez swoją pasywność pragnęła wyrazić dezaprobatę. Gdzież się podziela ta niegdysiejsza Holly, ta, której uczucie sprawiało, że kora pękała, ta, która obgryzała palce modląc się o zwycięstwo Mohammeda Ali, ta, która sama pojechała do Gambii na poszukiwanie swych przodków, ta, która hałaśliwie przeżywała rozkosz w jego ramionach i płakała nad losem swych czarnych sióstr, którym usunięto łechtaczkę?

Kiedy on jechał do Waszyngtonu było jeszcze gorzej. Zapraszała po kolei całą rodzinę. Każdy przychodził z prezentem, jakby nadeszła pora na świętowanie definitywnego powrotu Alassane'a. Holly mawiała, że dziecko w niczym by nie przeszkadzało. Jej matka mogłaby pomóc w wychowaniu go. Zamieszkałaby razem z nimi w małym domku za miastem. Alassane odpowiadał, że na pewno spóźni się na pociąg, jeśli dłużej zostanie. Po przybyciu na Pensylvannia Station biegiem pokonywał Ósmą Aleję w kierunku Columbus. W chwili, gdy dostrzegł po swej lewej wielkie płachty

plótna na wprost Central Parku, łapał wreszcie oddech i zwalniał krok.

Odkrywał, że ludzie i miejsca zmieniają się wraz z oświetleniem i kątem odbicia. Niegdyś Soumbedioune stanowiło wyłącznie podłoże jego marzeń. Nie mogąc dojrzeć co go otacza, Alassane dostosowywał się do tego, co było daleko. Soumbedioune. Soumbedioune. Ileż razy powtarzał te sylaby? Przemykały między jego wargami jak samolot, który pewnego dnia miał go porwać w chmury. Wtedy Soumbedioune zniknie na zawsze. Teraz dziwił się, że rybacka wioska wraz z odległością nabrała tak wyraźnych rysów. Kiedy wielkimi susami przebiegał ulice Manhattanu w uszach miał szum wielkich fal z dzieciństwa. W Chinatown zdarzało mu się zatrzymywać przy jakimś wywietrzniku, skąd napływały rybnie wyziewy. Rozkoszny odór sprawiał, iż ponownie wracał do Soumbedioune. Zdawało mu się, że pełnymi płucami wdycha zapach sieci suszących się między chatami. To, przed czym uciekał, opanowało go bardziej niż kiedykolwiek. Niegroźna obsesja.

W krótkim czasie jego miłość do Holly wygasła. Podczas afrykańskiej nocy wzmocniła jego pragnienie Ameryki i od razu między nimi zrodziło się porozumienie dwóch istot równych sobie. Od chwili gdy zamieszkał w Nowym Jorku Holly stała się ofiarą, on zaś katem. Każde spojrzenie było oskarżeniem, każde westchnienie naganą. Holly szczerą, skora do śmiechu otoczyła się murem milczenia. Siedząc pokornie przed telewizorem pochłaniała tony chipsów i pop-cornu. Dłoń przekształcona w ładowarkę wędrowała bez przerwy od wciśniętej między kolana torby do ust. Kochał w niej Amerykankę. I proszę, była nią aż do karykaturalnych rozmiarów. Gromadziła z uporem kilogramy i wymówki.

Wracając z Waszyngtonu Alassane rzucał się do sali gimnastycznej, której lata chwały przypadały na lata trzydzieste i bez końca walił w stary worek treningowy.

Elvire kazała mu wrócić około jedenastej trzydzieści. Tego wieczora miała zjeść kolację w Relais z włoskim reżyserem Riccardem Baldinim. Kuchnia francuska zaczynała zalewać Manhattan i w Relais można było spotkać Europejczyków lękających się uczucia obcości. Zjawiały się tam także amerykańskie gwiazdy o frankofilskim podniebieniu.

Elvire poleciła Alassane'owi zostawić cadillaca na parkingu przy Sześćdziesiątej Piątej Ulicy. Gdyby skończyli kolację wcześniej mieli na niego czekać w samochodzie. Alassane pojmował jej polecenia w pół słowa. O jedenastej trzydzieści wejdzie do Relais. Istniały wielkie szanse, że ich tam nie zastanie. Wtedy miał udać się do samochodu pogwizdując umówioną melodię: „That's my home”, aby zasignalizować swą obecność, następnie zastukać w drzwiczki i zaczekać na odpowiedź z wnętrza. Gdyż Elvire zachowała ze słynnego okresu drive-in zwyczaj przekształcania limuzyny w buduar. Poduszki cadillaca mogły zaświadczyć o witalności szefowej French Movie Office.

Alassane nie cierpiał tej dzielnicy ze wschodniego obrzeża Central Parku z jej pięknymi budynkami zamkniętymi jak sejfy, z portierami o złotych galonach obnoszących się z pogardą maluczkich służących wielkim. Aby dostać się do wąskiego czworoboku ograniczonego z jednej strony Piątą Ulicą i Park Avenue, z drugiej Pięćdziesiątą Siódmą i Osiemdziesiątą Ulicą należało znać hasło, a Alassane'owi obce były uczucia i zwyczaje tubylców. Zaszyfrowane markizy wyrastały z chodników. Wysoko i dumnie rozpiwały sztandary swych klanów, lecz drzwi pozostawały stanowczo zamknięte przed gościem, który nie postarał się o to, by go zaanonsowano. Elegancko uszeregowane drzewka o drobnych listkach zdawały się przyduszone przez tyle luksusu. Zaś w przecznicach tego rezerwatu obracały się w kamień. Dużo dalej, poza Setną Ulicą ludzie tłoczyli się. Na linii uskoku wznosił się szpital „Góra Synaj”. Za nim przecho-

dziło się bez żadnej strefy pośredniej na inny kontynent. Tamten rezerwat nazywał się Harlem.

Stojąc przy barze na Trzeciej Ulicy Alassane jadł hamburgera czekając na nadejście godziny spotkania. Zastanawiał się dlaczego Elvire miała tylu kochanków. Poza tym czy można było używać słowa kochankowie? Jej przygody były tak szybkie i pozostawiały tak mało śladów... Iluż mężczyzn Alassane widział na przestrzeni roku? Nie był w stanie policzyć. Różnorodność i ilość potwierdzała istnienie u Elvire całej gamy upodobań. Pewnego dnia oświadczyła: „W miłości mam piekielnego farta. Mogłabym mieć władzę i szmal. Wybrałam przyjemność.”

Alassane wątpił nieraz, czy aby z tych wszystkich przygód czerpała tyle przyjemności jak twierdziła. Bynajmniej nie dlatego, że objawiała pewne zmęczenie, ale przechodziła od mężczyzny do mężczyzny w sposób tak szybki i mechaniczny, który zdawał się dowodzić, że żaden z nich nie był zdolny wypełnić jej oczekiwań. Być może Alassane usiłował w ten sposób usprawiedliwić szokujące go zachowanie. Najczęściej starał się o tym nie myśleć.

W czasie ich pierwszego spotkania zafrapowała go bledość jej skóry i błękitna siateczka żył na przedramieniu. Oczy Alassane'a usiłowały omijać to ciało, przez którego przezroczystość można było odkryć kilka tajemnic. Teraz, będąc tuż przy Elvire, mogąc wszystko widzieć i słyszeć, powstrzymywał się przed pójściem dalej i oceną jej czynów. Podziw i przyjaźń skłaniały go do zaufania jej we wszystkim. Jakaś mądrość kazała mu sądzić, że jej niekonsekwencja była jedynie pozorna. Czyż własna niewiedza nie skrywała przed nim prawdziwych motywów postępowania Elvire? Ktokolwiek zaryzykowałby najdrobniejszą krytykę pod adresem młodej kobiety, zostałby natychmiast starty na miazgę.

Widział jak Elvire wzbudza pożądanie w każdym mężczyźnie. A jednak nie stosowała żadnego powszechnie znanego wybiegu. Makijaż nie zabierał jej więcej niż pięć minut i nie

było w nim nic z magicznego rytuału. Jej włosy zachowały z dzieciństwa blond kolor i loki. Dotykami sprawdzała ich nieład i czasami powiększała go stroząc czubkami palców kosmyki na karku. Żadnej biżuterii.

„Klejnoty tak jak pijawki trzymają się dobrze tylko na starej skórze. Do zmarszczek, diamentów i cmentarnych kwiatów wcale mi się nie spieszy.” Alassane nie zrozumiał do jakich kwiatów czyni aluzję. Wówczas dodała: „Oczywiście, ty jesteś ukryty, schowany przed wszystkim. Chowasz się pod twą matową skórą. Skorupa! Wewnątrz z pewnością coś się dzieje, lecz nie wiadomo co. Wiesz, u białych zgnilizna zawsze wychodzi na wierzch. Tu - powiedziała wskazując na grzbiet dłoni. Tu i tam także pojawią się plamy kiedy będę stara, tysiące wstrętnych kwiatów.” Pociągała kołnierz swego swetra i obnażała ciało aż do piersi.

Dla wszystkich tych podróżników przejeżdżających tranzytem, przybywających z Europy, najczęściej z Francji, którzy nagle zostali odcięci od swych rodzin i przyzwyczajęń miała klucze do nowego świata. Jednym telefonem dokonywała cudów, organizowała pracę i uciechy tym nieruchawym facetom, którzy po drugiej stronie Atlantyku uważali się za włóczęgów. Gdy dzwonili z Paryża: „Przybywam” słychać było w ich głosie, że ojciec rodziny ustąpił już miejsca dzikusowi. Zaatakują New York City, złupią bary na Manhattanie, puszczą z dymem knajpki na SoHo i bladym świtem złomczą Elvire na poduszkach w apartamencie na ostatnim piętrze u Pierre'a.

Alassane współdziałał z Elvire tak, by ci nieustraszeni awanturnicy w miejscu swych poczynań nie znaleźli się w tym samym czasie. Rywalizacja była ostra, a miłość własna łatwa do zadraśnięcia. W końcu nie po to podejmowali tak daleką podróż, żeby zadkiem w zad zderzyć się z Manhattanem jak ze stołkiem u Fouquet'sa na Champs-Elysees. Należało przyspieszyć podróż jednego, opóźnić innego, żonglować

rozkładem lotów i rezerwacjami hotelowymi, wynajdować preteksty, wypowiadać kłamstwa.

Najważniejsze było, aby każdy czuł się jedynym przyjętym w ten sposób przez Elvire. Już od lotniska Kennedy'ego obsypywała gościa uśmiechami o różowych dziąsłach i szpiczastych ząbkach, opatulala go aż po uszy swoim entuzjazmem. Ani myślał, by rzucić okiem na wszystko co go otaczało. U boku Elvire czuł się jak w bańce mydlanej. Pozwalał się prowadzić i jego kroki w całkiem naturalny sposób współgrały ze staccato jej szpilek. W limuzynie słuchał jak Elvire recytuje mu z pamięci listę jego spotkań w ciągu najbliższych dni i zafascynowany wpatrywał się w ruch jej warg. Kiedy z autostrady dostrzegł wreszcie triumfalną linię drapaczy chmur miał już całkowitą pewność, że Manhattan skonstruowano wyłącznie dla niego. Wpatrywał się w Elvire, którą suknia oblekała jak druga skóra. Na jedno pytanie nie znalazł jeszcze odpowiedzi: czy młoda kobieta wkładała sukienkę przez głowę czy przez nogi? Czy trzeba ją rozciąć scyzorykiem, by wyłuskać ziarno z łupiny?

Ponieważ nie wystarczali europejscy goście i ich świta - bo Elvire mogła odczuć gwałtowny przypływ uczucia do kogoś z drugiego planu jak i do gwiazdy - byli również ci, którzy zadomowili się w jej życiu i w mieście, korzystali z chwili spokoju, by uzyskać rendez-vous. Z ich strony należało unikać niewczesnego wtargnięcia. Poza pełnieniem roli szofera Alassane miał za zadanie kontrolować przy pomocy telefonu cyrkulację całego tego świata.

Był akurat przy drugim hamburgerze i myślał o matce. Jak w dzieciństwie nadal nazywał ją Yaye. Rano dostał od niej amulet. Yaye pisała, że będzie go chronił przed kontaktami ze złymi ludźmi. Nie miał zamiaru nosić go tak jak mu zalecała. Nigdy nie wierzył w fetysze, nawet w noc walki Mohammeda Ali. Nie miał również zamiaru go wyrzucić. Z głębi szuflady dusza Yaye mogła nadal nad nim czuwać.

Stojąc w barze przy Trzeciej Ulicy Alassane zapłacił za jedzenie. Czarny kelner uznał napiwek za niewystarczający. Jeszcze jeden - pomyślał Alassane - który chce podkreślić, jak wiele różnic istnieje pomiędzy amerykańskim czarnym a Afrykańczykiem. Już wielokrotnie próbowano wykorzystać jego domniemaną naiwność. Wszedł nie pozostawiając nawet dodatkowej dwudziestopięciocentówki.

Schodził teraz wzdłuż Madison. W przeciwnym kierunku żółte taksówki huštały nadwoziami na umęczonych amortyzatorach jak długi korowód indyczek. W luksusowym czworokącie na chodniku nie było ani jednego przechodnia. Alassane wyobrażał sobie jak dłonie Riccarda Baldiniego przesuwają się po białym ciele Elvire i jednym kopnięciem wysłał jakąś puszkę na środek jezdni. A przecież przyzwyczał się do widoku mężczyzn rozpoczynających miłosny taniec przed Elvire już w samochodzie. Czuli się świetnie nie troszcząc się o niego. Był głupim, czarnym szoferem. W ich zachowaniu, a czasem w słowach występowało dziwne podobieństwo. Za to odpowiedzi Elvire były różne. Alassane miał wrażenie, że tak naprawdę nie starała się przystosować do żadnego ze swych rozmówców. Chciała przede wszystkim nie dać nic z siebie samej i za każdym razem usiłowała wymyślić jakąś inną historię. Jeśli ci przelotni mężczyźni uważali Alassane'a za głuchego i ślepego - o ile w ogóle łamali sobie nad tym głowę? - to dla Elvire był on współnikiem i świadkiem, który ciężko znosił te powtórki. Oprócz swego rozmówcy zwracała się także do niewzruszonego widza, czujnego, który był do niej odwrócony tyłem. Za każdym razem po odlocie pasażera chciała mieć możliwość zapytania go, czy tego wieczora była dobra.

Wraz z nimi wszystkimi niestrudzenie powracało jedno pytanie: czemu Elvire przyjechała żyć na Manhattanie? To normalne, że młoda Francuzka spędza kilka miesięcy, a nawet kilka lat w Nowym Jorku, lecz ponad dziesięcioletnie trwanie w tym mieście wzbudzało ciekawość. Jakież były

powody zmuszające ją do opuszczenia Francji? Jaką fascynację wzbudzała w niej nadal Ameryka?

Dlaczego, dlaczego? - rozpoczynała, a tamten wstrzymywał oddech w oczekiwaniu na rewelację. Zamiast kluczowej opowieści Elvire wykonywała piruet, jedna wolta w prawo, druga w lewo i hop, półobrót w tył!

Za pierwszym razem Alassane usłyszał, że skoro urodziła się w regionie lyońskim, podróż szlakiem Henry Hudsona wydała jej się rzeczą całkiem naturalną. Czyż nie wyruszył on w górę rzeki, która nosi jego imię w poszukiwaniu nowego szlaku jedwabniczego?

Innemu wyznała co najbardziej lubi w Manhattanie. Miasto niszczy się i odbudowuje bez przerwy - mówiła. - W porze obiadu robotnicy przykucają i robią przerwę na placach budów. Kiedy przechodzę podnoszą nosy znad garnków i gwizdzą. Nigdzie nie złożono mi piękniejszego hołdu.

Trzeciemu wreszcie opowiedziała, że już we wczesnej młodości była karmiona literaturą amerykańską. W Lyonie, aby się dostać na zajęcia przechodziła przez Rodan Mostem Uniwersyteckim. Zimą było bardzo mroźnie i miało się wrażenie, że dłoń mogła przywrzeć do poręczy mostu, gdyby ktoś podjął ryzyko uchwycenia jej gołą ręką. Wiatr przeszywał jej ubranie. Elvire marzyła o jakiejś krainie mlekiem i miodem płynącej. Przeczytała u Trumana Capote'a i u Henry Millera, że w Nowym Jorku panowie dają pięćdziesiąt dolarów pięknym dziewczynom, kiedy te wstają od stołu, by iść się przypudrować w toalecie. Pięćdziesiąt dolarów? Czyż to nie szczyt luksusu? Za taką stawkę warto było ponieść trud posiadania nieco tłustej skóry. Elvire czekała na błogosławione czasy, kiedy jej nos przestanie czerwienieć z zimna.

Alassane zbliżał się do Sześćdziesiątej Piątej Ulicy. Miał zamiar tak iść aż do Relais, kiedy dostrzegł Elvire idącą w jego kierunku, nadal trzymającą torebkę w zagłębieniu talii. Jej ramię wymachiwało z wściekłością.

- Nie spieszysz się!
- Powiedziałaś mi: o jedenastej trzydzieści.
- Jest jedenasta trzydzieści sześć. Spójrz.

Wykręciwszy szczuplutki nadgarstek dała mu popatrzyć na zegarek przyozdobiony Myszka Mickey.

- Jesteś sama? - zapytał Alassane.
- Jak widzisz. Niedługo minie godzina odkąd jestem sama i czekam na ciebie.
- A Riccardo Baldini?
- Kazałam mu wybaldiniać. Co za nieznośny facet.
- Lecz trzeba się zajmować...
- Wiem, wiem. Zajmę się wszystkim zgodnie z planem.

Dałam mu tylko do zrozumienia, że moja osoba nie jest częścią kontraktu.

Alassane chrząknął z zadowoloną miną.

- A ciebie to bawi!

Chwyliła Alassane'a za lewe ramię i usiłowała potrząsnąć tą wielką, mroczną masą, która stawiała jej opór.

- Dlaczego cię to bawi?
- Nie wiem. Może dlatego, że to coś nieoczekiwanego.

Stojąc mocno na ledwo rozstawionych nogach nadal ani drgnął pomimo szturchańców wymierzonych przez Elvire jego ramieniu. Mówiła głośno. On odpowiadał łagodnym głosem, w którym wszystkie „r” były zmiękczone tak, że omal nie zniknęły.

- Nigdy nie widziałam jak się złościsz - wyrzucała mu Elvire. - Rzecz by można, że wszystko ci wisi.

- Prawie wszystko.

Jedźmy, jedźmy - mówiła jak zwykle. Ciągnęła go do samochodu. Dokąd chcesz jechać? Nie wiedziała. Noc była wszędzie, a ona jak zwykle mówiła, że uwielbia noc. Jedź, jedź, chciałabym tak jechać i nigdy się nie zatrzymywać. Dlaczego zawsze jest poranek? Chcę zobaczyć miasto. Z profilu jest jeszcze piękniejsze. A gdybyśmy tak pojechali na Roosevelt Island? Trzeba zrobić długi objazd przez Queens.

Lecz co za rekompensata po przybyciu na miejsce. Manhattan to wyspa, którą należy oglądać z innej wyspy. Chodź - mówiła - popatrzymy jak na powierzchni wody płonie największa żagiew rozpalona przez ludzi.

Oczy miała pełne łez.

- Co ci jest?

- Nic. To zmęczenie.

- Powinnaś wrócić.

- Na pewno nie. Zabierz mnie na Roosevelt Island.

W samochodzie zdawała się uspokajać. Przetarła oczy i usta małym tamponikiem do zmywania makijażu.

- W gruncie rzeczy - mówiła - nie wiem czemu tak naskoczyłam na tego nieszczęsnego Baldiniego. Jest głupi, ale nie bardziej niż inni.

Riccardo Baldini był człowiekiem delikatnym, wykształconym, inteligentnym. Po obejrzeniu jego filmów Elvire zawsze marzyła o tym, by go poznać. Szkicował swe postacie kobiece z taką przenikliwością i czułością, że największe aktorki gotowe były poświęcić każdy projekt w nadziei na rolę w jego najbliższym dziele. Skoro zdecydował się reżyserować film francuski z międzynarodową obsadą, trzeba było zrobić wszystko, by mu pomóc.

Już od przybycia Riccarda Baldiniego Elvire uznała jego zachowanie za dziwne. Czyż nie powiedział jej, że zmieniła kolor włosów i że w blond jest jej lepiej? A przecież nigdy się wcześniej nie spotkali. Mało tego, przecież ona urodziła się blondynką i nigdy nie przestała nią być. Lecz wielki człowiek zdawał się tak zmęczony i wątpy w swym zbyt dużym płaszczu, że ona nie starała się dochodzić prawdy. Później raz czy dwa zrobił aluzję do tego poprzedniego spotkania, które wcale nie miało miejsca.

W Relais poprosił o butelkę wody i połknął kilka pigułek. Właśnie kończył kurację snem. Spać? Czyż jest coś lepszego do roboty pomiędzy dwoma filmami? Żył tylko w trakcie opracowywania scenariusza, kręcenia go i montażu. Każdy z

jego filmów był uosabiany przez aktorkę, którą aż do szaleństwa kochał na taśmie i w życiu przez czas trwania dzieła. Kiedy zapalano światła po skończonej projekcji, wszystko się zatrzymywało. To była bessa, upadek, koniec. Fall! Jesień po amerykańsku. Miłość, która opada na ziemię i schnie. W limuzynie przysunął się do Elvire jakby w obawie przed chłodem. Czowała od niego zapach lekarstw. Głaskał ją po twarzy, lecz oczy Riccarda Baldiniego nie widziały jej.

- Byłam już niczym. Nawet nie zombi, czy zjawą. Niczym. Nie istniałam. Wymazał mnie z rzeczywistości.

Wyprostowała się na siedzeniu. Nerwowość potęgowała się. Jej brwi ściały się, gesty stawały się gwałtowne.

- I wiesz co mi powiedział?

Alassane pokręcił głową na znak, że oczywiście nie ma pojęcia.

- Wiesz, co mi powiedział? Kazał mi wysunąć język, bo kobiecy język go podnieca. I pokazał mi co powinnam zrobić wyciągając swój ozór. O tak.

Alassane śmiał się widząc jak zamarła w tym grymasie. Rzec by można - mała dziewczynka w czasie szkolnej przerwy.

- Sama widzisz, że potrafisz - stwierdził.

- Ale nie na życzenie kogoś kto mnie nawet nie dostrzega. Opuściłam samochód trzasnąwszy drzwiami. Wsiadł po kilku minutach i zatrzymał taksówkę. Odjeżdżając uśmiechnął się do mnie jakby nic się nie stało. Zresztą faktycznie nic się nie stało.

- Uspokój się - powiedział Alassane.

- Jak myślisz, czy wszystkim tym swoim aktorkom, fałszywym blondynkom w celofanie, każe wystawiać język w intymnych momentach? W kinie otacza je świetlistą aureolą. Czyni je pięknymi, że aż dech zapiera i jedną po drugiej przyszpila w swej gablotce ze wspomnieniami. Lecz kiedy piękne ważki nie mają ochoty zdechnąć, kiedy chcą jeszcze pomachać skrzydłami, zmienia je w czarownice.

Z rozdziawioną gębą i wywalonym ozorem, jak w „Guer-nice”.

Wjeżdżali na opuszczoną promenadę Roosevelt Island.

- O Boże, jakież to piękne! - zawołała.

Za każdym razem był to pierwszy raz. Nowe, wilgotne spojrzenie, łapczywy, lecz skromny rzut oka na niewyczerpywalny pejzaż miasta. Obfotografowane, sfilmowane, gloryfikowane wyrastało niezłomnie na szczytach ostatnich fal Atlantyku. Kolumny światła pod wysokogórskim niebem. Pośród splotów żelastwa samochody mijają się na Queensboro Bridge. Czerwony wagonik kolejki linowej przekraczał East River i kiedy sterowiec z Citybank przesuwiał się na tle księżyca, wielki, przerażający cień, jak średniowieczne zaćmienie, przykrył nagle wody i ziemię. Mewy zatrzymały się na balustradzie i czekały na ponowne pojawienie się księżyca, żeby nastroszyć pióra.

Alassane i Elvire siedzieli na ostatniej ławce przy promenadzie. Ona kiedyś często приходziła tutaj czytać. Kiedy jest ładna pogoda chorzy z jakiejś instytucji dla niepełnosprawnych spędzają popołudnia na swych wózkach stojących obok siebie, twarzą do Manhattanu. Siedząc nieruchomo za balustradą oczekują na stale odkładany odjazd statku, który przeniesie ich na drugą stronę East River. A tam słyhać zgiełk życia, w którym oni nie mogą już uczestniczyć. Nad Roosevelt Island zdaje się powiewać flaga kwarantanny.

- Za dwa tygodnie - powiedziała Elvire - pojedę do rodziny, do Francji.

- Czy jesteś smutna dlatego, że masz opuścić Nowy Jork?

- Smutna? Nie. Raczej zdenerwowana. Człowiek zawsze się obawia ponownego spotkania z tymi, których kocha. Oni mieszkają w Saint-Genet, w takim mieście koło Lyonu. Tam teraz pewnie świta. I czy patrząc stąd Saint-Genet istnieje naprawdę?

- Rozumiem, to twoje Soumbedioune.

- Soumbedioune?

- Miejsce gdzie chciałbym zostać pochowany.
- Nie, nie chciałabym zostać pochowana w Saint-Genet.

Machała potępiając rękami i śmiała się swym śmiechem dzikiego dziecka. Widać było, że pragnie ukryć swe uczucia.

- Widzisz - ciągnęła, wysuwając ramię i wskazując palcem w kierunku strzelistego budynku ONZ - tam mieszkam. Dokładnie na wprost, koło Narodów Zjednoczonych.

- Wiem, odwoziłem cię nieraz.

- Owszem, ale muszę przekonać o tym samą siebie. Kiedyś śniło mi się, że straciłam pamięć. Szłam przez miasto. Wiedziałam, że musi być tam moje własne miejsce, lecz nie mogłam sobie przypomnieć gdzie. Kompletnie zapomniałam swój adres.

- Czy śni ci się to jeszcze?

- Teraz ty tu jesteś i zawsze mnie możesz odwiedzić do domu.

- Ja, kierowca?

- Nie, przyjaciel. I dobrze o tym wiesz. Prawda, że wiesz?

Przytaknął skinieniem, a w uśmiechu jego czarne, lśniące oczy rozszerzyły się ku skroniom.

- Chodź - powiedział wstając. - Wracamy.

- Teraz czuję w sobie taką siłę, że mogłabym przepłynąć East River w pław w drodze powrotnej do domu.

Znów wskazywała palcem w kierunku, o którym już raz mówiła.

- Chodź, już późno - naciskał.

Ponad nimi ciężarówki powodowały zgrzytanie żelastwa mostu. Zerwał się zimny wiatr i wciskał w ich usta smak soli i kurzu. Mewy pokrzykiwały nad samą powierzchnią fal. Puścili się pędem do cadillaca.

- Pierwszej zimy - rzekł Alassane - myślałem, że nie wytrzymam.

- Włącz szybko ogrzewanie.

Przebierał palcami po klawiszach w poszukiwaniu programu jazzowego.

- Z Francji - powiedziała z nagle stęszłą twarzą i nabrzmiałą żyłą w kąciu oka - zadzwonię do ciebie. Poproszę cię o coś.

- A dlaczego nie od razu?

- Nie, nie teraz.

- Jesteś pewna?

- Tak, mówię ci, że tak.

Ujęła głowę w dłonie i brutalnie pocierała włosy jednocześnie dłońmi i palcami. Już nie chciała nastroszyć loków na karku, lecz próbowała zniszczyć fryzurę. Skóra, która marszczyła się jej na głowie przy każdym dotknięciu, przekazywała swe drżenie całej blond masie.

- Jeszcze jest ci zimno? - zaniepokoił się Alassane.

Nie odpowiedziała i wykonywała nadal swe konwulsyjne ruchy. Samochód podskakiwał na jezdni w Queens. Alassane nie rozumiał, co mogło spowodować u Elvire tak nagłą zmianę nastroju. Jedyne pewność wobec takiego wybuchu: nie był w stanie go powstrzymać. Żaden orzeszek ziemny nie mógł uspokoić burzy.

- Jesteśmy na miejscu - powiedziała unosząc wreszcie głowę.

Na Manhattanie asfalt wrzał i wypuszczał obłoki pary, które wiatr kładł wzdłuż chodników. Nieprzerwana girlanda ruchu ulicznego przywracała Elvire jej błękitne, oczarowane spojrzenie. Kręćcie się karuzele. Gorgona miała znowu sześć lat.

- Czuję, że będę dobrze spała - powiedziała ukazując Alassane'owi pogodną twarz.

Zanim wysiadła przypomniała mu jeszcze, że następnego dnia mają być w biurze bardzo wcześnie rano. Dzień zapowiadał się ostro i wyglądało, że ta perspektywa ją zachwyca. Cekał z odjazdem aż portier otworzy Elvire drzwi wejściowe.

Była to trzecia zima Alassane'a w Stanach Zjednoczonych. Pierwsza była jednym długim cierpieniem. Rodzina Holly pożyczyła mu ciepłe ubranie, lecz Alassane dygotał aż do głębin swego snu. Bardzo wcześnie rano łapał w Waszyngtonie autokar, który wioził go do Wirginii na cmentarz King David. Tego roku, przez cały tydzień telewizja nadawała serial „Korzenie”. Rankiem, mając głowę jeszcze pełną obrazów odkrywających przed nimi ich historię i cierpienie, czarne kobiety w autobusie płakały po cichu. Kiedy Alassane wylewał na groby wielkie wiadra wrzącej wody znowu widział jak powoli pęcznią łyzy w oczach tych kobiet. Serial „Korzenie” wzburzył w nich te głęboko ukryte warstwy, które uważano już za zagubione na zawsze, a bańki z tej fermentacji wychodziły teraz na powierzchnię i pękały. Powracała Afryka, wielka podróż morska, okowy, znój, transy, beznadzieja. Później ludzie mieli się rzucić do bibliotek chcąc ustalić genealogie uznane do tej pory za przerwane. Na razie były tylko łyzy.

W swym zielonym uniformie ogrodnika Alassane miał topić lód na grobach. Tu świat przewracał się do góry nogami. To martwych ogrzewano. Kołysano ich nawet do snu o tej samej porze w rytm ich ulubionej muzyki, a głośniki były rozstawione na trawnikach. Przybywano z bardzo daleka, by być pogrzebanym między swymi i w luksusie godnym króla muzyków. Zwłoki miały święto, a żywi spotykali się wszyscy ze złym traktowaniem. Świeżo przybyły z Afryki Alassane miał stale zgrabiące palce i słabo rozumiał polecenia, które jego szef wyszczeniwał z silnym, południowym akcentem. Z lęku przed zmuszeniem go do powtórzenia i wyznaniem tym sposobem swej niewiedzy Alassane wykonywał nieco przypadkowo to, co - jak sądził - udało mu się odgadnąć i red-neck wylewał wszelką swą złość na czarnego kretyna.

Kiedy rozpoczęła się jego druga amerykańska zima, właśnie odszedł z cmentarza w Wirginii. W F.M.O. był na służbie

u żywych. Przyjaźń jaką darzył Elvire rozgrzewała go, nawet jeśli zima w Nowym Jorku była najgorszą rzeczą jaką znał. Dni bezchmurne były również bezlitosne. Czyste aż do przesady niebo olśniewało oczy płatami nieziemskiego błękitu, błękitem, jaki na ogół nie występuje w regionach nadmorskich, a którego trzeba szukać samolotem na wysokości ośmiu tysięcy metrów. Błękit ten tworzył z ulic amfilady i rysował na nich wielkie cienie zanim obryzgał lodowym blaskiem potężne, szklane konstrukcje. Wiatr wciskał się w wąskie transeje przecznic, przesywał przechodniów, chlastał ich skórę, rozplaszcział ich kształty na ścianach budowli jak muchy na szybie. Alassane, który w Afryce nie znał przemienności pór roku w ciągu kilku minut musiał przejść z biurowego zaduchu na lodowaty ziąb.

Dzisiaj bez lęku stawiał czoło swej trzeciej zimie, i dzięki przyzwyczajeniu czuł, iż wkrótce nadejdzie chwila, że nie zachowa nawet najmniejszego wspomnienia z poprzedniej zimy.

Elvire wyjechała do Francji dwa tygodnie temu i tak jak obiecywała Alassane'owi dzwoniła już do niego z Saint-Genet kilka razy. Georges dzwonił do niej co rano zaraz po wejściu do biura. Dla Elvire to już było południe i jak mówił, po zniecierpliwieniu w jej głosie, sądził iż musiała się kręcić koło aparatu od dobrej godziny lub dwóch zanim wreszcie rozbrzmiał dzwonek.

Mimo że Georges informował ją o wszystkim na bieżąco, ona odczuwała potrzebę porozmawiania z Alassane'em, gdy tylko zakończyła rozmowę z tamtym. Co nowego? Nie masz mi nic do powiedzenia? Kto przyjechał? Żadnych kłopotów? Nic przede mną nie ukrywasz? Elvire była maniaczką telefonu. Kiedy Alassane jeździł bez niej po Manhattanie lub okolicach, wymagała, by do niej dzwonił co godzinę. Toteż ci, którym towarzyszył byli zaskoczeni, kiedy kazał im czekać w samochodzie, żeby się rzucić do pierwszej napotkanej budki telefonicznej. Gdzie jesteś? - pytała tonem lekko roz-

złoszczonym, jakby zrzucając na niego wszelką odpowiedzialność za zbyt wolny ruch lub spóźnienie spowodowane przez jego pasażerów. Precyzyjnie określał ulicę i aleję. Ile czasu ci zajmie jazda do biura? Określał w przybliżeniu czas trwania przejazdu. Dobra, pospiesz się, zadzwonisz za godzinę jeśli staniesz w korku.

Początkowo niewątpliwie bała się, żeby się nie zgubił w mieście i niemiłe wspomnienie jego peregrynacji po Bronxie nie działało na jego korzyść. Potem uparła się utrzymać ten zwyczaj, mimo że Alassane poznał już Manhattan i przedmieścia. Prawdę mówiąc on nie zrobił nic, by go złamać. Ta zabawa, która zakładała wzajemną zależność odpowiadała obojgu wygnanym na własne życzenie.

Z Saint-Genet Elvire starała się w niczym nie zmieniać sytuacji. Nie tyle odległość nadawała jej głosowi nerwowości co fakt oczekiwania, aż echo przyniesie jej odpowiedź rozmówcy. I, jak w Nowym Jorku, irytowało ją najdrobniejsze spóźnienie Alassane'a. W Saint-Genet chętnie czyniłaby go odpowiedzialnym za satelitę i jego działanie. Bardziej niż odległość, bardziej niż różnica czasu, maleńka pauza między pytaniem jednej strony, a odpowiedzią drugiej, drażyła przepaść. Ona niecierpliwiła się, a głosy nakładały się na siebie. Przyzwyczajona do dzwonienia z Nowego Jorku do Francji nie mogła znieść nagłego uczucia obcości we własnym biurze.

- Co tak szepczesz - zarzucała Alassane'owi.
- Przecież mówię normalnie.
- Nie, używasz swego głosu sentymentalnego śpiewaka.

Musiał podnieść ton, żeby ją podnieść na duchu i za każdym razem pytał o datę powrotu. Obawiała się, aby jej własny ślad nie zatarł się. Żeby przebłagać los zawsze miała nastawiony na godzinę obowiązującą w Manhattanie swój zegarek z Myszka Mickey.

A jednak w trakcie ostatniej rozmowy telefonicznej z Elvire nie było w jej głosie śladów irytacji. Już miał się

ucieszyć widząc ją tak uspokojoną, lecz ten spokój wzbudził jego czujność.

- W Saint-Genet wszystko w porządku? - zapytał.

- W jak najlepszym. Zima dopiero się zaczęła i nie jest zbyt chłodno. Tylko raniem jest trochę mgły w dolinach.

Po raz pierwszy mówiła o Saint-Genet. Na ogół jeśli wypytywał ją o rodzinę lub o jej życie tam, odpowiadała wykrętnie i natychmiast przechodziła do innego tematu. Musiał także opowiedzieć jej wszystko o Nowym Jorku i o biurze, i o niczym nie wolno mu było zapomnieć. Zasympywała go pytaniami. Ciało Elvire było w Saint-Genet, lecz jej dusza nigdy nie opuściła Avenue of the Americas.

Tego dnia owa dygresja klimatyczna i jej wesoły ton wydawały się dziwne.

- Potrzebuję ciebie - powiedziała powoli tonem prawie ponurym.

- O co chodzi?

- Żebyś czekał na mnie na lotnisku z samochodem.

- Jasne. Przylatujesz o piętnastej trzydzieści?

- Tak, ale posłuchaj mnie.

Przez chwilę nie odzywała się i on również zamilkł, aby uniknąć nałożenia się wypowiedzi na słowa Elvire.

- Nie będę sama.

- Świetnie. Z kim odbędziesz podróż?

Wahała się i Alassane pomyślał, że towarzysz Elvire musiał być kimś ważnym skoro obawiała się wyjawic jego imię. Tego rodzaju skromność nie leżała wcale w jej charakterze.

- Przyjadę z siostrą. Pomieszka z nami trochę w Nowym Jorku. Jest półtora roku młodsza ode mnie, a na imię ma Marie.

Pomiędzy nimi ponownie zapadła cisza.

- Czy jest równie piękna jak ty? - zapytał Alassane chcąc przywrócić rozmowie weselszy ton.

- Jest o wiele piękniejsza i inteligentniejsza.

- God! Cóż się stanie z nieszczęsnymi Francuzami jeśli obie ich opuścicie?

- Tylko się nie spóźnij - nakazywała z naciskiem.

Przed zakończeniem rozmowy powtórzyła jeszcze: „Potrzebuję ciebie” i kiedy Alassane odłożył słuchawkę ostatnie słowa powróciły do niej echem, jak gdyby satelita zaczął się jąkać.

Po długich formalnościach pasażerowie wychodzili obładowani bagażami. Niektórzy szukali przyjaznej twarzy lub pomocy bagażowego. Inni przepychali się przez tłum nic nie widząc, ze wzrokiem wbitym w dal. Alassane dziwił się, że Elvire i jej siostra nie znajdowały się pomiędzy pierwszymi przybyłymi. Przypuszczał, że Marie będzie miała wygląd i sposób bycia we wszystkim przypominające Elvire.

Od chwili gdy rozpoczął pracę w F.M.O. nieraz stał w tym hallu, lecz tym razem nie czekał na kogoś nieznanego. Złapał się na pełnej obawy myśli, że Elvire zapomniała jakieś papiery, a nawet że spóźniła się na samolot. To był absurd. Wiedział, że w takim przypadku natychmiast zadzwoniłaby do niego z lotniska Charles-de-Gaulle. To, że nie słyszał jej głosu przez cały poranek było najlepszym dowodem, iż wyleciała. Bo czyż nie trzeba było zamknąć jej w samolocie, żeby dała sobie wreszcie spokój z telefonowaniem?

Pasażerowie przybyli z Paryża byli coraz mniej liczni i czuło się, że wkrótce strumień się wyczerpie. Alassane zapalił trzeciego papierosa, po czym złapało go obrzydzenie i ledwo zapalonego rozgniół w popielniczce. Zaczął się przechadzać po hallu wielkim susami, swym krokiem dzikusy, jak mawiała Elvire drepcząc, za nim ulicą. Wykonał półobrót mając nadal wzrok wbity w drzwi, w których powinna się pojawić. To co zobaczył osadziło go w miejscu.

To była ona, jej włosy w nieładzie, jej błękitne spojrzenie dziecka wyrwanego z najgłębszego snu. Widział ją i nie rozu-

miął. Widział ją, lecz zaskoczenie zakłóciło widzenie Alassane'a. Widział ją do połowy ciała, tylko dotąd. Reszta, począwszy od talii była skryta za noszami, za czymś w rodzaju łóżka na kółkach, które uważnie popychała. Na tym łóżku znajdował się długi, szczupły kształt, nad którym, jak dostrzegł Alassane Elvire się pochylała.

Alassane przyhamował pęd, który niósł go ku niej, aby uporządkować swe myśli. Czy Elvire przyszła z pomocą jakiemuś choremu pasażerowi? Gdzie jest jej siostra? Nie widział Marie. Jakiś steward towarzyszył pasażerce z noszami. Niósł torby, o których Alassane wiedział, że należą do Elvire. Ona znów pochylała się nad leżącą formą, a jej wargi poruszały się. Kiedy uniosła głowę dostrzegła podchodzącego do niej Alassane'a.

- Obawiałam się, że stracisz cierpliwość - zawołała jeszcze z daleka. - Czy mógłbyś wziąć moje bagaże?

Podziękowała stewardowi za pomoc.

- Poradzi sobie pani? - pytał tenże, uradowany, jak się zdawało, że może przekazać torby Alassane'owi.

- Tak, tak - mówiła Elvire nie odwracając się nawet do niego. Nieruchoma, trzymająca obie dłonie na noszach, na które Alassane nie ośmielił się jeszcze spojrzeć, śmiała się i potrząsała jasnymi kosmykami.

- Jesteś zaskoczony? - spytała.

- Niepokoilem się czy nie spóźniłaś się na samolot.

- Nie, nie, ale z Marie to trochę trwa - powiedziała pochylając się nad wyciągniętą postacią - Marie, to Alassane, dużo ci o nim mówiłam. To mój najlepszy przyjaciel. Przybył na lotnisko wcześniej, bo miał straszną ochotę cię poznać.

Alassane wykonał jakiś gest, jakby chciał wyciągnąć rękę do Marie, po czym się powstrzymał zanim Elvire spostrzegła jego zamiary. Była całkowicie zajęta wpychaniem jaśka pod głowę siostry usiłując ją unieść. Z kolei Alassane pochylił się nad Marie i ucałował jej chude policzki.

- Byłam pewna, że Marie natychmiast podbije twe serce - powiedziała Elvire.

Zaczęła pchać łóżko, na którym jej siostra ledwo co ciążyła.

- Chodźmy do samochodu. Marie płonie z niecierpliwości. Często jej mówiłam o Nowym Jorku i najwyższa pora, żeby wreszcie odkryła to miasto.

Dorzuciła nawet: „Dorożkarzu, trzaśnij z bata” jak to czyniła zazwyczaj wsiadając do limuzyny, dając tym samym sygnał do odjazdu. Zdawała się być zachwycona powrotem. Chłód nie wywołał w niej dreszczy kiedy wyszli z hallu udając się w stronę parkingu, lecz starannie podciągnęła koc siostry pod brodę. Widać było tylko małą twarz i kępkę brązowych włosów zlepionych przez pot. Pod ziemistą cerą prawie same kości wypychały policzki i czoło, czoło bardzo wysokie, jak u siostry, lecz z którego życie zdawało się odpłynąć już dawno temu, podczas gdy u Elvire wychodziło na powierzchnię kipiące i szybkie. W tej zastygłej masce jedynie spojrzenie było ożywione. Ciało pochłonięte od wewnątrz, obumarłe mięśnie pozostawiały oczom olbrzymią przestrzeń, dwie czarne kałuże pełne nieruchomego smutku, które chwilami odbijały pragnienia, doznania, zdziwienie. Tak więc w otchłaniach wydrążonych orbit wielkie, czarne oczy posiadały dziwną ruchliwość i objawiało się w nich całe życie tego bezwładnego ciała.

Nie kręć się Marie - mówiła Elvire, podczas gdy pod kocem jej siostra nie ruszała się bardziej niż kłoda - nie kręć się, zobaczymy wszystko co ci obiecałam. Spójrz jakie chmury są ciężkie, przy odrobinie szczęścia będziemy mieli pierwszy śnieg na Manhattanie. Chcesz też żeby było słońce? Ależ dla ciebie będzie i jedno i drugie. Już nie jesteśmy w Saint-Genet. Dość babrania się w błocie pod brudnym niebem. Tu jest tylko błękit na śniegu. Chcesz zobaczyć wieżówki w Central Parku? Oczywiście że je zobaczysz, a później Alassane przewiezie nas przez Harlem. Czy uważasz, że

Alassane jest przystojny? Owszem, ale nie jesteś zaskoczona, wyobrażałaś go sobie takim, bo ci go opisałam.

- Będziecie się z Marie dobrze rozumieli - powiedziała Elvire, zwrócona tym razem w stronę Alassane'a. - Ona, tak jak ja, woli mężczyzn. W samolocie ignorowała stewardessy, ale steward podbił ją natychmiast.

Kiedy dotarli do cadillaca, Alassane położył torby i otworzył drzwiczki. Elvire zsunęła koc z łóżka. Wątle i skurczone ciało Marie pojawiło się przyodziane w zbyt obszerny dres. Stopy miała białe, a duże palce, niekończące się i blade jak ziemniaczane kiełki były naprężone w bolesnym skurczu.

- Poczekaj, pomogę ci - rzekł Alassane rzucając się na pomoc Elvire.

- Zostaw, zostaw. Jestem przyzwyczajona.

I już Elvire trzymała siostrę w ramionach. Położyła ją na siedzeniu, podłożyła poduszkę pod kark, drugą na wysokości bioder, później wślizgnęła się obok niej i swym ciałem zaklinowała ciało Marie.

- Pospiesz się ze składaniem łóżka i wsadź je do bagażnika - powiedziała Elvire. - Popatrz, czyż nie ładnie się prezentujemy w ten sposób? Będziemy poznawać Nowy Jork przyspawane do siebie jak siostry syjamskie.

Po wydobyciu Marie z windy weszli do Elvire. Alassane zauważył natychmiast, że zaprowadziła coś na kształt porządku w swym mieszkaniu. Z pewnością chciała zrobić trochę wolnego miejsca szykując się na przyjęcie siostry. Kufry, walizy i paczki leżały jedne na drugich na całej długości korytarza. Miesiąc wcześniej widział je jak na wpół otwarte walają się pod stołem w jadalni, tłoczyły się w chwiejnej barykadzie na środku salonu - co czyniło ryzykownym wszelkie przemieszczanie się - i rozdziawiały się na samym środku łazienki, a nawet w kabinie natryskowej. Torby noszące nazwy wszystkich butików z Manhattanu jak

regimenty w różnorodnych uniformach panoszyły się w różnych pomieszczeniach i trzeba było przepychać tych tekturowych żołnierzy, żeby otworzyć drzwi.

- Dlaczego mnie nie wezwałaś? - zapytał Alassane. - Pomógłbym ci i razem znieśliśmy torby na dół.

- Nie szkodzi. Chciałam to zrobić w nocy. Gdyby przyłapali mnie sąsiedzi, natychmiast by mnie oskarżyli, że przekształcam mieszkanie w składowisko grożące pożarem. Tutaj to prawdziwa obsesja! Jestem pewna, że tylko szukają pretekstu, żeby mnie stąd wydalić. Dałam portierowi sto dolarów i ze względu na bliskość Gwiazdki mam nadzieję, że będzie umiał trzymać język za zębami.

Alassane patrzył na Elvire. Podziwiał jej energię i wesołość. Podziwiał fakt, że nie odczuwała potrzeby dostarczenia mu wyjaśnień na temat stanu swej siostry i nie usiłowała tym sposobem usprawiedliwić czegoś, co było nie do usprawiedliwienia. Marie to była Marie, a Elvire uważała Alassane'a za zdolnego do przyjęcia tej oczywistości.

- Jesteś wspaniała - rzekł całując ją w oba policzki.

- Ten facet oszalał - zawołała. - Zostaw nas na chwilę. Marie i ja potrzebujemy żdziebka higieny po tej naszej ekspedycji.

- Żgoda - przytaknął natychmiast. - Czekać na was zrobię porządek w kuchni.

W zlewku walały się papierowe filtry wypchane kupkami fusów od kawy, twardymi jak kamień i filizanki upačkane szminką, której czerwień z czasem przeszła w brąz. Alassane szybko się uwinął z wyrzuceniem filtrów do kubła i umyciem naczyń. Maniak jak stary kawaler, mówiła o nim Elvire. I rzeczywiście, lękał się, że jeśli bałagan odniesie pierwsze zwycięstwo nic później nie musi go do ucieczki. Tego właśnie Yaye nauczyła go niegdyś i od kiedy zaczął żyć sam, jej rady często mu się przypominały.

Z salonu gdzie spoczywała Marie słyszał dochodzący głos Elvire, czasem pytający, czasem twierdzący. Jego ucho już

powoli przyzwyczajało się do dwutaktowości tego frazowania. W samochodzie komentarze Elvire w sposób ciągły towarzyszyły przejazdowi. Nie wystarczało jej służenie siostrze za przewodnika i wskazywanie palcem na wszystko, co tylko było godne uwagi - własnymi słowami interpretowała ciszę Marie. Starła się swymi pytaniami odczytać z największą dokładnością to, co miłość i przyzwyczajenie pozwalały jej odkryć w spojrzeniu siostry.

Marie wpatrywała się czasem w nią z bolesnym wysiłkiem, który ściągał jej wargi i powodował pojawienie się napiętych żył na wychudzonej szyi, i czasem udawało jej się wydać jakiś dźwięk, coś pomiędzy westchnieniem a burknięciem, który dostarczał Elvire brakującej wskazówki. Podbudowana, podejmowała tok wypowiedzi. Alassane starał się omijać dziury w jezdni. Przy najmniejszym dołku widział we wstecznym lusterku jak oba nierozłączne ciała jeszcze bardziej zlewają się w tym samym mimowolnym podskoku. Elvire śmiała się i mówiła, że jej siostra również się śmieje.

- Szybciej, Alassane - błagała Elvire. - Kiedy byłyśmy dziećmi marzyłam, żeby zaprowadzić Marie do wesołego miasteczka na zderzające się samochodziki. Rodzice nigdy się nie zgodzili.

Przy każdym podskoku krzyczała jak dziewczynka, a gdy powracał spokój potrząsała głową, żeby odpędzić od oczu swe loki. Instynktownie przesuwiała dłonią po twarzy siostry, tak naprawdę nie po to, by ją popieścić, lecz raczej uwolnić od ewentualnego ciężaru, jak gdyby uczucie przechodziło od jednej do drugiej, mimo że brązowe włosy Marie, sklejone potem nie mogły jej opaść na czoło.

Alassane właśnie kończył porządki w kuchni, kiedy Elvire ponownie otworzyła drzwi do salonu.

- O, teraz już nadajemy się do pokazania - powiedziała.

Włosy jej siostry zostały natarte i stały sztywne, jakby wysmarowane żel. Pośród jaśków wielkie oczy zdawały się spokojne.

- Jesteście głodne? - zapytał Alassane zwracając się zarówno do Marie jak i do Elvire.

- Na razie nie - odparła za obie Elvire. - Ale za godzinę lub dwie pożremy cię jeśli nie będzie nic lepszego na ząb.

- Wiecie o czym myślę?

- Marie nie zna cię jeszcze na tyle, by odgadywać twe myśli. Daj jej trochę czasu.

- Na jej cześć chciałbym zrobić danie pochodzące z moich stron - tieboudienne - ryż z rybą, wszelkimi jarzynami i przyprawami. Czy Marie będzie to smakowało?

- Marie? Ależ ona jest łakoma jak kocica.

Alassane wziął samochód, żeby zrobić zakupy. Wiedział, że na Dziewiątej Alei znajdzie u pewnego Afrykańczyka wszystko co niezbędne do tieboudienne. Najważniejsze było zjawić się tam przed zamknięciem. W szaropomarańczowym świetle zbyt szybko kończącego się dnia pędził obarczony - jak mu się zdawało - niezwykle ważną misją. Na głos wymieniał w języku wolof składniki, których Yaye używała do tieboudienne, a jego mocne szczęki przeżuwały słowa z apetytem, jaki wzmagaly jeszcze wspomnienia z dzieciństwa.

Pomiędzy żółtymi taksówkami, w zgiełku klaksonów jechał ku Afryce, gdzie Yaye obierała czosnek i inne przyprawy recytując wersety z Koranu, którego muzykę miał jeszcze w głowie. Nigdy nie poznał ich znaczenia. Po raz pierwszy od przyjazdu do Stanów Zjednoczonych pragnął sam wykonać gesty Yaye. Znow widział długie ramiona matki o tej absolutnej czerni, jakiej wcale nie spotyka się po tej stronie Atlantyku, czerni lśniącej, oleistej, czerni pozbawionej najdrobniejszego zielonkawego refleksu, jaki plami skórę ludzi z Harlemu.

Długie ręce Yaye i jej bardzo szczupłe palce o różowych paznokciach rozdrabniały z miłością pachnącą mieszankę. Alassane powinien odprawić stary rytuał dla Elvire i Marie. Miał zamiar naperfumować ryż i blade, rybnie mięso wszyst-

kim co uda mu się uzyskać w mózdzierzu. Tego wieczora miał je nakarmić jak matka swe dzieci. Tego wieczora miał stać się Yaye.

Gdyby tak, zapomniawszy o długim dryfowaniu, oba kontynenty mogły znów połączyć się na chwilę, Ameryka wróciłaby na łono Afryki i Alassane za kierownicą swej pięknej, białej limuzyny pojechałby do Soumbedioune kupić głowacza o skrzelach pełnych krwi i głuchego poszumu fal. Lecz głowacze jeszcze nie przepłynęły Atlantyku. Na Dziewiątej Alei trzeba było znaleźć coś zbliżonego.

Alassane zaparkował samochód przy chodniku i dalej ruszył piechotą rozrzucając swe kończyny na prawo i lewo jak upominki. U handlarza korzennego wygrzebał mózdzierz i tłuczek z drzewa sykomorowego. Potrzebne mu były co najmniej trzy gatunki ryb, żeby zastąpić głowacza. Wreszcie kupił czosnek, paprykę i bakłażany, żeby poprawić smak tieboudienne.

Gdy wracał do Elvire była już noc. Minął się z kobietą o dziecięcej twarzy i postawie matrony. Miała się ona zajmować Marie kiedy Elvire będzie w biurze. W rodzinnym mieście Colorado Springs była pielęgniarką, a do Nowego Jorku przyjechała na kurs sztuki dramatycznej. W dzień była opiekunką, a w nocy Desdemoną. Właśnie nad tą rolą pracowała w tym momencie, jak wyznała Elvire, a Elvire nie mogła się powstrzymać by nie dorzucić, że z Desdemoną tych rozmiarów Otello musiał mieć się na baczności.

- Ta Desdemoną z Colorado Sprins nakopie mu tam gdzie trzeba, zamiast dać się udusić jak ostatnia kretynka!

Wokół ich trójki, w środku nieba rozjaśniły się okna. Brak zasłon, lub - jeśli istniały - niechęć do ich zaciągania, pozwalała każdemu na zanurzenie się spojrzeniem u sąsiadów. Miasto oddawało się bez wstydu. W tych piętrzących się w nieskończoność skrynkach ludzie chodzili tam i z powrotem, uprawiali gimnastykę, rozbierali się lub patrzyli w ekrany telewizorów, gdzie również mężczyźni i kobiety cho-

dzili tam i z powrotem, uprawiali gimnastykę, rozbierali się lub patrzyli na swych sąsiadów, przebierających palcami po przyciskach pilota, leżąc naprzeciw ekranów telewizorów... W dali migoczące błyski na powierzchni East River i profil wieżowca Narodów Zjednoczonych.

- To piękne - powiedziała Elvire przysunąwszy do okna łóżko siostry. - Marie i ja, mamy taki sam gust. Już pierwszego wieczora uznałam, że to piękne.

W kuchni, przy otwartych drzwiach Alassane rozcierał czosnek, szafran, gałkę muszkatułową i goździki w ten sam sposób jaki zaobserwował u Yaye.

- Ja - powiedział - przyleciałem do Nowego Jorku w samym środku nocy. Tej chwili na pewno nie zapomnę.

- Opowiedz - rzekła Elvire. - Opowiedz, Marie chciałaby wiedzieć.

Rzeczywiście Marie lekko odwróciła głowę od okna, a ten prosty ruch kosztował ją wiele bolesnego wysiłku. Teraz wpatrywała się w Alassane'a czarnym, błagalnym spojrzeniem.

Wsiadł - mówił podsmażając ryby z czosnkiem i przyprawami - wsiadł do autobusu Careya na lotnisku Kennedy'ego. Musiała być jakaś jedenasta w nocy. Kiedy dostrzegł w oddali Manhattan również pomyślał, że jest jeszcze piękniejszy niż na filmach i w powieściach kryminalnych. Jednak w głowie miał tylko jedną myśl, miał się połączyć z amerykańskimi braćmi, którzy walczyli z białą potęgą. W Afryce dysponował mnóstwem czasu na studiowanie planu miasta. Wiedział, że po przybyciu nie może udać się piechotą do przyjaciela, który ofiarował mu schronienie na kilka dni. Waliza była zbyt ciężka, trzeba było złapać taksówkę. Toteż chciał wybrać samochód prowadzony przez czarnego, nawet jeśli na postoju miałby przepuścić kolejkę. Tak postanowił już dawno, chciał powierzyć swój los tylko i wyłącznie czarnemu i, o ile to możliwe, czarnemu równie czarnemu jak on.

- Przestań - krzyknęła nagle Elvire. - Zabijasz nas.

- Jak to?
- Czosnek. Co za smród!

Marie gwałtownie odchrząknęła, a jej górna warga się podwinęła. Z napiętymi palcami usiłowała klasnąć w dłonie, lecz jej ręce nie mogły się złączyć.

- Na wpół nas udusił, a ta się śmieje - zawołała uszczęśliwiona Elvire. - Zrobię przeciąg. Przy tym zapachu wszystkie wampiry uciekną z wyspy. Ale w morzu będzie tłok!

Alassane zostawił ryby i warzywa, żeby się dusiły. Marie wyrażała swe dobre samopoczucie półklaśnięciami i pytająco spoglądała na niego chcąc go nakłonić do kontynuowania opowieści.

Carey-bus zostawił go na Czterdziestej Drugiej Ulicy, dokładnie u stóp pięćdziesięciodziewięciopiętrowego Pan Am Building. Nieprzekraczalny mur i, z perspektywy Afryki, wraz z Coca-Colą symbol amerykańskiej potęgi. Stał w kolejce do taksówek i gdy nadeszła jego kolej przepuścił dwa lub trzy samochody, których kierowcy nie posiadali cery o pożądanym odcieniu. Wreszcie podjechała taksówka prowadzona przez czarnego naprawdę czarnego. W swej radości Alassane chciał po afrykańsku usiąść u boku swego brata po kolorze. Ledwo położył dłoń na klamce przednich drzwi, kiedy kierowca wrzasnął ze zdegustowaną miną żując gumę:

- Back!

Alassane pochylił się z uśmiechem na ustach, aby lepiej widzieć swego pobratymca.

- Back! - powtórzył tamten przesadnie wzruszając ramionami.

Alassane wdrapał się do tyłu. Jego pierwsze wysiłki już od początku hamowane przez niezbyt przyjemną minę kierowcy o mało się całkiem nie rozbiły o ściankę oddzielającą siedzącego z tyłu pasażera. Alassane czuł się jak w więzieniu, lecz jego uczucia były zbyt gorące, by nie usiłował się nimi podzielić.

To sen. Ja śnię! - krzyknął wskazując na oświetlone budynki, których dachów nie był w stanie dostrzec.

Kierowca nawet nie rzucił okiem we wsteczne lusterko. Alassane zastanawiał się, czy plastikowa ścianka uniemożliwiała dźwiękom przedostawanie się z tyłu do przodu, lub czy jego akcent był zbyt kiepski, by pozwolić na zrozumienie go. Dodał jednak w starannym angielskim.

Przybywam z Afryki. Urodziłem się w Dakarze, w Senegal, wie pan?

Kierowca raczej kiwnął głową. Prawdę mówiąc to kiwnięcie musiało być spowodowane przez wyboje, bo facet nadal ani pisnął żując swą gumę.

Po przybyciu na róg Broadwayu i Osiemdziesiątej Ulicy Alassane wysiadł z samochodu. Przygotowywał się do wsunięcia kierowcy pieniędzy za kurs przez przednią szybę, tak jak to widział pod innymi szerokościami, kiedy nagle został poczęstowany prosto w twarz całą wiązką przekleństw. Taksówkarz sądził, że chce odejść bez zapłacenia, wyrwał więc mu dolary z rąk i kilka razy podciągnął i opuścił szybkę znajdującą się pośrodku przegrody. Trzeba było być dzikussem, żeby nie wiedzieć, w jaki sposób podaje się tamtędy pieniądze.

To nie wszystko - ciągnął Alassane wycierając ręce w ścierkę, którą przepasał się jak fartuchem. - To nie wszystko.

Marie wbijała w Alassane'a wielkie oczy, które ani mrugnęły. Oczy Elvire wędrowały od Alassane'a do Marie, jakby chcąc sprawdzić, czy jego opowiadanie przenika do jej duszy. Długie, przezroczyście ręce siostry traciły z wolna swą węzłąstą sztywność i pod kredową skórą podkreślona ścięganymi krew zaczynała krążyć. Widząc zainteresowanie jakie Marie przejawiała dla opowiadania Alassane'a, Elvire niecierpliwiła się przy najmniejszej chwili ciszy jak w trakcie rozmowy telefonicznej, kiedy to satelita opóźniał o ułamek sekundy odpowiedź rozmówcy. Delikatna i cenna nic zawią-

zała się pomiędzy Alassaneem i Marie, i nie można było pozwolić, by opowiadający nabierając oddechu podejmował ryzyko jej zerwania. - No i? No i? - pytała za Marie, za siebie samą. Alassane nigdy nie miał równie uważnej publiczności.

Na rogu Broadwayu i Osiemdziesiątej Ulicy kłątwy kolorowego brata dodały mu sił na przeskakiwanie schodów po cztery stopnie. Jego wściekłość była tak wielka, że o mało nie minął dziesiątego piętra bez zatrzymania, lecz biały papier wciśnięty pomiędzy jedne drzwi a framugę przyciągnął jego spojrzenie. Jego imię było na nim wypisane wielkimi czerwonymi literami. Przyjaciel zawiadamiał, że pracuje całą noc i zostawia mu klucz pod słomianką. Alassane nie był rozczarowany. Czuł się wolny w mieście swych marzeń. Po omacku zostawił walizkę w przedpokoju przyjaciela, ponownie zamknął za sobą drzwi na klucz i natychmiast zbiegł z dziesiątego piętra.

Maszerować! Maszerować tylko to istniało! Maszerować, żeby nogi, uda, stopy, płuca, oczy, uszy mogły się przyzwyczaić do tej myśli, która nagle stała się rzeczywistością: on, Alassane, on, Senegalczyk, on, który tak długo marzył nie mogąc ucieleśnić swego marzenia, on, syn Yaye był wreszcie w Nowym Jorku. Nie lękał się ani trochę o swą przyszłość. Jeść, spać, przeżyć? Później się zobaczy. Przybył do punktu przeznaczenia i uważał się za pierwszego, któremu udało się podobny wyczyn. Uśmiechał się błogo do nielicznych przechodniów, których mijał na Amsterdam Avenue. Szedł, szedł ku Ziemi Obiecanej. Jeszcze chwila, a zatrzymałby pierwszego napotkanego i powiedziałby mu wszystko prosto z mostu: no widzisz pan, wreszcie mi się udało. Czyż nie wystarczyło wykazać odrobinę woli? Tamci z Soumbedioune byłiby zdziwieni widząc jego niezmienny sposób zachowania. Szedł przez chłód miasta, który go jeszcze nie przeszył, wydmuchując pełnymi nozdrzami lekką mgiełkę, z twarzą uniesioną ku szczytom wieżowców, ku rozgwieżdżonemu niebu, ze ściśniętymi pośladkami pod zbyt lekkim płaszczem,

z naprężonymi mięśniami nóg, solidnymi, wybijającymi żywy, regularny rytm. Na asfalcie, skąd wytryskiwały wulkaniczne wyziewy odnajdował atmosferę i harmonię, jakich doznawał niegdyś na plaży w Dakarze, kiedy szedł z rodziną nakarmić Mami Wata.

Liczył ulice jedną po drugiej. Tam, dużo wyżej znajdował się Harlem. Właśnie do serca Harlemu powinien się udać pierwszej nocy. Na skrzyżowaniu Sto Dwudziestej Piątej Ulicy i Amsterdam Avenue mógł powiedzieć nie lękając się pomyłki, że wreszcie dotarł do kresu swej podróży i że będzie szczęśliwy, iż pielgrzymkę tę odbył samotnie. Szedł na zbyt długo oczekiwane, miłosne rendez-vous.

Był dopiero na wysokości Dziewięćdziesiątej Szóstej Ulicy, gdy rozpoznał ulubioną muzykę. Elektryczne organy Jimmy Smitha grały „The Champ”. Postanowił zrobić postój przed ponownym ruszeniem w drogę aż do Sto Dwudziestej Piątej Ulicy. W barze zażądał tego, co zdawało mu się najbardziej amerykańskie: whisky sour. Przyjęto jego zamówienie nie każąc mu powtarzać i była to wraz z muzyką Jimmy Smitha jedyna satysfakcja, jakiej dostąpił w tym miejscu.

Niechlujne. Wszystko było niechlujne. Na granicy dwóch światów czarni i biali mijali się bez słowa. Zamroczeni zmęczeniem, alkoholem i samotnością opróżniali w ciszy swe szklanki, tak jak się wypija lekarstwo, w którego skuteczność już się nie wierzy. Kontuar nosił lepkie ślady wszystkich rąk, które otarły go swą beznadzieją.

Był przy drugiej whisky sour, gdy sąsiadka przy barze odwróciła się ku niemu. Była ruda. Na jej sinej skórze w półmroku piegi nabierały zgniłozielonkawego odcienia. Uśmiechnęła się do niego smutno i niewątpliwie miała zamiar przemówić, gdy czkawka wstrząsnęła jej ciałem. Zeszła ze stołka sztywnymi, łamliwymi kończynami. Drugie czknięcie, jeszcze silniejsze od pierwszego kiwnęło nią ponownie i wtedy pochyliła się do przodu i obficie zwymio-

towała na buty Alassane'a. Na próżno wycierał się papierową serwetką podczas gdy ruda sunęła do toalety, pieprzony smród przeżarł skórę butów i jego własną. Mdłości stały się zaraźliwe. Za wszelką cenę należało wrócić na świeże powietrze.

- Tamtej nocy - podsumował - nie zobaczyłem Harlemu. Wychodząc z baru zawróciłem. Nie mogłem kontynuować wędrówki w brudnych butach.

Kiedy Alassane postawił na stole dymiące tieboudienne, Elvire natychmiast wzięła porcję dla siostry. Z nosem w talerzu wyciągnęła ości jedną po drugiej i zamieniła w papkę ryby, warzywa i ryż. Pomiędzy wargi Marie wprowadziła małą łyżeczką pokarm Yaye, tak jak pisklęciu podaje się prosto z dzióbka.

Moja dziewczynka, moja mała, moja nieruchoma. Elvire zawsze zasypiała przywarłszy piersią do pleców siostry, nogami obejmując martwe nogi Marie, z dłonią na ramieniu ukochanej. Tak śpią kochankowie.

Po każdym drgnieniu poznawała jak skurcz przebiega wzdłuż kończyny szukając punktu zaczepienia, wstrętne złośliwiec, wysysający życie w ciele jej siostry. Ostry ból, rozdzierający, który świdruje mięśnie. Ostrze noża, który nie ludzka ręka wbija, przekręca, wpycha i wyciąga, by wbić go ponownie. Palce stóp skurczone, stawy nieruchome i poskręcane, krzyż wykrzywiony, młode ciało, stare jak winny szczep zimową porą. Wówczas Elvire prostowała się na łóżku, odwracała siostrę na w pół skreconą przez cierpienie, masowała plecy i chore członki i gdy krew ponawiała swój bieg aż do czubków palców wślizgiwała się z drugiej strony i odnajdowała swe bliźniacze miejsce za plecami Marie, wsuwając kolana w zagięcie ukochanych nóg. Znowu zasypiały razem, dzieci tego samego cierpienia.

Osiemnaście miesięcy, które je dzieliły - Marie była młodszą - spowodowały, że Elvire nigdy nie bawiła się lalkami. W wieku, gdy do piersi przyciska się pluszowego misia, pla-

stikowego pływaka lub szmacianą lalkę, ona miała tę małą siostrzyczkę o czarnych oczach, jej własne były niebieskie, o matowej skórze, jej była mleczna, o czarnych włosach, jej były blond puchem. Elvire nie mogła wymarzyć sobie piękniejszej lalki i będąc daleką od uczucia zazdrości o siostrę, nie mogła ścierpieć choćby godzinnej z nią rozłąki. Patrzyła na nią gdy spała, patrzyła gdy się budziła. Nauczyła się czytać w jej spojrzeniu zanim dla jednej i drugiej nadeszła pora używania mowy.

Mała była uległa aż do przesady i pozwalała sobą rozporządzać nie przejawiając najmniejszego oporu. Elvire żałowała jednej rzeczy - to nie był zarzut - że siostra nie wyciągała do niej ramion, kiedy jej własne dłonie, lekkie, czułe i niecierpliwe sięgały po nią, by ją unieść z kołyski. Lecz do głowy nie przyszło jej, by się temu dziwić. Czyż lalki którymi bawiły się inne dziewczynki nie objawiały podobnej pasywności?

Elvire miała jakieś trzy, cztery lata kiedy zdawało jej się, że utraciła Marie na zawsze. Tego dnia zostawiono ją u babci w małej wiosce koło Saint-Genet, zaś rodzice zabierając siostrzyczkę zawiniętą w koce powiedzieli, że jadą do Lyonu i, że wrócą wieczorem. Nigdy nie zapomniała przerażenia, które ją wtedy ogarnęło. To nie utraty ojca lub matki obawiała się w owej rozpacz. Oni wrócą, tego była pewna. Ale Marie, mała Marie, czy nie porzucają jej w jakimś nieznanym miejscu, czy nie zabiorą jej na zawsze?

Wieczorem, tak jak to było przewidziane wrócili, a ona ledwo rzuciła na nich okiem. **Gdy** tylko złożyli w kołysce cenną paczuszkę, Elvire rozwinęła koce i jak ślepiec przebiegła rękami po całym gorącym ciałku dziecka chcąc się upewnić o jego istnieniu i zaczęła się śmiać, śmiać, nie mogąc się powstrzymać. Zamilcz, zamilcz - krzyknęła matka z wściekłą miną. I by przerwać śmiech córki wymierzyła jej siarczasty policzek. Pierwszy raz matka ją uderzyła. Elvire nie przejęła się tym wcale, Marie wróciła i nic więcej się nie

liczyło, lecz przez chwilę popatrzyła na tę, która dała jej życie i klapsa. Matka szlochała, a czerwone oczy wyraźnie wskazywały, że łzy te nie były pierwszymi tego dnia.

Najbardziej zaskakująca była postawa ojca. Normalnie nie tolerował najmniejszych krzyków, najdrobniejszej brutalności, a tym razem zamiast ofuknąć żonę, która nie potrafiła opanować złości, pocieszał ją mając umęczoną minę i puste spojrzenie. Wszystko się jeszcze ułoży - mówił. - Nie możemy się przyznać do porażki. Jest jeszcze nadzieja, doktor dał nam to do zrozumienia. Wierz mi, będziemy walczyć. Na te słowa Elvire natychmiast się cofnęła w obawie, że znowu dostanie w twarz. Cóż to znaczyło? Pomyślała sobie, że w ostateczności zgodziłaby się na nowy policzek, lecz gdyby ośmielili się dotknąć Marie, ucieknie ze swoją siostrą.

W ciągu następnych dni nie było ani gróźb, ani bicia. Nic prócz głębokiego smutku. Zdawało się, że nikt już nie zwraca uwagi na Elvire. Matka otwierała usta jedynie w kościele, by coraz szybciej recytować swój modlitewnik.

Nastąpił długi okres, w czasie którego humory rodziców nie były w stanie przyćmić radości Elvire. W dzień i w nocy kręciła się wokół siostry gadając i wierząc się za dwie, nie odczuwając potrzeby zadawania dorosłym pytań. Być może już czuła, że odpowiedzi mogłyby jedynie zmać jej radość.

W Saint-Genet stała się dziewczynką z wózkiem. Lecz wraz z upływem miesięcy i lat, spojrzenia jakie rzucali sąsiedzi na ten dziwny zaprzęg przeszły metamorfozę od roztkliwienia do ciekawości, potem od ciekawości do współczucia, wreszcie od współczucia do odrazy. Elvire nie chciała dostrzegać ciekawskich spojrzeń, uśmiezków, które zastygały na jej widok i pleców, którymi wykręcano się do niej z zażenowaniem lub złośliwością.

Wędrowała szybkim krokiem po Saint-Genet, a Marie była tak lekka w swym wózku, a jej własne zachowanie tak żywe, tak bezcielesne, że nie miała wrażenia dwóch istniejących odrębnie ciał. Jej dziecięcy umysł wymyślał jakąś chi-

merę, baśniowego stwora z dawnych wieków. Marie była spojrzaniem, posiadała czułe anteny, które ostrzegały jej starszą siostrę o wszystkich niebezpieczeństwach, lecz również zawiadamiały o wszystkich przyjemnościach, do których dzielenia przygotowywały się razem. Elvire miała ręce, które pchały, podnosiły, przewijały, myły, obejmowały i nogi, by za dwie obejść świat dookoła. Jeśli jedna chodziła, a druga nie, jeśli jedna mówiła, a druga nie, znaczyło to najwyraźniej, że potrzebowały jednych ust i jednych nóg, że były jednym i tym samym, złożonym zwierzęciem, centaurem, który niepokoił zastale umysły w Saint-Genet.

Kiedy Elvire miała iść do szkoły, pierwszego dnia obudziła się na długo przed właściwą godziną. Przewinęła siostrę, umyła i wsadziła do wózka. Nigdy nie mogła wyobrazić sobie wyjścia bez Marie. Kiedy została zmuszona do pogodzenia się z tym nie uroniła ani jednej łzy, nie zakrzyzczała, lecz rozdarciu uległa jej dusza. Dla jej dobra dokonano amputacji. Musiała chodzić do szkoły bez Marie. Pierwsze tygodnie były długim okresem rekonwalescencji. Musiała wszystkiego uczyć się od nowa. Chodzić? Jak można chodzić dla siebie samej. Jej ciało nie umiało zachować równowagi. Ręce już nie opierały się o rączkę wózka, tors w rozpędzie nie mógł wychylić się do przodu. Czyż to nie Marie, jej siostra, jej nieruchoma budziła w niej pragnienie przemieszczania się? Bez niej po cóż ruszać się choćby o krok? By iść samej?

A jednak w tym wieku rana zdaje się szybko zabliznić, przynajmniej na powierzchni. Elvire znów nauczyła się chodzić, a raczej posiadała ten przyspieszony sposób poruszania się, który zachowała aż do wieku dojrzałego. Biegała na własny rachunek. Po lekcjach biegła do Marie. Połączenie było natychmiastowe i całkowite. Wtedy Elvire wychodziła od razu do miasta, pchając przed sobą wózek i wracała do normalnego kroku. Wiodła Marie triumfalnie przez miasto, nie mając pojęcia, że całe ją obgaduje.

Wraz ze szkołą w regularnym rytmie miały miejsce rozstania i powroty. Elvire zaczęła opowiadać o swym życiu. Odrabiała lekcje i uczyła się ich na głos. Komentowała każdy gest, każde zdarzenie. Rzecz by można, że przy pomocy mowy usiłuje nadrobić czas spędzony z dala od siostry i dać Marie możliwość wypowiedzenia się jej własnymi słowami. Nigdy przez całe dzieciństwo, przez całą młodość nie przeczytała po cichu ani jednej książki. Każde słowo pisane musiało nabrać brzmienia, by być przekazane siostrze. W szkole Elvire uzyskiwała najlepsze oceny ze wszystkich przedmiotów, lecz nie odczuwała dumy z tego powodu. Jej konkurentki były same, ona zaś tylko dzięki Marie osiągała tak dobre wyniki. Kiedy ją chwalono zawsze odpowiadała, że siostra jej pomogła.

Marie rosła. Materia, z której się składała nie zwiększyła objętości, lecz dziewczyna wyciągnęła się i zyskała na długości to, co straciła na grubości. Wózki także rosły. Marie ledwie się ruszała. Elvire nie chciała pytać rodziców, czy kiedyś będzie chodziła. Ich odpowiedź mogłaby się okazać definitywna i raz na zawsze ustalić rzeczywistość, położyć kres nadziei, uczynić niemożliwą wszelką działalność dobrej wróżki i wykazać zbędność uporu dziewczynki z wózkiem.

Jej matka płakała i modliła się. Elvire żyła za dwie. W środku nocy budziła się, czyhała na skurcze i odleżyny, odwracała siostrę. Mówiła nawet przez sen i jej spanie nie mogło trwać nieprzerwanie - przystosowało się do rytmu siostry. Ciała złączone, pot przemieszany, oddechy zharmozonizowane. Pod prześcieradłem ta żywa i ta nieruchoma przekształcały osnowę i wążek nierozzerwalnej materii.

Elvire lubiła zawozić siostrę do sklepu z odzieżą dziecięcą prowadzonego przez piękną, rudą kobietę: „U Jeannot i Jeannette”. Bardzo wcześnie Elvire przejawiała podwójną kokieterię i wybierała dla siebie i siostry ubranie, których zakup proponowała następnie matce. Dzieliła z Marie upodobanie do materiałów i kolorów. Piękna ruda miała uma-

lowane usta i krągłość kształtów, która olśniewałaby w sklepie z bielizną damską, lecz „U Jeannot i Jeannette” szokowała bigotki i ich potomstwo. Toteż ruda zwielokrotniała uprzejmość, aby tylko zapomniano o jej kształtach.

Kiedy sklep był pusty pozwalała Elvire myszkować po szafach i ściągać sukienki z wieszaków. Swą delikatność posuwała nawet do powiedzenia Marie „dzień dobry”, podczas gdy na ogół unikano nawet patrzenia na nią. Skierować do niej uśmiech, przyznać jej prawo do życia - nie było o tym mowy. O ile nikt nie mógł zignorować istnienia dziewczynki z wózkiem, o tyle było powszechnie przyjęte przez poczciwe dusze, że w wózku nic nie ma. Elvire prezentowała siostrze wybrane sukienki, a piękna ruda czekała cierpliwie oblizując koniuszkiem szpiczastego języka karmelek, który delikatnie trzymała w dwóch palcach. Język poruszał się tam i z powrotem. Cukierek chudł w palcach, nigdy jednak nie zniknął całkowicie między czerwonymi wargami.

Jednak pewnego dnia sprawy przyjęły mniej przyjemny obrót. Wózek, wydłużając się, upodabniał się coraz bardziej do wyrka, a nie do wózka dziecięcego. Od kilku tygodni ruda ze zwiększoną nerwowością ssała swego karmelka kiedy Elvire i Marie wjeżdżały do „Jeannot i Jeannette”. Tego czwartku, w chwilę po dwóch siostrach zjawiała się pani merowa, holując za sobą swój miot w pełnym składzie: trzy dziewczynki i dwóch chłopców w równomiernie rozłożonym wieku, od czterech do czternastu lat. Była to klientka zasobna i o wysokim prestiżu. Toteż piękna ruda ulokowała nadwężonego karmelka pomiędzy innymi cukierkami w złożonym pudełku i wypiąwszy pierś rzuciła się ku pani merowej i jej świcie. W przelocie syknęła przez zęby pod adresem Elvire: „Zmykaj szybko, widzisz przecież, że jestem zajęta.” Natychmiast po wypuszczeniu tych słów jej umalowane usta rozpląły się w szerokim uśmiechu. Jak to miło, że pani przyszła - powtarzała merowej, jakaż jest szczęśliwa, zachwycona tą wizytą. Boże, ależ te dzieci są

milutkie, czy istnieje bardziej uroczy widok od widoku zgodnej rodziny?

Podczas gdy czyniła honory wobec tego pięknego światka usiłowała za jednym zamachem wypchnąć na ulicę dziewczynkę i jej zawadzającą, szokującą, bezwstydną lektykę. Pani merowa siedziała w fotelu jak na tronie z dziećmi u stóp, rzecz by można - obraz wotywny namalowany przez kogoś ze szkoły flamandzkiej. Ruda wymachiwała najpiękniejszymi modelami, dawała materiał do pomacania, każdemu dziecku wynajdowała właściwy kolor, zgodny z jego karnacją. Puściła nawet wkoło swoje pudełko ze słodyczami, co - jak sięgnąć pamięcią - nigdy nie zdarzyło się w Saint-Genet i najmłodszy syn pani merowej złapał w palce cukierek niezłe już wylizany przez rudą. Bez ceregieli schrupał swymi mlecznymi zębami okazynego karmelka. Kiedy merowa skryła się w przymierzalni wraz z całą trupą, ruda skorzystała z tego, by zawrócić.

- Spieprzaj - powiedziała do Elvire, która ani drgnęła. - Spieprzaj, powtarzam. Mam ci to dać na piśmie?

Mała cofnęła się instynktownie stając pomiędzy rudą o zmijowatym języku, a Marie, swoją siostrą, nieruchomą, której czarne oczy były pełne przerażenia w tej atmosferze ciężkiej od grózb.

- Na co tu czekasz z tym wyrkiem śmierdzącym kocimi siuškami. Tu nie cyrk, żeby pokazywać monstra! Może uważasz, że takie widowisko należy pokazywać zdrowym, normalnym dzieciom?

- Dziwka, dziwka, dziwka!... - szeptała Elvire, zaś rozwścieczona ruda nadal miotała obelgi. Jeszcze dzisiaj Elvire nie mogła patrzeć na fontannę wypluwającą wodę ustami posągu, by nie pomyśleć o pięknej rudej, która w czwartkowe popołudnie przeszła od słodczy karmelka do bluzgania nienawiścią.

- Dziwka, dziwka, dziwka - szeptała nadal Elvire pchając siostrę przez podcienia Saint-Genet, gdzie tuż przy

powierzchni ziemi zawsze unosiły się gazowe wyziewy pomieszane z wilgotną stęchlizną. Musiała jednak przerwać swoją litanie dziwek, żeby pocieszyć Marie. Mówiła siostrze, że tamta jest wariatką i gdy nadchodzi atak wpada w delirium i zaczyna mylić ludzi. Mówiła, że pewnego dnia się zemści i powróci do „Jeannot i Jeannette”, nakładzie rudej po twarzy i rozwali wszystkie gablotki w sklepie, tak jak to robią na westernach. Mówiła, że ta dziwka jest po prostu zazdrosna o ich miłość. Mówiła, że nie ma się czego obawiać, bo nigdy nikomu nie uda się ich rozłączyć.

Padał deszcz. Po wyjściu spod arkad opuściła gumowy kaptur na ciało Marie, lecz nie traciła czasu na włożenie własnego płaszcza nieprzemakalnego. Szła z mokrym nosem i ociekającymi włosami mając buty i skarpetki unurzane we wszystkich kałużach, których nawet nie usiłowała ominąć. Noc panowała już od godziny lub dwóch, kiedy wraz z Marie znalazły się poza granicami miasta. Nie było już chodnika i z trudem posuwała się poboczem, by pozwolić samochodom przejechać. Jezdnia była zniszczona. Łóżko podskakiwało na wybojach i żwirze. Co ciekawe, Elvire milczała. Szła w ciszy od przedmieść Saint-Genet. Droga wznosiła się, jej jednak zdawało się, że pchanie siostry nie wymaga od niej najmniejszego wysiłku. Wściekłość dawała jej ciało i członkom impuls, któremu mogła się jedynie poddać. Gdyby nawet noc i marsz miały trwać bez końca, jej siły i tak nie uległyby wyczerpaniu.

Zerwał się wiatr, a deszcz, który padał teraz ukośnymi strugami wdzierał się pod gumowy kaptur i zaczął przeinaczać koce. Jeszcze tej nocy kraniec świata miał pozostać niezdobyty. Nogi Elvire mogły nieść ją jeszcze długo, lecz żadna rozpacz, żadne poniżenie nie było warte ryzyka, na jakie mogła wystawić Marie. Zatrzymała się na szczycie pagórka. Stamtąd widać było skromne światła Saint-Genet. Mobilizując wszystkie siły Elvire splunęła najdalej jak mogła w kierunku miasta. By wrócić do domu wystarczyło podążyć

wzdłuż linii zbocza i lśniących wód. Znowu trzeba było wbić obcasy w sypką ziemię, usztywnić łydki i mocniej złapać rączkę, by wyhamować łóżko i uważać, żeby nie zostało wciągnięte zbyt szybko przez otchłanie Saint-Genet.

Ojciec i matka czekali na nie przed domem. Mój Boże - westchnęła matka - prawdziwe gąbki! - Pochylała się przytłoczona ciężarem winy jak kobiety ogolone po wyzwoleniu. Żaden lekarz, żaden spowiednik nie mógł wymazać z jej świadomości grzechu pierworodnego: dała życie dziecku skazanemu na wieczny bezruch. Ojciec powiedział do Elvire: „Chodź moja mała, muszę z tobą porozmawiać.” Pokręciła przecząco głową, tego dnia miała już dosyć. Poszła za nim jednak pozwalając matce na przebranie Marie.

Elvire miała po ojcu te oczy w kolorze błękitnej emalii, którą widzi się u porcelanowych laleczek z minionych epok. Nie czynił jej wyrzutów z powodu późnego przyjścia lub zmartwienia, jakie go trapiło. Zanim zdążyła opowiedzieć mu o wydarzeniach, on zdawał się wszystko odgadnąć. - Elvire, moja droga - mówił - jesteś piękną dziewczynką, inteligentną i przede wszystkim normalną. Twoje życie będzie życiem normalnej kobiety. Marie również powinna być normalna. - Na te słowa twarz Elvire zastygła. Jak ojciec, którego kochała mógł podawać w wątpliwość stan zdrowia jej siostry? Czyżby miał zamiar mówić jak ta ruda z „Jeannot i Jeannette”? - Przy narodzinach Marie padła ofiarą wypadku, którego skutki dało się zauważyć dopiero o wiele później - ciągnął. - W klinice personel wystraszył się i zapytano go, czy w przypadku niebezpieczeństwa mają ratować matkę, czy dziecko. Odparł, że matkę. - Teraz Elvire lepiej zrozumiała czemu otaczała siostrę taką miłością. Czyż nie była jedyną, która we wszystkich okolicznościach stawała po stronie siostry? Czyż Elvire nie musiała kochać jej ponad wszelką miarę, by ufać, że potęga tej miłości zrekompensuje krzywdy doznane przez małą Marie? Uratowano matkę i - jak sądzono - dziecko. W kilka miesięcy później spostrze-

żono, że mózg dziecka został uszkodzony. Uszkodzenie nieodwracalne. Elvire myślała o tych mózdkach cielőcych, które matka wmuszała w nią, a których nazbyt miękkiej konsystencji nie znosiła. Nieodwracalne - powiedział ojciec. - Nigdy nie będzie chodziła, nigdy nie przemówi? - Nigdy, chyba żeby jakiś cud. - Cud? - Tak, modlitewnik, modlitwy. W brzuchu matki była normalna, tak jak ty byłaś, jak jesteś. Wszystko przez fatalny przypadek i niekompetencję personelu. Lecz inteligencja Marie pozostała nietknięta. O tym Elvire wiedziała lepiej niż ktokolwiek inny. - Marie - zwykle mawiała - Marie jest trzy razy inteligentniejsza ode mnie. - I być może była to prawda, lecz o owej inteligencji mogło zaświadczyć jedynie spojrzenie, jak te lampy, których prawdziwy blask skryty jest za nieprzezroczystością abażuru.

Tej nocy Elvire po raz pierwszy śniła sen, który miał ją nawiedzać w regularnych odstępach w kolejnych latach, aż do wieku dojrzałego. Czasem sądziła, że już się zamazał, lub całkiem go zapomniała, lecz powracał i zaskakiwał ją w najmniej oczekiwanych momentach. Podąży za nią na drugą stronę Atlantyku, odnajdzie ją w ramionach mężczyzn, wyciągnie ją z wszelkiego otępienia, zmiesza się z narkozą miłości i działaniem narkotyków. Na próżno oddzielać się będzie od Saint-Genet całym oceanem; jej włosy i komórki całkowicie się odnowią wraz z czasem, a on powróci taki sam, jak feniks zwiastujący nieszczęście pośród najgłębszej nocy.

Koszmar przedstawiał na wpół mroczną sypialnię, kobietę siedzącą na łóżku, mającą nogi przykryte czerwonym kocem, tors sztywny, oczy wbite w jeden punkt. Zdawała się wstawać przez sen nie przerywając go. Fakt, że Elvire śniła o śpiącej kobiecie prowadził ją do przekonania, że sama jest bohaterką swego snu. Lecz kiedy po raz pierwszy zobaczyła tę kobietę siedzącą pośród nocy, Elvire była zaledwie dziesięcioletnią dziewczynką i nie była w stanie wyobrazić sobie siebie w dorosłym ciele. Coś, nie umiała powiedzieć co,

kazało jej myśleć, że ta kobieta, której rysy ledwo rozróżniała mogła być jedynie piękną rudą od „Jeannot i Jeannette”.

Długo nieruchoma, kobieta powoli podciągała nogi, a jej kolana, których obecność można było odgadnąć pod krwistoczerwonym kocem podchodziły prawie pod samą pierś. Spojrzenie nadal utrzymywało posągową nieruchomość. Potem otwierała wydatne usta jak ryba oparta pyszczkiem o szybę akwarium. Najbardziej zaskakiwało Elvire zwolnienie wszelkich ruchów. Rzecz by można, że ów sen chciał się jej narzucić przez swą powolność, tak jak mówca przyciąga uwagę audytorium wymawiając szeptem to, co najważniejsze w jego przemowie. Szyja kobiety napinała się, zdawała się nawet rozciągać wskutek gwałtowności wysiłku. Z rozdziawionych w mroku ust zaczynała wydobywać się brunatna gęsta substancja. Jej wypływanie kobieta starała się przyspieszyć odrzucając głowę w tył i gdy tylko materia była wystarczająco obfita wyciągała ją jedną ręką, a następnie drugą, jak gdyby rozwijała kłębek swych wnętrzności.

U pięknej rudej lunatyczki proces trawienny uległ odwróceniu. Nigdy rzygacze z bazyliki nie wylewały na Saint-Genet gęstszego soku. To co wytryskiwało z jej flaków, to nie była deszczówka, nawet pomieszana z błotem. Po jej różowym języku ześlizgiwał się bez końca kształtny gorący kał. Wyciągała go z siebie pełnymi garściami nie mogąc wyczerpać jego pokładów. Obrzydzenie rosło wraz ze smrodem, a strumień nigdy nie miał końca przed przebudzeniem się Elvire. Piękna ruda, której unikała na ulicach miasta, później przez wiele lat miała powracać i rzygać po nocach swymi odchodami.

Czasami Alassane zastępował pielęgniarkę. Kiedy Demona z Colorado Springs udawała się na swój kurs sztuki dramatycznej on zasiadał z Marie przed telewizorem i u jej

boku podejmował rolę tłumacza, jaką odgrywał już niegdyś w Afryce dla Sił Pokojowych.

Od razu nauczył się czytać w spojrzeniu Marie i czuł kiedy program ją interesował lub gdy miała go dość. Również od razu nauczył się używać tego dwutaktowego języka, którego pierwszą troską jest pragnienie drugiej osoby, a dopiero później mówi za siebie.

Oczy Marie wyrażały w sposób tak ostry pęd ku życiu i niezdolność do niego, wdzięczność dla wszystkich tych, którzy słowem, uśmiechem, bądź gestem pchali ją w stronę życia, że Alassane'owi nie udawało się zasnąć w jej obecności. Poddać się zmęczeniu to było tak, jakby odmówić przyjemności młodej nieruchomej kobiecie. Był zobowiązany serwować jej świat z dostawą do domu, a to zadanie nie mogło ścierpieć żadnego rozprężenia. Tym gorzej dla snu. Nie będzie przecież trwonili tego co zostało wydzielone Marie z tak przesadną oszczędnością. W nocy, gdy hałasy zdawały się oddalać wraz z upływem godzin, Alassane mówił. Słowa, które cisnęły mu się na usta zawierały to, co przemilczał przy innych. Mówiły o czarnej diasporze od czasów starożytnych do współczesnych, o ludziach sprzedawanych jak bydło, o statkach niewolniczych, o niewolniczych bransoletach na rękach i nogach.

Czasem w środku opowieści słysząc było zgrzyt klucza w zamku. Pojawiała się Elvire z włosom w nieładzie i pytaniem w spojrzeniu.

- Wszystko w porządku? - pytała.
- W najlepszym, jak widzisz - potwierdzał Alassane.

W kilku słowach i to głównie dla siostry dokonywała opisu restauracji, gdzie jadła obiad i knajpki, do której miała zamiar udać się na kielicha. Alassane domyślał się, że jakiś mężczyzna musiał na nią czekać w samochodzie zaparkowanym pod domem i, że Elvire potrzebowała tej chwili ucieczki, by udowodnić siostrze, że jej obecność w niczym nie zmieniła jej stylu życia. Spojrzenie Marie ożywiało się

wraz z nadejściem Elvire i gdy ona odchodziła ku tym nocom, które lubiła przeciągać nieraz aż do świtu, błysk radości w ciemnym oku siostry trwał jeszcze długo. Alassane zadawał sobie pytanie czy Elvire przypadkiem nie żongluje mężczyznami i przyjemnościami jedynie w celu przedstawienia Marie opowieści z tych peregrynacji.

- Możesz iść spać - mówiła Elvire w chwili, gdy odprowadzał ją aż do windy. - Wrócę po cichu.

- Wiem - odpowiadał. - Nie przejmuj się, mamy z Marie mnóstwo rzeczy do obgadania.

- Jestem pewna, że powierzysz jej sprawy, o których mi nigdy nie opowiadałeś.

- Baw się dobrze - mówił naciskając na guzik windy.

- Obiecuję, że w przyszłym tygodniu nie będę tak często wychodziła.

Jej oczy śmiały się, a ona przytykała usta do szybki w windzie, żeby przesłać całusa. Szminka zostawiała na drzwiczkach odcisk warg, a jej ciało obleczone w czarny, skórzany kombinezon oddalało się na spotkanie z mężczyzną, który miał pomóc jej przejść przez noc.

To była ostatnia niedziela przed Bożym Narodzeniem. Elvire zadzwoniła do Alassane'a. Chciała pokazać Marie Centrum Rockefellera i jego oświetloną choinkę. Obiecał przyjechać po nie limuzyną po południu.

Pogoda była taka, jaka zaskakuje wszystkich tych, co nie spędzili jeszcze całej zimy w Nowym Jorku. Nieskalane niebo podkreślone było jedynie na małej wysokości przez kilka przelatujących mew. Nieskończony i pusty błękit odbijał się intensywnie od gładkich ścian budynków. Od Harlem River na północy do Battery Park na południu, od Hudson na zachodzie aż do brzegów East River, Manhattan lśnił w lodowej przejrzystości jak gigantyczny blok kwarcu, którego kryształły piętrzyły się, żeby skuteczniej wykraść niebu jego ogień. Ten skalany kryształ wytryskiwał spomiędzy wód

swymi żywymi i ostrymi graniami. Rozbłyskiwał całym światłem świata.

Dzień miał się już ku schyłkowi, gdy limuzyna ugrzęzła w gęstym potoku na Piątej Alei. Elvire nie omieszkła wyrzucić mu spóźnienia. W głosie było to rozzłoszczenie, które wyczuwał za każdym razem, gdy z drugiego końca miasta dzwonił kilka minut po ustalonej godzinie. Przy najmniejszym odstępstwie od umówionego czasu podejrzewała go o zdradę, albo - co gorsza - o zapomnienie.

Elvire chciała, żeby Alassane stanął na parkingu przed Channel Gardens, aby jej siostra mogła obserwować z samochodu całą perspektywę. Lecz na wysokości Centrum Rockefellera ruch był taki, że nie można było ani zaparkować, ani obejrzeć choinki. Rzecz by można, że całe miasto umówiło się tam, jak wieśniacy w niedzielę na placu przed kościołem.

- Co zrobimy? - zapytała Elvire. - W życiu nie utworzymy sobie z łóżkiem drogi w tym tłumie.

Alassane milczał. We wstecznym lusterku widział zaniepokojone spojrzenie Elvire i małą twarz Marie opartą o ramię siostry. Znalazł miejsce dla samochodu na Czterdziestej Dziewiątej Ulicy. Tym razem to Elvire zdawała się opierać o Marie. Nie miała zamiaru opuścić siostry, nawet na kilka minut.

Alassane wysiadł bez słowa i obszedłszy samochód otworzył powoli drzwiczki, o które była oparta Marie. Tego co wtedy uczynił Elvire nigdy nie zapomni. Jaki ciąg gestów wykonał Alassane? Z tego nie zachowała w pamięci najdrobniejszego szczegółu. Zapewne przełożył swe prawe ramię pod zgiętymi kolanami Marie, podczas gdy lewe ramię otoczyło wątki tors. Elvire nie zwróciła uwagi na szczegóły i potrzebowała dobrej chwili, żeby uzmysłowić sobie co się dzieje.

Najpierw ogarnęło ją jedynie uczucie błogości. Czarne ręce Alassane'a, jego długie wysmukłe palce zdawały się

pieścić ciało siostry, lecz ona czuła również jak muskają ją samą, jak dotykają obu ich ciał. Widziała jednak, że Marie odrywa się od niej, lecz po raz pierwszy nie było to rozstanie. Całą swą wolą brała udział w ruchu, który unosił Marie z samochodu i odrywał od ziemi. Gdy wysiadała, ją z kolei pochwycił jakiś zawrót głowy.

- Zamknij drzwi - powiedział Alassane nie odwracając się.

- Ależ...

- No chodź, przejdziemy się wszyscy troje.

Odruchowo posłuchała. Tłum rozstępował się przed nim, przed nimi, gdyż niósł on Marie owiniętą w kocę. Jego krok, jego wydłużony krok, krok dzikusa był ledwie spowolniony przez ciężar. Wkrótce miała zapaść noc i miasto w ciągu kilku minut przehandlowało błękit nieba za sztuczne kolory świateł. U Saksa, na rogu Piątej Alei wybrano jednolity blask czerwieni, jak gdyby Boże Narodzenie mogło być świętowane tylko w ostatnim paśmie widma. Witryny prezentowały jedynie czerwone suknie lub przedmioty. Aksamity, mory, jedwabie i skóry powracały echem od jednej wystawy do drugiej i tworzyły wokół sklepu ognisty krąg. Wobec takiego przepychu cienki dzwoneczek Armii Zbawienia dzwonił na próżno.

Przyciskając torebkę do boku Elvire maszerowała ścieżką wydeptaną przez tego, który niósł jej siostrę. Tego co robił ten człowiek nikt nigdy wcześniej nie uczynił. Ani ojciec Elvire, ani jej matka. Nikt. Czarny człowiek trzymający w ramionach jej siostrę nie był bohaterem. Nie usiłował chwalić się swą siłą. Marie była lekka, jak dziecko. Nie troszczył się o to czy przyciąga, czy odpycha ludzkie spojrzenia. Saint-Genet było daleko, jeszcze dalej były oczy czyhające za żaluzjami i kłatwy miotane przez piękną rudą. Tu uznano za normalne, że Marie przyszła wziąć udział w święcie. Alassane postąpił zgodnie ze swym sercem, a to wystarczyło, by kalece dać szczęście.

Alassane ubrany był w paskudny płaszcz, za ciasny na niego. Uniesione ramiona napinały mięśnie pleców i łopatki, i rozciągały przetarty materiał. Środkowy szew omal nie pękał jak strączek grochu. Gdy przechodził przez Piątą Aleję odwrócił się w stronę Elvire. Zdawało jej się, że po raz pierwszy widzi u niego promienny uśmiech. Wszystko w nim się wyciszyło. Już nie był Afrykańczykiem śniącym o Ameryce, ani senegalskim emigrantem tęskniącym za swym rodzinnym wybrzeżem. Nie miał już ani pochodzenia, ani rasy. Był szczęśliwym człowiekiem instynktownie spełniającym to, co zdawało mu się dobre, po prostu dobre. Wznosił się pośród tłumu z tą kobietą-dzieckiem w ramionach, a jego skóra w kontakcie z szarym ciałem Marie zdawała się jeszcze czarniejsza i bardziej lśniąca. Jednak od obojga promieniowała ta sama przyjemność. Wargi Alassane'a rozchyłały się ukazując dwa szerokie i płaskie kły, lekko wygięte oraz różową i wilgotną podszewkę jego czarnego ciała.

Elvire widziała jak bardzo się różni od wszystkich innych mijanych przechodniów czy mężczyzn, których знаła i to nie kolor tak szczególnie go wyróżniał. W tłumie było wielu innych czarnych mężczyzn, a Elvire w trakcie przypadkowych spotkań pieściła ciała we wszystkich odcieniach. Ten człowiek był inny, gdyż niósł jej siostrę, bo zerwał fatalne więzy, które przywiązały Marie do ziemi, bo jego siła i dobroć doprowadziły do negacji praw ciężenia i konwenansów.

Każda „pieta”, którą widziała w kościołach Francji czy Włoch miała ten właśnie uśmiech. Jakimż cudem czarny człowiek odnajdywał wyraz twarzy i gest białej Niepokalanej? Lecz madonny z jej dzieciństwa siedziały przepelnione bólem, podczas gdy czarny człowiek stał prosto w sercu nowojorskiej nocy, a w jego ramionach Marie po raz pierwszy naprawdę żyła. Owa tkliwość, nie chcąc ustąpić wносиła jego wysoką postać ponad tumult panujący przed Centrum Rockefellera. Czyż nie mówiono, że ta choinka jest naj-

większa na świecie? Miasto karmiło się tymi wszystkimi „naj”, jak gdyby piękno nie uwidaczniało się w nim w wyraźny sposób, jak gdyby trzeba było cyfr, żeby je podeprzeć. Elvire szła u boku tego, który niósł jej siostrę i nigdy w życiu nie widziała piękniejszego mężczyzny. Miała ochotę owinąć ciało Alassane'a w miękkie materie i wygładzić szorstkość jego skóry kaszmirami i ptasim puchem.

Zewsząd rozbrzmiewała muzyka. Kolędy, zwykłe piosenki, tamburyny i litanie wyznawców Ramakriszna tańczących w szafranowym korowodzie, z bosymi stopami, z których krew odeszła na skutek zimna, krzyki dzieci, wybuchy radości we wszystkich językach, pobrzękiwanie dzwoneczków nawołujących do miłosierdzia i zbawienia duszy, szepty proroków wszelkich religii, wszelkich sekt, dźwięczne nawoływania płynące z luksusowych sklepów i od wędrownych handlarzy, bulgotanie i trzaskanie frytury w oparach zjełczanego oleju i przypraw pochodzących z Bliskiego Wschodu, walc łyżwiarzy i zgrzyt łyżew na lodzie.

Elvire kupiła olbrzymią cukrową watę. W czasach Saint-Genet zawsze miała ochotę wgrzyźć się w słodkie włókienka, lecz nigdy tego nie uczyniła. Przysięgła sobie, że dopóki nie będzie mogła zabrać Marie na zderzające się samochodziki, dopóty łakomstwo pozostanie zakazane. Dzisiaj Marie była szczęśliwa w ramionach Alassane'a. Jej oczy lśniły jak gwiazdy na choince, a ręce, które wychynęły spod koca rozpoczęły owo nie dokończone klaskanie - choć dłoniom nie udawało się zetknąć - wyrażające swym nieustannym ruchem energię okaleczonego, lecz żywego ciała. Wszelkie zakazy z Saint-Genet zostały zapomniane i Elvire puściła w obieg swoją cukrową watę.

Alassane śmiejąc się gryzł to nieznane pożywienie umykające przed zatraskującymi się szczękami, którego różowe strzępki oklejały usta dookoła. Z prawej ręki Elvire zdjęła wełnianą rękawiczkę. Czubkami palców ujęła strzępek cukrowej waty i wsunęła go do ust Marie. Wata kleiła się, roz-

ciągała, zaczepiała o nich swe pasemka, rozciągając swą sieć na całą trójkę. Coś niematerialnego było w słodkawym zapachu tego produktu, który topniał natychmiast w zetknięciu z podniebieniem i mieszał swą słodycz ze śliną. Z daleka, bardzo daleka zdawały się przybywać te nitki śpiącej królowny, które wysnuły się z wrzeczona jakiegoś dobrego pająka-czarodzieja. Pająka widzieć wieczorem - nadzieja. Jakiś sprzymierzeniec wiatr przeniósł je przez Atlantyk i czas, by różowym jedwabiem połączyć ich troje ust.

Znajdująca się w dole ślizgawka była pełna ludzi. Kolorowe lampiony na choince swym mruganiem nadawały rytm ewolucjom łyżwiarzy. Kiedy jeden z nich hamował gwałtownie i spomiędzy łyżew wytryskiwały lodowe odłamki, zgrzyt przedzierał się przez kolędy ostrym tonem. Po czym koło kręciło się dalej niestrudzenie przy dźwiękach chorałów. By uświetnić triumf dzieciątka-króla zatykano trąbki i w każdym tchnieniu wiatru słyhać było trzepot skrzydeł. Głosy kastratów sławiły rozkosze tamtego świata i pośród tej nocy inkrustowanej złotem łyżwiarze wykonywali ewolucje z iście anielską gracją. Czasem się jednak zdarzało, że jakiś głos z głośnika przerywał czar. Jakiś człowiek, który nigdy w życiu nie widział z pewnością żadnego fresku Fra Angelico i miał gdzieś anioły, niebiańskie pienia i kadzidlany, święty zapach, wyrzaskiwał w mikrofon polecenia. - Jeździ się tylko w kierunku zgodnym z ruchem zegara, wyłącznie w kierunku zgodnym z ruchem wskazówek zegara - krzyczał mężczyzna, który ignorował również fakt, że zegarki mogły stracić wskazówki z chwilą nastania elektroniki. Bezwzględnie przywoływał do porządku wszystkich przeniewierców. Nagle zdało się, że w raju rządzą surowe przepisy.

Przechodnie, patrzący na Marie unieruchomioną w ramionach Alassane'a nie robili tego w ten sam sposób, co mieszkańcy Saint-Genet. Dla nich nie było nic dziwnego

w widoku silnego mężczyzny niosącego młodą kobietę. Ledwo można było dostrzec w ich oczach cień współczucia, szybko przesłonięty przez euforię. Ten tłum oddawał się szczęściu, którego zaraźliwość zmuszała do zapomnienia tego wieczoru o wysiłku, pracy, troskach i długotrwałej zawziętości. Wszyscy się śmiali unoszeni przez tę samą siłę, która kazała łyżwiarzom podnosić się natychmiast po upadku, po to, by znów się wśliznąć ze skrzydłami u nóg w sen, który chcieliby śnić wiecznie.

Zmęczenie zdawało się nie mieć dostępu do Alassane'a. Ciało Marie znalazło w unoszących je ramionach miejsce, gdzie stało się najlżejsze. Powstała pewnego rodzaju równowaga pomiędzy siłą mięśni mężczyzny a ciężarem kobiety, tak stabilna, że i on i ona uwolnieni od ciężaru czuli się doskonale. Alassane mówił do Marie, a jego rozwarte ręce wyciągały ku niebu dłonie głęboko naznaczone czarnymi rowkami. Linie zdawały się być naszkicowane chińskim tuszem, lecz w tych miejscach ciało ukazywało istic niemowlęcą różowość, jeszcze delikatniejszą i jaśniejszą w kontraście z resztą ciała. Czy w innych sekretnych zakamarkach jego skóry znajdowały się jeszcze jakieś pozostałości dzieciństwa? Czyż czarne dziecko nie wychodzi z brzucha matki całkiem białe? Czyż nie muszą upłynąć tygodnie i miesiące zanim jego ciało i twarz powoli pociemnieją? Do tej pory przechowuje jeszcze kilka śladów swego pierwotnego stanu. Tę właśnie dawną, choć całkiem młodą błądź kierował Alassane ku niebu nad Centrum Rockefellera.

Z pewnością byłby zaskoczony, gdyby Elvire powiedziała mu, jak bardzo jego gest ją oczarował i kiedy szepnęła mu do ucha zwykle „dziękuję” zdawał się nie rozumieć jej wdzięczności. Cóż w tym było nadzwyczajnego? Czyż Yaye nie dała mu przykładu? Jego matka przynależała do kasty, której powinnością jest opieka nad słabszymi. Widział jak Yaye brała w ramiona najbardziej wątłe, najbardziej chore maluchy. Troszczyła się o nie i przechowywała u siebie tak długo

jak to było konieczne. Stanąwszy na nogi nie musiały nawet przejawiać wdzięczności. Elvire powtarzała mu podziękowanie do ucha. - To mój prezent gwiazdkowy - odparł po prostu.

Piękny prezent - myślała Elvire. Prezent, o jakim nikt wcześniej nawet nie pomyślał. Zawsze czuła samą siebie podwójnie: była Elvire, była Marie. Lecz jaka samotność i cisza panowała wokół tej pary! Elvire przypomniała sobie siebie sprzed dwóch miesięcy w Saint-Genet. Właśnie udało jej się przekonać rodziców, by pozwolili jej zabrać Marie do Nowego Jorku. Do wyjazdu siostrze był potrzebny paszport. W okienku prefektury urzędnik zażądał podpisu Marie i ukryty za swoją szybą nie chciał nawet słuchać argumentów Elvire. Saint-Genet, czyli wieczny powrót. Ta sama sytuacja, ten sam brak zrozumienia. Głos Elvire, który zdaje się gasnąć, rozmówca za swą brudną szybą, który nic nie słyszy, nic nie chce słyszeć, porywająca ją gwałtowność, bunt wzmagający jej siły. Zawsze, zawsze ta sama scena, od dzieciństwa aż do wieku dojrzałego. Tym razem jednak Elvire udało się powstrzymać złość.

- Niech pan zaczeka pięć minut - powiedziała do urzędnika. - Tylko pięć minut. Za pięć minut będzie miał pan podpis mojej siostry.

Przebiegła przez korytarze. Jej obcasy stukające po czarnych i białych płytkach robiły piekielny hałas. Wyciągnęła siostrę z samochodu zaparkowanego przy chodniku i unosząc ją w ramionach wbiegła po schodach. Na głos liczyła stopnie. Nie miała pojęcia czy w czasie jej wspinaczki ktośkolwiek usiłował jej przyjść z pomocą. Nie widziała niczego i nikogo. Kiedy dotarła do osiemdziesiątego piątego stopnia został jej do pokonania jedynie czarno-biały korytarz.

- Proszę - powiedziała do urzędnika. - Tylko proszę się pośpieszyć.

Tamten zmrzył oczka i wysunął pod szybą regulaminowy papier. Elvire przycisnęła siostrę jedną ręką i przenosząc

część ciężaru na zgiętą nogę, drugą, wolną ręką uchwyciła dłoń Marie, którą pokierowała dla wykonania podpisu.

- Czy to wszystko? - zapytała z zaciśniętymi szczękami.

Tamten wybełkotał jakieś przeprosiny. I znów był niekończący się korytarz i osiemdziesiąt pięć stopni. W samochodzie Elvire znów złapała oddech. Zdawało jej się, że wydarłszy ten paszport dała Marie pewną możliwość ruchu. Wkrótce miała jej pomóc przekroczyć ocean. Czyż nie z największą odrazą przyznano im chodniki w Saint-Genet i podcienia, gdzie światło słoneczne ledwo co przenikało? Ona chciała ofiarować Marie Nowy Jork, a może jeszcze więcej. I nie miał to być cud, w który Elvire wierzyła tak długo - jej siostra, dziewica o imieniu Dziewicy nie mogła być chyba zapomniana przez królową cudów? - lecz przyjemność, jakaś przyjemność w życiu, które miało ich tak niewiele.

- Nie jesteś zmęczony? - zapytała Elvire Alassane'a.

- Nie, a ty?

- Czuję się tak, jakby mi wyrosły skrzydła, a Marie zyskała nogi, solidne nogi, jak twoje.

Flagi wszystkich państw trzepotały targane morskimi wichrami, które wpadały na esplanadę. W spojrzeniu Marie ciemne źrenice rozszerzały się pod wpływem ciekawości. Przyjemność i nowe doznania powiększyły je do tego stopnia, że tak jak u kota pochłaniały całą resztę oka.

Dwa miesiące potem Elvire wynajęła mniejszy od cadillaca samochód i wyruszyła z Marie do Teksasu. Zależało jej na tym, żeby siostra przed powrotem do Francji znalazła się w samym sercu amerykańskiej legendy. Razem obejrzały w telewizji tyle westernów, że Elvire obiecała sobie, iż pewnego dnia dostarczy Marie to, czego obraz nie był w stanie oddać: zapach trocin, końskiego nawozu, skór przesiąkniętych potem, smak piwa wychłęptanego w tumanie pyłu

i piasku, teksański akcent, który gubi każde słowo w ciężkim oddechu krów i dzikich koni.

Ponieważ Alassane był zatroskany widząc jak wyjeżdżają same, Elvire odpowiedziała mu, że po wspólnym przeżyciu Saint-Genet nie miały czego się obawiać przy spotkaniu z Teksasem. Kilka dni później rzeczywistość wzmocniła to uczucie. Przez telefon Elvire powiedziała mu, że na wszystkich rodeo sadzano je w pierwszym rzędzie, podczas gdy w Saint-Genet zabraniano im nawet wstępu na salę kinową.

Alassane czuł, że każdy wypad był dla Elvire rewanzem, każdy obrót koła sposobem uregulowania rachunków z Saint-Genet. Z wysokości wzgórza pluła niegdyś na to nędzne miasto i jego dolinę cieni. Mała dziewczynka z wózkiem wyrzucała z siebie nienawiść i poniżenie. Przemierzając pustynie Teksasu znowu była małą dziewczynką z wózkiem, nigdy nie przestała nią być. Przytracała siostrę do tylnego siedzenia, chwyciła za kierownicę i całymi dniami prowadziła słuchając z kaset głosu Janis Joplin. W motelach taszczyła swoją siostrę, przebierała ją, myła, wtykała do ust odżywki niemowlęce, mówiła sama to, co Marie mogłaby powiedzieć gdyby mogła, przekładała umęczone ciało na bok i prawie natychmiast zasypiała, a jej niestrudzone członki przejmowały kształt członków kalek. Rano budzik dzwonił przed świtem. W nocy Elvire przerzucała siostrę na drugi bok nawet się nie budząc, tak instynktownie wykonywała te ruchy. W obecności siostry odnajdowała sen, a rankiem powracał głód życia. Na jakiś czas zostały zapomniane amfetaminy, chrupane po omacku w beładnym przypiływie mdłości i rozpacz. Sprężynie nie były potrzebne żadne sztuczne zabiegi żeby się napięła.

Elvire nie przeszkadzało, że te rodea są jedynie kolejnymi etapami na wytyczonym szlaku fotograficznym i, że vaqueros woleli trzask migawek nikonów od ciszy pustyni - wraz z Marie odczuwała tę uciechę z wiejskich festynów, której im niegdyś odmawiano. Miały typowo dziecięce wymagania

i nie ścierpiałoby, gdyby zaniedbano symbole. Kowboj musiał mieć obowiązkowo kołyszący się krok, chustkę na szyi i stetsona. Na swym dzikim koniu powinien zgubić kapelusz i unieść lewą rękę, podczas gdy jego rumak miotał się, parskał, zwijał i w ostatnim elektrycznym wstrząsie wysyłał jeźdźca nosem w pył. Bohater Zachodu miał koszulę powalaną potem i ziemią. W coralu musiał się pochylić nad Marie z czułością silnego mężczyzny i przesłać jej prosto w twarz swój uśmiech i oddech przesycony piwem. Mógł mieć cerę i włosy jasne, jasnością swego pochodzenia, lecz niektóre krzyżowania ras dawały wspaniałe wyniki.

Niedaleko Houston w potężnym hangarze bydło i Jedno-ręcy bandyci" stali obok siebie pośród zapachu moczu i pieczonych kielbasek. Ubrana w chodaki na wysokim obcasie Elvire wykręcała sobie kostki i z trudem pchała łóżko siostry. Koła ślizgały się po piasku, jeden obrót w przód, jeden w tył. Na estradzie jakaś Dolly Parton o włosach żółtych na czubku, czarnych przy cebulkach ryczała w stylu country. Spod jej wyszywanego cekinami swetra wyskakiwały piersi a la Marilyn Monroe, a jej zadek podrygiwał w niewłaściwym momencie wypychając pasiasty, różowo-zielony trykot. Jakiś kowboj o upierścienionych dłoniach odepchnął delikatnie Elvire i zajął jej miejsce w zaprzęgu. Dzięki niemu łóżko zostało wyciągnięte z piachu w mgnieniu oka. Skóra mężczyzny była ciemna, a nos orli. Turkusy na palcach i piersi podkreślały swym blaskiem płynącą w jego żyłach mieszankę krwi afrykańskiej i indiańskiej. Razem pochłonęli kielbaski a kowboj władczy gestem chwycił za łóżko, które wyciągnął z hangaru i ustawił tuż przy arenie, zaraz za ochronnymi barierkami.

- A teraz popatrzcie na mnie, dziewczyny - krzyknął. - Jeśli mi się uda, poślubię was obie!

Pojawił się kilka minut później na małym alezanie¹⁾, szyb-

¹⁾ **koń arabski kasztanowej maści (przyt. tłum.)**

szym niż strzała jego przodków. Jego uda ścisnęły gorącą, końską pierś. Objechał kilka razy plac, po czym w pełnym biegu przeskoczył ze swego wierzchowca na grzbiet młodego byka, któremu wykręcił kark swymi turkusowo upierścienionymi rękami. Powalony na ziemię byczek zgiął kolana i opadł w piach wydmuchując przez nozdrza chmurę pyłu.

Dla Marie i Elvire Boże Narodzenie zdawało się nie mieć końca. Miały jeszcze w pamięci żłobek, który, po spacerze przy Centrum Rockefellera Alassane pokazał im w SoHo, a dokładniej na Houston Street. Oprócz samej nazwy, coral spod Houston był przedłużeniem widowiska z Houston Street. Czyż nie było tam podobnego ciepła stajni i czułości, intymności ludzi i zwierząt, jakby przypomnienia początków świata, a na tej naiwności tego samego oszukańczego lakieru?

Tej nocy Elvire wyczekała aż Marie zacznie oddychać spokojnie przez sen, by oddzielić swe ciało od kończyn ukochanej. Kowboj czekał na nią przed drzwiami motelu i szła na spotkanie z nim wbrew sobie. Zdawało jej się, że kogoś zdradza, być może siostrę. Czyż nie miała zwyczaju niczego przed nią nie ukrywać? Dlaczego tej nocy obawiała się dezaprobaty Marie? Nie pierwszy raz miała uprawiać miłość bez miłości. Pieściło ją tyłu mężczyzn, po których nie zachowała żadnego wspomnienia. Ani głosu, ani skóry, ani imienia. Mijając ich na ulicy nie rozpoznałaby ich po żadnym szczególe. I na niej nie pozostawili najmniejszego śladu. Choć jednak w sumie coś w rodzaju erozji. Czy w anonimowych rękach ciało traci wrażliwość? Elvire myślała o Świętym Antonim z bazyliki w Saint-Genet, którego marmurowa stopa w sandale wystawiała swe palce na pastwę uwielbienia wiernych. Na przestrzeni wieków kamień wytarł się i Święty Antoni stał się posiadaczem koślawej nogi. Elvire

nie chciała już więcej czuć na swym ciele niszczących pieśczoł. Nie stanie się właścicielką krzywej ręki lub koślawego biodra. Lecz jaki rzeźbiarz wydobędzie z niej siłę i krzyki pożądania?

Kowboj zdawał się być zdziwiony, że przyszła na spotkanie. Widział już tyle przejeżdżających turystek robiących mu zdjęcia na kasztanku, lub na byczym grzbiecie, które pomimo obietnicy nigdy nie przysłały fotografii. Biło od niego takie zmęczenie, że ona poczuła się niezdolna do odrzucenia mężczyzny i jego zaufania. Zgodziła się pójść z nim na kielicha do miejscowego saloonu.

- Może się okazać, że będzie tam pani jedyną kobietą. Nie przeszkadza to pani?

- Ani trochę.

- Podoba mi się pani francuski akcent - powiedział.

- Robię wszystko co mogę, żeby go zgubić. Francuzki mają u was kiepską reputację.

- Och, reputacja... Nie warto się nią przejmować. Ja zachowałem mojego stetsona i skórzane spodnie, żeby nie sprawić pani zawodu, a jednak marzę wyłącznie o jednej rzeczy: przestać zgrywać błazna na rodeo.

Wsadził Elvire do ciężarówki, w której unosił się zwierzęcy zapach. Jechał powoli prostą, szeroką drogą. Ani po lewej, ani po prawej stronie drogi w świetle lamp nie rysował się żaden pionowy kształt. Na tle tego pustego pejzażu mówił, że granicą wieku kowboja jeżdżącego na rodeo jest mniej więcej trzydziestka i, że trzeba oszczędzić dostateczną ilość pieniędzy, żeby się przygotować do nowego życia.

- To tam - powiedział wskazując na samochody i ciężarówki zaparkowane przed długim, niskim budynkiem, wolno stojącym przy krawędzi drogi.

Wewnątrz rzeczywiście byli sami mężczyźni. Co ciekawe najstarsi przywdziali swe kowbojskie stroje, podczas gdy najmłodszy paradowali w zwykłych garniturach, które ciasno

opinały ich muskuły i ramiona. Stojąc przy kontuarze odruchowo podnosili łokcie i jednym haustem opróżniali szklanki bez względu na ich zawartość.

Obecność Elvire w niczym nie zmieniła toku rozmów. Wszyscy głośno marzyli o małym rancho, tak jak pod innymi szerokościami geograficznymi kurwy śnią o urządzeniu się i kupieniu na stare lata jakiegoś barku, czy sklepiku. Wszyscy bardzo chcieli jeszcze przez jakiś czas wystawiać się na ryzyko połamania kości na kawałki, jeśli tylko na końcu tego wszystkiego istniała nadzieja na posiadanie fermy i wystarczającej ilości bydła. Kowboj Elvire, murzyńsko-indiański mieszaniec nie był jedynym, który pragnął skończyć z rodeo. - Dzisiaj - wyjaśniał - jest szansa na powrót do tradycji. Aby to uzyskać należy produkować chude mięso, zgodnie z życzeniami mieszkańców miast.

Wymachiwał ciemnymi rękami zdobnymi w turkusy. Alkohol i projekty przykrywały zmęczenie. Jego żółte oczy dzikiego kota błyszczały na samą myśl o osiągnięciu pewnego dnia wielkich zysków.

Kiedy odprowadził ją do motelu nie miała najmniejszych kłopotów z odrzuceniem niezbyt przekonującego uścisku. Gdy tylko przestał omawiać swe projekty i komentować jakość i ceny mięsa, zmęczenie przyćmiło jego spojrzenie, a alkohol bardziej rozkołysał jego krok niż to pokazują w westernach. Przed pójściem do swego pokoju Elvire życzyła powodzenia temu ryerczowi z Dzikiego Zachodu. Czyż nie było jednak szkoda, że bohater spadając z konia stłukł swoje życiodajne naczynia?

Elvire poznała po licznych znakach, że siostra obudziła się pod jej nieobecność. Powiedziała wówczas, że poszła zaczerpnąć świeżego powietrza. W pokoju jest zbyt gorąco. Marie odpowiedziała chrząknięciem. Powrót Elvire podniósł ją na duchu. Reszta nie była ważna. Elvire rozebrała się. Znowu wsunęła się tuż obok ciała, które było jej przedłużeniem. Ten sam strumień krwi i impulsów nerwowych

płynął w jednej i drugiej. Brutalnie odcięty palec odnajdywał dzięki chirurgii snu swoje miejsce w okaleczonej dłoni.

- Jutro wracamy - szepnęła Elvire przed zaśnięciem. Dodała, że jej również brakuje Alassane'a.

- Zarezerwowałam trzy miejsca, lecz jesteśmy tylko dwie.

- Chce pani przez to powiedzieć, że z jednego pani rezygnuje?

- Nie, zatrzymuję wszystkie. Moja siostra musi leżeć. Potrzebne mi są trzy miejsca obok siebie.

Minęły już dwa tygodnie od pobytu w Teksasie. Kalendarz wskazywał nadejście wiosny, deszcz jednak padał bez przerwy. Elvire odprowadzała Marie do Francji, do Saint-Genet. Po tak długim okresie wspólnego życia nawet najpiękniejsze słońce świecące nad lotniskiem Kennedy'ego nie mogło rozjaśnić nadchodzącego momentu rozstania.

Francuska hostessa, doskonała w swym kostiumiku, zdawała się nie zaznać nigdy innego powietrza jak to, które płynie z klimatyzatorów, ani poznać innej muzyki niż płynąca z głośników w luksusowych hotelach. Jej mała twarz podobna do kamei została wyrzeźbiona godzinami makijażu i ciągłym praktykowaniem pogardy.

- Nie mam trzech miejsc obok siebie - rzekła ze wzrokiem wbitym w monitor komputera.

- To co mam zrobić? Pokroić siostrę na kawałki?

Hostessa raczyła podnieść wzrok. Elvire skorzystała z tego, by wskazać na Marie wyciągniętą przez Alassane'a z łóżka i siedzącą na jednym z wózków na kółkach, oddanych do dyspozycji osobom niepełnosprawnym. Wzrok hostessy powrócił do monitora i klawiatury.

- Powinna się była pani zgłosić do rezerwacji wcześniej - rzekła zagłębiając karminowy i wymanikiurowany paznokieć palca wskazującego pomiędzy kosmyki włosów nie niszcząc przy tym ich wydumanego układu.

Wszystko, co do włosa, powinno zostać na swym miejscu aż do końca jej zmiany, aż do końca świata.

- No dobrze, myślę, że jakoś to załatwię - oznajmiła wreszcie z przekonaną miną.

- Proszę mi uwierzyć - odparła Elvire z odrobiną tylko ironii - że jesteśmy z siostrą wzruszone pani wyrozumiałością.

- Czy ma pani bagaże? - zapytała tamta swym zjadliwym głosem.

Najej opuszczonych powiekach wszystkie odcienie ochry, od żółtej do brunatnej, zaznaczały cienkie rowki, doskonale rozdzielone i te dwa symetryczne pejzaże odbijały się w jej spojrzeniu, trwając w nim nadal. Elvire postawiła torby na ruchomym chodniku. Przyzwyczajona do ciężkich ładunków umiała je pewnie uchwycić i przenieść wysiłek na całe ciało. Wysoka, szczupła, zawsze w niepewnej równowadze na swych wysokich obcasach, z dziecinną twarzą i spojrzeniem, z giętką szyją, z bladymi i delikatnymi przegubami zaskakiwała swą robociarską krzepą i bezceremonialnością.

- Brudzi pani chodnik - zwróciła uwagę hostessa, która zdawała się otworzyć oczy po raz pierwszy.

Brodą wskazywała na łóżko Marie, które Elvire ustawiła za torbami.

- Słucham? - zapytała Elvire zastygła w bezruchu.

- Powtarzam, że brudzi pani chodnik. Koła są ubłocone.

- Gdyby pani wyszła ze swego pudełka być może zauważyłaby pani, że pada.

- Nie widzę związku.

- Kiedy pada, a pani wychodzi, to ma pani podeszwy „brudne”, jak to pani mówi. Moja siostra może się przemieszczać tylko na łóżku. Te koła to podeszwy, czy pani rozumie?

- Mogła je pani oczyścić. Proszę pomyśleć o tych, którzy postawią tu bagaże. Nie jest pani sama.

- Niestety nie!

W mgnieniu oka Elvire przechyliła się przez kontuar oddzielający ją od wazniaczki i spoliczkowała ją na odlew. Tamtej mowę odjęło i miała tylko tyle siły, by unieść do policzka, jakby chcąc ukryć wstyd, dłoń o karminowych paznokciach. Elvire odwróciła się do Alassane'a, który nadbiegł natychmiast.

- Nic się nie stało - powiedziała. - Po prostu odnowiłam kontakt z Francją.

Elvire powróciła z Saint-Genet tak znerwicowana, że jej skoki humoru zdawały się zwielokrotnione. Po godzinach przygnębienia następowały okresy intensywnej aktywności. W mgnieniu oka załatwiała to, co porzuciła poprzedniego dnia i kończyła swą pracę dopiero w porze wydawania kolacji w miejskich restauracjach. Potężny budynek na Avenue of the Americas wyludniał się. Elvire kręciła się jeszcze po biurach na trzydziestym trzecim piętrze w poszukiwaniu jakiegoś dossier, które mogłoby zaspokoić jej wieczny głód. Telefony milczały od kilku godzin. Francja zapadała w coraz głębszy sen i teraz nikt nie próbowałby nawet nawiązać łączności pomiędzy dwoma brzegami Atlantyku.

W takich chwilach Elvire żałowała, że nie można grać w klasy z jednego kontynentu na drugi. Gdyż w Saint-Genet ludzie mieli się wkrótce obudzić. Na wiosennym niebie miał pojawić się brzask. Pojawi się dzień i ludzie znów będą uratowani. Zaś w Nowym Jorku do pokonania została cała droga aż do świtu.

Odkąd Marie powróciła do Saint-Genet, separacja i różnica czasu zakłócały ich życie. Jak niegdyś Elvire musiała znowu nauczyć się chodzić sama i usiłować, bezskutecznie, odbudować swą jedność. Każdej nocy sen umykał. Na próżno kładła się na boku podciągając zgięte nogi aż pod brodę, brakowało cząstki jej samej. Wierciła się, wierciła w pościeli, a zapomnienie nie przychodziło jej z pomocą.

Od świtu już była na nogach i chrupała małe cudotwórcze pigułki, które miały jej dać to, czego noc odmówiła. Zawsze pierwsza przychodziła do biura. We Francji dzień był już na wpół zużyty gdy Elvire dzwoniła do Marie. Wówczas rozpoczynała swój dwutaktowy monolog. Tam bardzo daleko, tutaj tuż przy uchu istniał oddech Marie, jej siostry, nieruchomej, zaczątki śmiechu, szkice słów, które tylko Elvire umiała zinterpretować i zrozumieć. W jednym oddechu umiała wychwycić wszelkie niuanse uczucia. W gardłowym głosie odgadywała każde cierpienie. Ogarniał ją wstyd za bezwład, zmęczenie, zniechęcenie, podczas gdy w Saint-Genet Marie walczyła o ocalenie tej odrobiny życia, która została jej przyznana. Obecność Marie w satelitarnym echu dawała Elvire moc, która łączyła się z mocą sączoną w jej żyły przez małe poranne pigułki. Musiała mówić i chodzić za Marie. Musiała za nią kochać. Musiała wypełnić podwójny obowiązek życia. Krew krążyła w niej znowu.

Jednak przelotni mężczyźni już jej nie interesowali. Nie tylko straciła na nich ochotę, lecz lubiła sobie powtarzać, że Marie potępiłaby błahość takich znajomości. Marie pragnęła czegoś więcej. Marie, której ciało nie było pieśczone przez żadne ręce, prócz siostrzanych, nie mogła się zadowolić kontaktami, co nie angażowały ani czasu, ani pamięci. Elvire przypisywała Marie to, czego nie śmiała wyznać samej sobie samej. Niekiedy zdarzało jej się podejrzewać u siebie jakąś zmianę, której wagi nie umiała docenić. Jednak coraz częściej powtarzała Alassane'owi: „Potrzebuję ciebie”. Jeszcze częściej tak myślała. W krótkim czasie stał się najważniejszym człowiekiem we French Movie Office. Będąc nie tylko szoferem nauczył się odbierać telefony, sprawdzać rachunki, prowadzić kartoteki, wynajdować rozmówców i sposób dostępu do każdego miejsca. Dzięki własnej ciekawości i informacjom Elvire wiedział wszystko o mieście i ekipy zdjęciowe brały pod uwagę jego rady. Umiał patrzeć na każde miejsce tak, jak na dekorację patrzy

obiektyw kamery, umiał wytropić w ostatniej chwili dodatkowego aktora i nazwisko jego agenta, odkryć salę projekcyjną, gdzie liczba foteli dokładnie odpowiadała liczbie gości. Nie przestając przy tym odgrywać za kierownicą swej białej limuzyny szofera, który milczy dopóty, dopóki nie zapytają go o zdanie. Dla Elvire wszystkie te wartości były głupstwem w porównaniu z obrazem Alassane'a, jaki wypieściła w sekrecie. Na pięknej ikonie niósł w ramionach Marie przez tłum pod Centrum Rockefellera.

Pewnego ranka, gdy Elvire skończyła właśnie rozmowę z Marie usłyszała Alassane'a krzątającego się w sąsiednim pokoju. Czytał „New York Timesa” i szurnięcie po wykładzinie bosych stóp Elvire przywołało uśmiech na jego wargi.

- Co tam słyhać w Saint-Genet? - spytał nie podnosząc głowy.

Bynajmniej nieobojętne spuszczone oczy Alassane'a wskazywały wyraźnie, że między nim a Elvire dialog toczył się w sposób całkiem naturalny, że nigdy nic nie mogło naruszyć ich porozumienia.

- Marie kocha cię bardzo - powiedziała.

- Jak się czuje?

Odłożył dziennik na stół. Alassane patrzył na Elvire z czułością.

- Nie najgorzej - odparła.

Po czym dodała potrząsając swymi blond kosmykami:

- Kocha cię.

Powtarzała: kocha cię Alassane, kocha cię. Elvire pchała w kierunku ściany stół, o który się opierał. - Kocha cię - szeptały wargi muskając ciemny, delikatny policzek. Białe ręce Elvire, jej dłonie, jej przeguby i ramiona, po których jakby wynaturzony piał się błękitny bluszcz, tańczyły wokół Alassane'a. Dotykała przez koszulę mięśni mężczyzny, który niósł Marie. Odgadywała ogarniające go gorąco. Pieszczoła rodziła się mimowolnie na opuszcze każdego palca. -

Kocha cię, czyż nie widzisz, że cię kocha? - W oczach miała łzy, a na czole zmarszczki gmatwające jej myśli. Przywarła do niego. Ujęła głowę Alassane'a w dłonie. - Kocha cię, kocha - nie przestawała mówić. Monotonna modlitwa. Zmarszczki wygładzały się na jej czole. Złożyła swe usta na jego, językiem rozsunęła grube, brunatne wargi i wdarała się w niego gwałtownie.

- Nie, Elvire. Nie trzeba.

Odpychał ją ze wszystkich sił. Jak pasemko cukrowej waty, drobinka śliny łączyła jeszcze ich usta. Pragnęła go, pragnęła tak, jak nigdy jeszcze nie pragnęła żadnego mężczyzny. Pożądała jego ciepła i całkiem gładkiej skóry, lecz również pragnęła przytulić się do niego i zamknąć oczy. Czyż Marie nie zrobiła tego przy Centrum Rockefellera? Dlaczego nie ona? Dlaczego? Pytała: dlaczego? A on oddalał ją od siebie na długość ramienia. Nikt dotąd nie odepchnął jej w ten sposób. Duma Elvire nie czuła się jednak urażona. To co nazywa się próżnością, dumą, a nawet pychą w tej chwili nie miało sensu. To był ten ruch przybyły z oddali, który bezwiednie niósł ją ku temu mężczyźnie, nieodparcie ku temu mężczyźnie, od zawsze, od Saint-Genet, od dzieciństwa i bólu, od wspólnych śmiechów i triumfu pod Centrum Rockefellera, od chwili gdy postawił stopę w jej biurze, a nawet zanim go ujrzała, w owej potrzebie jego istnienia, którą jego nieobecność w niej wzbudzała; to właśnie ten pęd rozbił się nagle o odmowę człowieka, którego kochała. Gdyż „nie”, „nie” wypowiedziane przez niego rozbudziło ją. Jak policzek, jak lodowaty prysznic. Teraz już wiedziała, że jej ciało i głos nie przemówiły w imieniu Marie. Elvire, tylko Elvire kochała, a wszystkim jej członki drżały pod ręką tego, który mówił nie.

- Dlaczego? - krzyczała nie przejmując się otwartymi drzwiami i ludźmi chodzącymi tam i z powrotem po korytarzu.

- Proszę cię Elvire, uspokój się - odpowiadał.

- Dlaczego? Wzbudzam w tobie wstręt? Przyznaj, że wzbudzam w tobie wstręt.

- Oszalałaś! Nigdy nie spotkałem piękniejszej i bardziej pociągającej kobiety od ciebie.

- Więc dlaczego?

- Spokojnie - mówił tak jak się mówi do małego dziecka.

- Spokojnie, nie jesteśmy sami.

- Boisz się? Wyznaj, że się boisz. Alassane, wielki dzikus, człowiek z Afryki, Alassane, który targał na swych ramionach martwych i żywych, Alassane boi się. Przyznaj, że to ja cię przerażam!

Jego palce zaciskały się wokół ramienia Elvire. Zapewne pojawią się niebieskie ślady na jej zbyt bladym ciele. Zawsze chciał ją chronić przed uderzeniem się o kanty mebli, a teraz on sam ją ranił.

- Tak Elvire, boję się.

- Ale czego, na Boga?

- Że nie jestem tym, którego pragniesz, którego szukasz.

- Czy ty wiesz czego ja chcę? Czy zadałeś sobie chociaż to pytanie?

- Nie niszczy naszego porozumienia. Dzielimy już tyle rzeczy.

- Dla ciebie miłość jest niszczeniem?

Oddalała się od niego. Widział jej biodra kołyszące się pod napiętym materiałem sukienki. Na tym zbyt szczupłym ciele piersi, biodra i pośladki miały takie wypukłości, które każdy gest przekształcały w prowokację. Jednak Elvire zdawała się nie być świadoma swej władzy. Jej sposób poruszania się był naturalny, a pozy jakie przyjmowała miały w sobie coś frywolnego, co przypominało Alassane'owi kobiety z jego dzieciństwa. Elvire o skórze białej, bardzo białej miała zmysłowość wyeksponowaną, a mimo to nieświadomą jak Afrykanka. Widział, jak wszyscy mężczyźni jej ulegali.

- Elvire - zawołał.

Trzymając dłoń na kłamce skierowała ku niemu niepewne spojrzenie. Widział u niej takie oczy tylko jeden raz, w dniu kiedy Marie złapały w nogi gwałtowne skurcze. Pozbawione mięśni, składające się z samych kości członki chorej drgały, a usta wykrzywiały się w niemej skardze. Spojrzenie Elvire było pełne przerażenia, lecz jej ręce energicznie i precyzyjnie, jednym suchym gestem nastawiły jedną nogę, potem drugą i długo masowały najbardziej obolałe ich partie. Podwinąwszy rękawy na swych delikatnych ramionach ugniatała ciało z zawziętością praczki. Powoli jej dłonie wyrwały z siostry cierpienie i kiedy drgawki przestały wprawiać w wibracje ścięgną Marie, jak gdyby Elvire wzięła na siebie cały ciężar bólu, jakiś spazm wstrząsnął jej ciałem i opadła wyczerpana na łóżko skąd udało jej się wygnać ból.

- Elvire! - zawołał znowu.

Alassane stał jak wrośnięty w ziemię i powtarzał jej imię nie ośmielając się wykonać najmniejszego ruchu, ona zaś już wzruszyła ramionami i zatrzasnęła za sobą drzwi. Po raz pierwszy wyrosła pomiędzy nimi bariera. Dlaczego w tej samej chwili gdy przytknęła swe usta do jego ust poczuł, że ich ciała nie mogąc obojga poprowadzić ku całkowitemu połączeniu, mogły spowodować ich rozłąkę? Czy obawiał się, że wchodząc do jej łóżka stanie się mężczyzną jednym z wielu? Za swymi szoferskimi plecami ileż razy wyczuwał jak ci ignoranci, uważający się za wyjątkowych, rozpoczęli swój miłosny taniec przed Elvire? Miał też wykazać podobną naiwność? Zburzyć w jeden dzień, w jedną noc przyjaźń, miłość nie wymagającą ani dowodów, ani gestów, ani słów? Uwielbiał ją. Czyż to nie wystarczyło?

W porze lunchu zapukał do drzwi Elvire, która nigdy nie zamykała się na tak długo.

- Pójdiesz ze mną do „Delikatessen”? - zapytał.

- Nie mam czasu.

Jej głowa pochyliła się nad dokumentami. Bałagan wokół niej jeszcze się powiększył.

- Chcesz żebym ci coś przyniósł do jedzenia? - dopytywał się uparcie.

- Nie, nie. Nie chcę nic.

Przez całe popołudnie drzwi Elvire pozostawały zamknięte. Jednak Alassane słyszał z sąsiedniego pomieszczenia odgłosy rozmowy. Głos Elvire rzadko było słyhać i zdawał się on przytłumiony. Jednak kilka razy rozbrzmiał, by wykrzyknikiem podkreślić jakiś szczegół w monologu mężczyzny, którego wejścia Alassane nie zauważył. Nagle stało się dla niego nieznośne, że drzwi pozostają zamknięte. Komuż to Elvire zezwoliła na wejście do swej pieczary zaciemnionej dodatkowo przez sterty papierzyśk nacierających na okna i ściany. Już od miesięcy nie chcąc pokazywać gościom rozmiarów zniszczeń przyjmowała ich wyłącznie w salonie. Jeden Alassane umiał się poruszać między pakami, torbami i teczkami, aby odnaleźć zakonserwowany pomiędzy dwiema warstwami tych skał osadowych papier, którego akurat potrzebowano.

- Muszę uzyskać od Elvire pewną informację, a nie chciałbym jej przeszkadzać - wyznał obłudnie Jimmy'emu, który w F.M.O. zajmował stanowisko telefonistki i czuwał w hallu nad wchodzącymi i wychodzącymi.

- Z kim ona jest? - dopytywał się dalej Alassane.

- Ona jest z kimś? A skąd ja mam wiedzieć?

Jimmy o rudych włosach nastroszonych wokół czerwonej twarzy był jedynym Amerykaninem w F.M.O. Jego zasiedzialość w tym miejscu przywodziła go do lęku przed zmianami i nowymi twarzami. Swój czas pomiędzy telefonami wypełniał śledzeniem notowań akcji na giełdzie, a także czytaniem w wyspecjalizowanych gazetach wszystkiego co dotyczyło miłostek gwiazd: ich spotkań, małżeństw, rozstań, rozwodów. Mógł każdemu wyjawić z dokładnością prawie co do funta codzienną wagę Liz Taylor, prawie co do karata wagę diamentu jaki właśnie otrzymała od swego ostatniego narzeczonego.

- Z kim ona jest? - powtórzył Jimmy.

Zawiesił głos jakby chciał wzmocnić efekt. Nie lubił Alasane'a. Czyż nie był on w F.M.O. ostatnim przybyszem? Przed jego pojawieniem się to właśnie z nim Elvire została czasami wieczorem, a siedząc samotnie w swej kawalerce w sercu Bronxu wycinał dla niej artykuły i zdjęcia ulubionych gwiazd. Od przybycia tego czarnucha ani razu nie zapytała go o nowiny o Betty Midler czy Mii Farrow.

- Z kim ona jest? - powtórzył. - Wiesz, nie mam pojęcia. Zbyt ciężko pracuję, żeby się o to troszczyć. Ale gdybym wiedział, też bym ci nie powiedział. Ona jest tu szefową. Przyjmuje kogo chce, kiedy chce i jak długo chce. I to jest jedyna rzecz, jaka się nie zmieni, wierz mi.

Z Georgesem odniósł nieco większy sukces. Ten przynajmniej miał tę zaletę, że dotrzymywał swej obietnicy z pierwszego dnia. Nie tylko przyczynił się do zatrudnienia Alassane'a, lecz również oznajmił, że we French Movie Office nieważny jest kolor skóry, a liczy się tylko praca i wyniki. Georges dotrzymał słowa, a jego utrefiona fryzura w stylu latin lover w niczym nie zakłócała jego przyjacielskiej natury.

- Jest z Sebastienem - odpowiedział natychmiast na pytanie Alassane'a.

- Z Sebastienem?

- To najlepszy fryzjer w całym SoHo i najlepszy przyjaciel Elvire. Zresztą obawiam się, czy à propos tych dwóch tytułów, nie będzie musiał zrezygnować z pierwszego. Ma poważne kłopoty. Z zaszczutą miną zamknął się w biurze Elvire. To może potrwać.

- Jej najlepszy przyjaciel? - podjął Alassane. - Widzę, że nie powierza swych włosów byle komu. Kiedy przybyłem tu po raz pierwszy właśnie ją strzygł. Przypominam sobie nawet, że śpiewała jakąś piosenkę Janis Joplin.

- Wiesz, Elvire ma mnóstwo przyjaciół. Powiedziałem, że jest jej najlepszym przyjacielem ot tak, bo ona bardzo go lubi. Nie chciałem cię urazić.

Mile się uśmiechał, a jego długie dziewczęce rzęsy wyginały się nad ciemnym spojrzeniem. Uwodzicielski wygląd i elegancja światowego tancerza nie naruszały jego szczerości.

- Nie wiem jak ona to robi - ciągnął - ale nawet dawni kochankowie stają się jej przyjaciółmi. Rzec by można, że wszyscy oni przeżyli z nią coś nadzwyczajnego, tak nadzwyczajnego, że nie mają jej za złe, iż zbyt wcześnie położyła temu kres. Gdy tylko potrzebuje jednego z nich, ten choćby z końca świata odpowiada: obecny. To naprawdę zadziwiająca kobieta. W tym przypadku muszę cię jednak podnieść na duchu, Sébastien nie był nigdy jej kochankiem.

- Dlaczego zaraz „podnieść na duchu”? Co mnie to obchodzi, czy był jej kochankiem, czy nie.

- Wiem, wiem. Nie warto się obruszać, tym bardziej że znasz jej siostrę. Tylko Marie Elvire jest wierna, a w obliczu takiej rywalki największy cwaniak czuje się bezbronny.

Jakieś dziesięć lat wcześniej Georges marzył, żeby zostać aktorem. Aż wreszcie znurzony szlifowaniem korytarzy w Buttes-Chaumont i kołataniem do drzwi wytwórni filmowych na Champs-Élysées zajął się produkcją filmów, których gwiazdami byli inni, mający większe szczęście lub bardziej utalentowani. Od chwili gdy zaczął pracę w F.M.O., a mieszkankom Nowego Jorku wielce przypadły do gustu wypomadowane fale jego fryzury i ogniste spojrzenia, zapomniał o swym pierwotnym powołaniu. Mając właściwy sąd o sobie chętnie przyznawał, że ze swym wyglądem pomylił epoki. W latach trzydziestych lub czterdziestych byłby niedościgłym uwodzicielem mrocznych sal. Teraz preferowano gęby, a on, biedaczysko, miał twarz. Trudno, Amerykanki warte były zboczenia z drogi, a on odnosił w Upper East Side sukcesy miłosne i towarzyskie, które mogły powetować jego minione rozczarowania. Dwa lub trzy razy Alasane zgodził się nawet zagrać rolę jego osobistego szofera, żeby zrobić wrażenie na jakiejś nowej zdobyczy. Niezwykle

ceremonialnie otwierał drzwiczki cadillaca przed wejściem do modnej restauracji, „Four Seasons” lub „Cirque”, przed odwiezieniem swych znakomitych pasażerów do Clojsters lub na wzgórze Fort Trynon Park górujące nad Hudson. So romantic! Z tych eskapad zrodziło się wesole wspólnotwo. Georges lubił się zwierzać, a Alassane umiał słuchać.

- Pokłóciliście się z Elvire? - zapytał Georges nagle zaintrygowany.

- Skąd. Z czego to wnosisz?

- Na ogół nie prosisz mnie o pozwolenie na rozmowę z nią.

- Na ogół ona się nie zamyka w swoim biurze.

- Ba! Będzie musiała stamtąd wyjść, jeśli nie chce się udusić na śmierć. Jak tylko jej zabraknie jakiejś teczki będzie musiała w końcu zawołać cię na pomoc.

Pomimo przewidywań Georgesa przez całe popołudnie powstrzymała się od poproszenia o pomoc. Cały czas czujny, Alassane usłyszał jak odchodzi gość Elvire, lecz wziął sobie za punkt honoru, żeby nie wyjrzeć, by go zobaczyć. Po wyjściu Sebastiena usłyszał tylko kilka krótkich wypowiedzi Elvire rzuconych do telefonu. Zapadła już prawie noc, kiedy Georges i Jimmy zapytali kolejno przed opuszczeniem biura czy jeszcze ich potrzebują. Odparła, że wszystko jest w porządku i, że zobaczą się nazajutrz.

Alassane odprowadził ich aż do windy, jakby usiłował opóźnić nadejście chwili, na którą czekał przez cały dzień. Teraz wystarczyło tylko pokonać przepaść, jaka po raz pierwszy oddzielała go od Elvire. Przyczajona w swej pieczarze cieni czekała na niego ta kobieta, w której życiu prywatnym od miesięcy brał udział, a która pewnego wieczora stała mu się obca.

- Mogę wejść? - zapytał przez drzwi bez pukania.

- Tak - szepnęła.

Siedziała w mroku i pomimo znajomości miejsca Alassane potracił nogą coś co rozpląszczyło się na podłodze z mięk-

kim odgłosem. Śmiech Elvire odpowiedział natychmiast na jego przekleństwo.

- Zapal światło Tomciu Paluszku, jeśli nie chcesz się zgubić w lesie.

Kiedy neon rozlał swe drżące zielonkawe światło Alassane dojrzał w jej oczach i na policzkach ślady łez.

- Coś nie gra?

- U mnie wszystko w porządku. Ale Sebastienowi przydarzyła się prawdziwa katastrofa i to jego historia tak mną wstrząsnęła.

Dała mu znak, żeby usiadł na miejscu, które jej gość niedawno opuścił. Kolejne fale bałaganu nie dosięgły jeszcze wysepki, jakiej Alassane uczeplił się już podczas pierwszej wizyty w F.M.O. Czuł, że znowu jest ciągnięty ku nieznanemu światu, którego sam rozum nie pozwala mu pojąć. Czuł, że smutek Elvire nie był wyłącznie wynikiem nieszczęść Sebastiena i, że ona nie oszczędzi mu najdrobniejszego szczegółu na temat swego przyjaciela, aby uniknąć jakiegokolwiek aluzji dotyczącej rzeczywistych powodów jej zmartwienia. Łzy zaczerwieniły jej oczy i pokryły marmurową siateczką policzki. Była podobna do lalki porzuconej w ogrodzie, na deszczu. Jednak pomалу w trakcie opowiadania krew ponownie zaczęła krążyć pod nazbyt delikatną skórą, a ręce, którymi nie przestała poruszać przywracały kształt fryzurze, poprawiały linię brwi i koniuszkiem palca umoczonego w pudełeczku z różem dawały życie bladym, bezkrwistym policzkom.

Mówiła, że Sébastien miał w swym salonie na SoHo najwspanialszą klientelę: aktorki, gwiazdy rocka i Myflower ladies. Sławiono jego talent w „Village Voice” i „Soho News”. Jego nowojorska koleżanka zajmowała się administracyjną stroną zagadnienia. Sébastien był w Ameryce dopiero od trzech lat i nie znał się wcale na regułach rynku i prawodawstwie amerykańskim. Jeden rzeźbił głowy, druga gromadziła dolary. Aż do dnia kiedy przyjaźń się skończyła.

Wówczas Sébastien spostrzegł, że jego przyjaciółka wystawiła wszystkie dokumenty na własne nazwisko i że on nie posiada już nic prócz nożyczek i grzebienia. Został teraz wyrzucony z własnej firmy, a proces wytoczony byłej wspólniczkę zdawał się zmierzać w złym kierunku. Za jednym zamachem zbrzydły mu kobiety i fryzjerstwo.

- Chodźmy na kolację - zaproponowała nagle. - Nie mogę znieść, kiedy krzywdzi się moich przyjaciół. Chodź, potrzebuję papryki, przypraw i tego południowego jadła, które pali wszystko na swej drodze.

Na Pierwszej Alei znalazła kreolską restaurację, gdzie w rytmie karaibskich melodii kołysał się zdobny frędzlami hamak. Gruba szefowa przywitała ją czterema soczystymi całusami, a na widok Alassane'a przesłała jej pełne wyrozumiałości spojrzenie. Tutaj czarni byli kelnerami, rzadko klientami. Wobec kopiastego dania złożonego z kotletów wieprzowych z rusztu, Alassane zapomniał o swym muzułmańskim pochodzeniu, lecz pozostał wierny kolorowi swej skóry.

- Popatrz - rzekł - jestem tu jedynym.

Szeroką dłonią o różowym wnętrzu wskazywał na gości tłoczących się wokół stołów o koronkowych obrusach.

- Jedynym kim?

- Jedynym Murzynem.

- Chyba cię opętało! - zawołała Elvire. - Wszyscy mają gdzieś czy jesteś Murzynem, czy nie. Spróbuj tylko powiedzieć, że ci nie smakuje! Po czerwonej papryce podsycimy ogień najlepszym, starym, haitańskim rumem. Prawdziwy wulkan! Uwielbiam ten kontrast pomiędzy gwałtem jedzenia i napojów, a wyrafinowaniem kryształów i wyrobów złotniczych. Delektuj się chwilą stary dzikusie i nie myśl więcej o kolorze swej skóry!

- Ale ja chcę o nim pamiętać aż do ostatniego tchnienia.

- Ja zaś pragnę wyłącznie westchnień miłosnych - oznajmiła patrząc mu prosto w oczy.

Później podnosząc swój kieliszek, który opróżniła już kilkakrotnie dodała:

- Piję za Marie, żeby we śnie poznała to, czego życie nie da jej nigdy.

- Za Marie - odparł Alassane.

Wino, do którego bynajmniej nie przygotowały go zakazy z okresu młodości, czyniło wrzawę w jego żyłach.

- Tak, jesteś jedynym - powiedziała podejmując słowa Alassane'a - jedynym, który mi się podoba.

Zacisnęła na krawędzi szklanki swe małe, szpiczaste kły i kryształ pękł pod ich naciskiem. Małeńki odłamek. Zdawała się przeżuwać z rozkoszą chrzęszczącą materię, podczas gdy kropla krwi pojawiła się na jej górnej wardze.

- Wypluj! - krzyknął Alassane. - Wypluj, wypluj to natychmiast.

Podawał jej haftowaną serwetkę.

- Połknę to jeśli mi nie powiesz, że mnie kochasz.

- Oszalałaś!

- Powiedz - powtórzyła ciągle żując kryształ jak gumę do żucia.

- Kocham cię, wypluj.

Wypluła wreszcie i otarła usta. - To nic takiego - mówiła.

- Pewien tancerz rosyjski, który uciekł z Teatru Bolszój nauczył mnie gryźć szkło.

- I w ten sposób cię podbił?

- Mnie się nie podbija sztuczkami. To ja podbijam. Bo jak cię złapie kot bury, to cię obedrze ze skóry...?

Po raz pierwszy Alassane widział u kobiety nagie pożądanie. U Elvire wydawało się ono jeszcze bardziej nagie. Czyż nie dzielił z nią już od wielu miesięcy tej intymności, z której owa pokusa zdawała się być raz na zawsze wykluczona? Czyż nie włączyli się razem po całych nocach, podczas których ich palce nie przejawiały skłonności do złączenia się? A jeśli przypadek sprawiał, że ręka jednego spotykała nogę lub ramię drugiego, było to tylko muśnięcie, lekkie, niemate-

rialne, czułe. Nigdy nie zrodziła się potrzeba pójścia dalej. Czyż nie było dosyć kobiet w Nowym Jorku? Alassane rozumiał już dawno, że samotność ciąży tu bardziej niż gdziekolwiek indziej i że należy udawać skromnego nawet w chwili triumfu. Mężczyzna był rzadkim ptakiem, na którego polowano bez miłosierdzia. W ramach jedynej ochrony udawano, że przestrzega się praw zwyczajowych i mężczyzna zachowywał złudzenie podboju. Jednak ofiary były tak liczne, tak zgodne, że nawet nadmiar niezręczności nie był w stanie ich zrazić. Wiedział również, że u czarnych kobiet serial „Korzenie” wywołał modę na Afrykańczyków. Najczarniejszy czarny zgarniał całą stawkę, a w tej grze Alassane nie miał rywali.

- Uratuj mnie - rzekła Elvire z błyszczącym spojrzeniem.

Z nią nie było mowy o przestrzeganiu reguł. Nie było ani forteli, ani granic. Ujęła jego dłoń i zanurzyła wskazujący palec Alassane'a w starym haitańskim rumie. Teraz zlizywała alkohol z palca, dookoła różowego paznokcia. - Uratuj mnie - szeptała przesuwając językiem po szczupłych palcach. Śmiech Elvire zagłuszał wyspiarską muzykę i rozmowy. Posiadała moc umieszczania centrum świata dokładnie w tym miejscu gdzie się znajdowała i wciągania tam ze sobą kogo chciała.

Opór Alassane'a już zaczął ustępować. W samochodzie długo pozostawali w milczeniu. Alassane prowadził powoli wyrzucając sobie na głos, że zbyt dużo wypił.

- Nic nie szkodzi Tomciu Paluszku - mówiła.
- Ale u mnie alkohol jest zabroniony.
- No i co z tego? Dzięki temu jest lepszy.

Kiedy samochód zatrzymał się przed domem, Elvire nie musiała nic mówić, by za nią podążył. Już od początku kolacji domyślał się swej porażki. Wypił, bo to lubił. Wypił, bo przygotowywał sobie na jutro okoliczności łagodzące. A teraz czuł w sobie tylko palący ogień, którego nie chciał stłumić.

Łóżko, na którym spoczywała Marie przez minione miesiące stało rozgrzebane na środku salonu, a pod zsuniętą kołdrą pojawiły się załamania prześcieradła i coś, jakby dawny kształt chorej. Kiedy Elvire zapaliła lampę stojącą na podłodze ostre światło wydobyło z pościeli każdą zmarszczkę i w dziwny sposób spowodowało wynurzenie się na środku pokoju opuszczonego statku.

Lecz Alassane i Elvire patrzyli wyłącznie na siebie, a żeby się widzieć nie potrzebowali otwierać oczu. Ich ręce, skóra i muśnięcia ciał odkrywały to co do tej chwili wzrok skrywał przed nimi. Jednak dotyk nie wystarczał Elvire, potrzebne były słowa. Mówiła tak, jak się mówi przez sen, kiedy słowa, jakich się nie dobierało wyskakują z tamtego innego życia, które rozjaśnić mogą jedynie mroczne uczucia. Słowa już nie są słowami, nie łączą się w zdania. Prześlizgują się pomiędzy rozkazem, a skargą.

Nazywała każdą część ciała Alassane'a, tak jak to czynią dzieci, które odkrywają rzeczy i istoty nazywając je. Wszystko zdawało się dla niej nowe, gwałtowność odczuć była tego dowodem, dowodem, jakiego nie poszukiwała, a który narzucał się jej zmuszając do wypowiedzania słów, jakich nigdy podczas miłosnych chwil nie słyszał w ustach kobiety. Wyłuskiwała je jedno po drugim, jakby wyizolowane, jakby mimowolne, jak oddechy, jakby jakieś połączenie pomiędzy wnętrzem jej ciała, a światem zewnętrznym, pomiędzy jej głębią, a nim, który ją obejmował. Później zaczęły się tłoczyć, przybywały licznie i ona odrzuciła głowę do tyłu by im ułatwić drogę. Ściągnęła na jej szczupłej szyi nadymały się, drgały. Dotykał ustami płonących żył myśląc o mewach z Roosevelt Island. U Elvire jednak żyły były nagie, jak słowa. Ani piór, ani ciemnej skóry by je skryć. Poprzez jej przezroczystość można było wyczytać całą wewnętrzną geografę. Stojąc przed nim pośród manhattańskiej nocy, która nigdy nie osiąga uspokojenia, ani ciszy, Elvire wyglądała jak obdarta ze skóry.

Elvire, Elvire, jaką zdawało mu się, że zna i kocha odkrywała nagle przed nim swą podwójną nagość, nagość słów i ciała. Przez to co wiedział o niej i jej przeszłości wydawała mu się wyjątkowa. Teraz stała się wyjątkowa przez to, czego o niej aż do tej chwili nie wiedział. Szedł ku niej zafascynowany, przerażony. Wobec niej on z kolei był nagim mężczyzną, o jakim chciał zapomnieć.

Mówiła mu, by ją wziął. Ramiona Elvire młóciły powietrze, a całe jej rozpalone ciało drżało. Alassane przypomniał sobie pełen piasku wiatr omiatający z jednego krańca horyzontu na drugi senegalskie równiny. Zbyt gorące powietrze nie może dłużej unieść wazek. Energicznie machają skrzydełkami o niebieskawych refleksach i w ostatnim spazmie zwalają się sztywne na ziemię. Stopy wędrowca chrzęszczą po piachu i trupach umierających owadów. Rozłożywszy swe długie, pożyłkowane na niebiesko ramiona Elvire wpadła w drzenie i sztywna przewróciła się na wznak na łóżko, na którym widniał jeszcze kształt Marie.

Bładość jej włosów wystawiała na widok jej nieskromną dziewczęcą szczelinę i wilgotne wargi, bardziej różowe niż policzki kąpielowej laleczki. Doskonała nieprzyzwoitość zbyt jasnej skóry, której żadne słońce, żaden wiatr nigdy nie popieściły. Bładość nietykalnej. Ciała niedostępne. Mięsa zakazane, soczyste, przesycone krwią. Zgiąwszy kolana zagłębiał się w nią nie mogąc dłużej powstrzymać pożądania i wydobywał z niej krzyki, będące jak sądził okrzykami bólu, tak bardzo ciało, nad którym się pastwił wydawało mu się delikatne. Jednak pośród tych skarg zachęcała go do przemocy i słowa Elvire stawały się kwasem wylanym na wszystkie ziejące rany. Jak opętana zdawała się być dwoista. Pomiędzy jej słowami a ciałem istniał głęboki brak porozumienia. Podczas gdy ciało oddawało się całkowicie, pozwalało się miążdżyć, rozgniatąć, mleć, jej głos wydawał stanowcze rozkazy i z największą dokładnością kierował każdym ruchem Alassane'a. Potem wreszcie jej ciało i słowa przemie-

szały się, a rozkosz wyrażała się czymś w rodzaju śpiewnego lamentu. Od sromu aż do gardła była jedną ciągłą, wilgotną materią, mlecznobiałym, morskim ruchem, falą o nieskończonej amplitudzie.

Nieco później, kiedy ich powieki znów się rozchyliły, Elvire kazała mu popatrzeć na oba ciała. Powtarzała, że tak przemieszani są zbyt piękni, i że być może to śmiertelny grzech napawać się podobnym widokiem.

- Czy nie sądzisz - rzekła pieszcząc jednym ruchem udo Alassane'a i własne - że musieliśmy się spotkać aby odkryć nawzajem swe piękno?

Istniał absolutny kontrast pomiędzy białym i czarnym, pomiędzy przezroczystym a matowym. Lecz były również podobieństwa. Ta sama jędrność i te same kształty o długich kończynach. Wypukłe mięśnie i wyraźnie zarysowane kontury. Skóra lśniąca od potu, gładka, aksamitna, wyślizgująca się spod dłoni.

Głowa Alassane'a spoczywała teraz na wąskim brzuchu Elvire. Przypomnił sobie pewien dzień w Dakarze, kiedy po raz pierwszy wysłano go do dużej szkoły. Tam miał znaleźć się w towarzystwie białych dzieci i Yaye powiedziała mu: „Poczujesz inny zapach”. Dzisiaj wchłaniał go delektując się w ten sam sposób, w jaki kilka godzin wcześniej pił zakazany alkohol. Nie przerażając się tym wcale czuł z zadowoleniem i szczęściem odradzające się w nim pragnienie. Nic nie stało na przeszkodzie by je zaspokoił znowu i znowu.

Elvire wyprzedziła jego zamiar i stanęła przed nim. Z wciętą talią, napiętymi pośladkami i piersiami triumfowała czując się piękną, dodatkowo upiękшонą przez pożądanie mężczyzny, którego kochała. Jednym ruchem głowy odrzuciła jasne kosmyki opadające jej na czoło i umieściła jego dłonie na swych pośladkach. Jeszcze i jeszcze, chciała być kochana tak, aby Marie miała w tym swój udział. Wreszcie go znalazła, mężczyznę, jedyne go mężczyznę, który mógł poprzez siłę i hojność swego uścisku objąć za jednym

zamachem jedną i drugą, który wcale ich nie rozdzielał, lecz budował dodatkowe więzy pomiędzy dwiema siostrami.

Na tym łóżku, gdzie kiedyś spoczywała Marie Alassane musiał przesyć Elvire na wylot i zadać jej ból, aby jak najdłużej zachowała jego ślad. Tam, w najciemniejszym jej zakątku, tam gdzie ani biała, ani czarna, ani kobieta, ani mężczyzna, gdzie była tylko ciałem bez rasy i płci, tam gdzie rozkosz rodziła się z bólu, bez innego celu prócz siebie samej, znajdował to, czego nie śmiał zapragnąć i to właśnie ona, Elvire, mu to ofiarowała. Mała dziewczynka z wózkiem z Saint-Genet, poniżona, siostra nieruchomej, kochała. Pozwalała sobie kochać dla siebie, dla Marie, aby w drgawkach jej pokaleczonego ciała życie zostało posunięte aż do ostatnich granic. W łóżku Marie zostawiła swój zapach i do gwałtowności ciosów zadawanych Elvire przez Alassane'a dodawała wspomnienie nocy z dzieciństwa. W jednej pościeli łączyły się we śnie, a członki żywej były przytwierdzone do ciała chorej.

Teraz Elvire już nie czuła rozdarcia swej materii. Oblewał ją nowy żar podczas gdy pożądanie zmuszało ją do wymagania od Alassane'a coraz więcej. Unosił ją w ramionach tak, jak niósł Marie pod Centrum Rockefellera. Czyż nie pokochała go od tamtego dnia? Już się jej zdawało, że ta miłość nie miała początku i że zawsze będzie żądała od swego kochanka, by szedł jeszcze dalej.

Nie wdzierał się w nią, odnajdował po prostu miejsce jakie bezwiednie mu przygotowała. I wyciągała się ku niemu, otwierała, chciała go pochłonąć całkowicie. Widziała już tylko jego ręce przyciśnięte do jej piersi. Pomiedzy długimi, szczupłymi i czarnymi palcami pojawiały się te małe, całkiem różowe sutki kobiety, która nigdy nie karmiła. Skąd się wziął ten mężczyzna? Jakie ziemie, jakie morza, jakie pory roku przeszli oboje, by oto znaleźć się razem i nierozłącznie na tym łóżku, gdzie kiedyś mieszkało cierpienie, gdzie teraz płonęła miłość?

Nie miała już siły mówić. Wydobywały się z niej jedynie nieartykułowane dźwięki, chrząknięcia, burknięcia, stęknięcia. Ta muzyka ciała powstała zanim zrodził się język. Elvire nie miała już głosu. Od dzieciństwa, od Saint-Genet mała dziewczynka z wózkiem użyczyła swego głosu siostrze, teraz właśnie Marie mówiła za nią. Ta nieobecność mowy mogła być jedynie wyrazem miłości doskonałej i ona wiedziała, że jej kochanek zna każdą jej modulację, każdy akcent i każdy wybuch.

Kiedy Elvire przypomni sobie później tę noc, nie powie: to była pierwsza noc, ale po prostu: to była miłość. Znalazła w sobie coś, co ukrywało się tam wbrew niej, ten pierwotny stan, który życie zakryło kolejnymi warstwami. Nie było grzechu pierworodnego. Rezygnacja, zniszczenie i zapomnienie początkowych wymogów były kolejnymi etapami drogi wiodącej ku śmierci, zaś Elvire miała podwójny obowiązek życia.

Wraz z nadejściem dnia brzask zaczął tańczyć ponad East River i wzmógł się zgiełk miasta, podkreślony dźwiękami syren. Jednym susem Alassane wstał i zaczął się ubierać. Był piękny ze swymi długimi udami średniodystansowca. Elvire powinna powiedzieć: już?, odruchowo, lecz nie miała siły, by go powstrzymać. Ledwie dostrzegła u niego ten pośpiech, przez który pozostawił pod łóżkiem swój szalik. Wszystko to było bez znaczenia. Po co się umawiać? Po co podnosić się na duchu mówiąc: na razie? Nie mogło być rozstania. Czyż nie czuła go jeszcze w sobie? Czyż nie wyznała jej wielokrotnie, że ją kocha? Kontynuowała ten sen na jawie, bez fabuły i postaci, sen, który rodzi się ze szczęścia i zmęczenia.

Mrs Leroy lubiła powtarzać, że francuski jest jej językiem ojczystym. Kiedy wypowiadała się po angielsku, jak wszyscy, lawendowobłękitne refleksy pojawiające się w ufryzowanych włosach w niczym jej nie wyróżniały od Amery-

kanek w podobnym wieku. Lecz gdy tylko nadarzała się sposobność użycia jej francuskiego słownictwa, jeszcze bardziej zaciskała swe pełne pogardy nozdrza i wyciągając szyję przybierała wygląd markizy.

Starala się zapoznać każdego z historią jej świetnego pochodzenia, którą przesuwała w mityczne osiemnaste stulecie. W Nowym Orleanie mieszkała na Vieux Carré jak na wyspie i usiłowała nie wiedzieć co dzieje się przed jej drzwiami i a fortiori na pozostałych kontynentach. Jednak wystarczało, by jakiś Francuz z Francji o nazwisku choć trochę sławnym w kraju przodków ośmielił się zapuścić do Luizjany, by natychmiast wysyłała swych naganiaczy w pościgu za zwierzyną. Krótko mówiąc, wciągała do swego salonu mężczyznę lub kobietę - płeć była nieistotna, oby tylko posiadali uszy - i zmuszała gościa aby cicho i w skupieniu zasiadł w jednej z jej berżer o wygiętych bokach w stylu Ludwika XV.

- Proszę mi pozwolić opowiedzieć jak się tutaj żyło zanim świętokradcy nie przyszli wyprzedawać przeszłości, której nie znali i zanim dzikusy nie zagłuszyły swymi wrzaskami subtelnego niuansów naszego języka.

Każde słowo było jak smakołyk, którym się delectowała muskając go małym, różowym językiem i wąskimi wargami, podczas gdy cętkowana i upierścieniona ręka pieściła delikatnie mozaikę na stojącym na jednej nóżce stoliku.

Elvire i Alassane towarzyszyli aż do Nowego Orleanu francuskiej ekipie, by jej ułatwić urządzenie się i otrzymanie pozwolenia na kręcenie zdjęć. Mrs Leroy zwierzyła sprawę i jej emisariusze zaoferowali natychmiast swą pomoc. W zamian za to zażądała by jej złożono wizytę. Zbyt zajęty filmem reżyser wykręcił się, lecz w celach reprezentacyjnych musiał wysłać asystenta, swoją sekretarkę i dyrektorkę F.M.O. Elvire zgodziła się pod warunkiem, że pójdzie z nią Alassane. Tak więc czteroosobowa delegacja znalazła się w salonie, gdzie tak wielbione osiemnastowieczne meble

sąsiadowały z solidniejszymi, a za to mniej cennymi kopiami.

Od chwili przybycia do Luizjany Alassane czuł jak wzbiera w nim owo zażenowanie, jakiego zaznał dwa lata wcześniej w Wirginii. Południe zdecydowanie mu nie odpowiadało. Już za Waszyngtonem zaczynała się jego udręka, lecz bardzo uważał, żeby jej nie okazać. Nawet Elvire nie powinna o tym wiedzieć. Czyż nie powiedziała, że go to opętało i, że nic nie usprawiedliwia jego złego samopoczucia? Że sam zachowywał się jak w filmie godnym French Movie Office? A jednak poniżenie na cmentarzu w King David nie było snem. A wspomnienie cierpień doznanych w tym właśnie miejscu przez tylu ludzi przybyłych z jego kraju było nie tylko tematem na serial telewizyjny. Czyż nie było krzyczących ścian? Jak inni to robili, że ich nie słyszeli? A on, Alassane, czy powinien zgodzić się na delikatne posadzenie jednego poślodka na fotelu w stylu Ludwika któregoś tam? Czy powinien słuchać jak Mrs Leroy snuje wątek swej nostalgii i ćwierka bez końca ze szklaneczką brandy w dłoni? Dlaczego Elvire nie rozumiała jego złego samopoczucia? Dlaczego go w to wpakowała pod pretekstem, że nie może się bez niego obyć?

Poza tym był niezadowolony ze swego przyjścia, i odczuwało się wyraźnie, że przymus przyjęcia go był dla tych ludzi jeszcze bardziej nieprzyjemny. Czyż nie nauczono Mrs Leroy, że Murzynowi nie wolno deptać jej pięknego wypastowanego parkietu, chyba że był dostawcą lub niewolnikiem? Cóż więc ten wielki czarnuch, jeszcze czarniejszy niż służba w jej domu robił tutaj z tą elegancją - jak na człowieka jego gatunku - całkowicie nie na miejscu? Jednak droga pani była dobrze wychowana. Kiedy myślała „czarnuch”, mówiła „kolorowy”. Fałszywe określenie - czerń jest brakiem koloru. Gdyby wyobraźnia Mrs Leroy była dość silna by przenieść ją w czasy o wiele wcześniejsze niż jej ukochany XVIII wiek, ujrzałyby siebie u początków świata,

we wschodniej Afryce pośród przodków o skórze w kolorze brązu.

Na widok Alassane'a błękitne powieki markizy zatrzępotały, żrenice zwężyły się, maleńkie i zranione. Wyglądała jak oślepiąca. Jak śmieli? Jak mogli ci Francuzi nie docenić niesłychanego honoru, jaki im czyniła zezwalając na wejście do jedyne go domostwa na Vieux Carré, które umiało wbrew zmasowanym atakom dzikusów i przekupniów zachować tradycję?

Pani domu cofnęła się o krok, po czym jak mechaniczna zabawka ożywiona przez ciekawość i potrzebę mówienia, przywróciła wargom uśmiech, a całej postaci wigor. Pod błękitnymi powiekami jej małe oczka wyrażały afront i powoli przystosowywały się do tego, czego nie spodziewały się ujrzeć pewnego dnia. Tym więcej czasu spędziła przy powitaniu Elvire i Pierre-Michela, asystenta reżysera, że biel jednego i drugiej zdawała się działać na nią jak odtrutka. Pierre-Michel pochylał się ceremonialnie nad dłonią ofiarowaną mu przez Mrs Leroy, nie dotykając jednak cętkowanej skóry i ten hołd przywrócił gospodyni rozmowność. Jej uśmiech ledwo zamarł, kiedy musiała wyciągnąć w stronę Alassane'a palce zdeformowane przez reumatyzm i usztywnione przez wysiłek, jakiego ten gest wymagał z jej strony. Nie sprawiło mu przykrości zmiążdżenie postarzałej ręki w swej solidnej dłoni.

Bardzo szybko postanowiła zapomnieć o intruzie. Tym co najbardziej interesowało Mrs Leroy nie była bynajmniej osobowość zaproszonych gości, lecz fakt, że mogli oni stanowić audytorium. Mogła tolerować z ich strony jedynie kilka pytań zdolnych zakłócić jej monolog. Pierre-Michel podrzucał jej tekst w cudowny sposób. Mając wrodzone zdolności do odgrywania roli podwładnego był asystentem idealnym.

Siedząc nieco z tyłu na fotelu, okulawionym przez minione stulecie, Alassane wbrew sobie słuchał jak Mrs

Leroy przywołuje wspomnienia z dzieciństwa. W tamtych czasach - opowiadała - w najlepszych domach na Vieux Carré mówiło się po francusku. Alassane widział przed sobą giętki kark Pierre-Michela przytakującego wywodom gospodyni. Był szczęśliwy, że chociaż głowa Elvire pozostała nieruchoma. Nie wybaczyłby jej bardziej demonstracyjnego zachowania. Kilkakrotnie musiała wyczuć spojrzenie Alassane'a na ramionach i szyi, bo odwróciła się nagle ku niemu, jakby błagając, aby milczał i się nie ruszał.

W czasach gdy byli tylko przyjaciółmi - ale czy to niewiele być przyjaciółmi? - mówiła do niego: potrzebuję ciebie. Teraz wołała zaczynać od zdania: jeśli mnie kochasz... i w jej głosie niepokój łączył się z wyzwaniem. Posiadała jednocześnie tę niewinność wiary we wszechpotężną miłość i lęk, że nigdy nie zasłuży na to nazbyt doskonałe uczucie. Gdy ich spojrzenia się spotykały Alassane nie mógł powstrzymać się, by jej nie podnieść na duchu przy pomocy uśmiechu, zezwalając w ten sposób na ponowne odwrócenie się plecami, bez obaw o jego zachowanie.

- W głębi ogrodu - mówiła Mrs Leroy - mieszkała niegdyś służba. Około tuzina kolorowych służyło u rodziców na początku wieku. Najgorętsze noce były również najbardziej hałaśliwe. W niektóre wieczory, kiedy można się było udusić, dokładnie tak, jak dzisiaj - precyzowała, podczas gdy dłoń sprawiała, że przed małym, trupim nosem przesuwiał się tam i z powrotem malowany wachlarz - tumult rozpoczynał się wraz z końcem dnia. Rzecz by można, że Vieux Carré wywracało się na lewą stronę jak rękawiczka wraz z zachodem słońca. Nagle wszyscy kolorowi, którzy przez cały dzień krzątali się wokół garnków w kuchni i przesuwali bezgłośnie ścierki od kurzu po cennych patynach, wraz z nadejściem nocy wypromieniowywali to co nagromadzili w palącym słońcu. Wtedy dziwna muzyka wyła jak potępiona. Wszystko co wpadło do ręki służyło za instrument i całymi godzinami mogli czynić rytmiczny zgiełk waląc w garnek.

Z głębi ogrodu dochodziły zaskakujące głosy, których państwo nie byli w stanie zidentyfikować. Mrok dawał wolny dostęp nieznanym duchom.

Musiała mieć jakieś sześć lat kiedy matka, której było już wszystko jedno, postanowiła pójść ich uciszyć. W tamtym okresie ojciec Mrs Leroy był cierpiący i unieruchomiony w łóżku, co dodatkowo sprawiało, że nocne wrzaski czarnuchów - słowo jej się wymknęło - stawały się jeszcze bardziej nieznosne. Matka i córka przeszły przez ogród jedynie w towarzystwie doga trzymanego na smyczy. Matka skorzystała z chwilowego uciszenia, by z pewnej odległości wydać im rozkaz zamilknięcia. Odpowiedzią były jedynie wybuchy śmiechów. Księżyc w pełni oświetlał widowisko i mała dziewczynka rozpoznawała pojedynczo ludzi, których na ogół widywała w ciągu dnia w liberiach. Za to oni zdawali się jej nie rozpoznawać. Obce było nawet spojrzenie niańki, które przesyłało ją na wylot, a jednak zdawało się jej nie dostrzegać. Dziewczynka nagle odniosła wrażenie, że już nie istnieje. Pamięta, że musiała się uszczypnąć w ramię, by się upewnić, że nie śni i wtedy poczuła, że ma skórę wilgotną nie od gorąca snów, lecz ze strachu. Tamci podjęli swe śpiewy przejmującym głosem, a kucharz ze zdwojoną energią walił w stary bęben.

Podczas gdy Mrs Leroy mówiła powoli zapadał wieczór i cienie nakładały się na fantasmagorię jej opowiadania. Słowa, którym kiepsko dopasowana sztuczna szczeka nadała gwizdzące brzmienie przytrzymywały każdego na miejscu w całkowitym bezruchu. Alassane był jedynym, który walczył ze złym samopoczuciem, początkowo będącym jedynie pewnego rodzaju przeczuciem, a teraz nabierającym kształtu wraz z upływem słów. W tym domostwie niebezpieczeństwo wisiało w powietrzu. Czuł, że jeżeli tu zostanie dłużej, zapadnie się w bagno, z którego się już nie wraca. W tym mroku przesyconym wodą wszystko było jakieś umazane, i jego ręce i boki fotela, który kiwał się pod

jego ciężarem. Wilgoć plamiła barwy, dywany gnily wydzielając odór moczu. Wkrótce ten brud miał się rozprzestrzenić i wszyscy, co przez tchórzostwo uważnie nadstawiali ucha i chłonęli opowieści Mrs Leroy mieli nim zostać zarażeni.

- Dog ujadał bez przerwy - ciągnęła - lecz śpiewacy nie słyszeli go, tak jak i nie widzieli ani matki, ani córki. W swych śpiewach twierdzili nawet, że biali są tylko duchami. Prawdziwe życie należało do nocy, a w tej dziedzinie tylko oni byli panami. Za każdym razem gdy bęben wprowadzał w rytm zaimprovizowanej orkiestry dysonans, dwie kobiety i męczyzna puszczały się w taniec, który wprawiał w gwałtowne podrygi ich ramiona i biodra. Oszalałe stopy dziurawiły ziemię. Ich skóra błękitniała w świetle księżyca i lśniła od potu. Pośród tych paroksyzmów, gdy zapach tych ludzi zasmradzał noc dog szarpał się w najlepsze na smyczy i przy każdym szczeknięciu wyrzucał strumienie śliny. Tamci nadal nic nie widzieli i nic nie słyszeli. I właśnie to, bardziej niż hałas, bardziej niż nieskromność, dopełniło złość jej matki. Ci ludzie nie urządzali przed nimi przedstawienia, z ich strony nie było żadnej nieprzyzwoitości, bo i nie było widzów. Odrzucali ich istnienie. Były ledwie zjawami. Zostały wygnane z życia. Już nie istniały. Odepnij smycz - krzyknęła do niej matka usiłując przerazić ich tą ostateczną groźbą. Nie odpowiedział jej nawet jeden śmiech. Przerażona dziewczynka ani drgnęła. - Odepnij smycz, mówię ci! - Dziewczynka posłuchała cała drżąca. Dog rzucił się natychmiast na kucharza. Jednak walenie jego rąk nie ustało. Musiała dopiero trysnąć krew na białą skórę bębna, aby ból przywrócił wszystkich do rzeczywistości. Nie, świat białych nie był światem zjaw, istniał nawet w nocy, a najlepiej świadczył o tym pies wpijający swe kły w ciało perkusisty.

Alassane słyszał jak głos Mrs Leroy przywołuje z pamięci krzyki ludzi i krwawe strzępy w psiej paszczy. Ciemność skryła jego odwrót. Szedł tyłem po deskach podłogi. Pozostali, zasłuchani w słowa gospodyni nie zwrócili uwagi na

jego manewry. Znalazłszy się poza salonem prawie biegiem pokonał pozostałe pomieszczenia. Zostawił za sobą otwarte dwuskrzydłowe drzwi oddzielające stare domostwo od ulicy. Zdawało mu się, że czuje na swych łydkach oddech doga, a w uszach świszczący głos starej.

Po zapadnięciu nocy francuski zakątek Carre stawał się jednym wielkim festynem. Wyziwy tulipanowców, gardenii, jaśminów i magnolii, które aż do obrzydzenia przemieszały się z wilgocią salonu, zostały przepędzone przez zapach przypalonego tłuszczu. Stada turystów pędziły do koryta. Rzucano im kielbaski spuchnięte jak przeciwżyłakowe pończochy, hot dogi o popękanej skórce, zawinięte w bandażę musztardy, ostrygi wydłubane z muszli, zbryzgane keczupem i wpakowane do kartonowych kubków w kształcie spluwaczki. Był to dopiero początek fety, a jezdni już zniknęła pod stertą odpadków. Duszący wiatr, napływający z lądu, nie miał dość siły, by oderwać od asfaltu przesiąknięte tłuszczem papiery.

Tropem Alassane'a pędziła jeszcze horda red-necków i ich sfóra tresowana do łowów na Murzynów. Szedł środkiem chodnika rozpychając łokciami na prawo i lewo przechodniów obładowanych prowiantem. Mdłości szarpały jego wnętrzem i wprawiały w pulsowanie żyły - od szyi po skronie. Wiedział, że nudności nie były spowodowane nadmiarem jedzenia, ani jego zapachem. Nie miał aż tak delikatnych nozdrzy. Smród ryby suszonej pomiędzy chatami w Soumbédioune przygotował go do znoszenia, a nawet do polubienia wszystkiego co wydzielają ciała żywe bądź martwe. Upał nie miał również nic wspólnego z jego złym samopoczuciem. Czyż nie czuł wielokrotnie na afrykańskiej ziemi jak ze wszystkich jego porów wypływał pot, jak przyklejał się do niego kurz, tak jak dzisiaj, i panierował skórę od stóp do głów?

Ani zapachy, ani upał. Krzyki, wyłącznie krzyki były tego przyczyną. Krzyki kamienia, drewna, żelaznych balustrad

balkonów. Krzyki w ziajaniu lądowej bryzy, w oddechu psów chwytających go za pięty. Krzyki, których inni nie słyszeli. Krzyki unoszące się z ziemi wraz z lepkiem zapachem smoły. Krzyki wślizgujące się pomiędzy zawołania, okrzyki i śmiechy przechodniów. Krzyki, które oblizywały ściany, żłobiły kamienie, przyprawiały o ból zębów. Jak na Gorei, słyszał skrzypiące paznokcie ofiar, na każdym murze, w każdej pionowej kresce widział ślad agonii. Orkiestry do znudzenia powtarzały klasyczne, nowoorleańskie tematy, lecz nie udało im się zagłuszyć krzyków ścigających Alassane'a. Z ulicy na ulicę stare kobiety zaprężnięte do fortepianów miażdżyły stopą pokręconą przez artretyzm miedziany pedał. Żyły na łydkach wybijających rytm rozszerzały się z wysiłku i omal nie wybuchały fioletowe guzowatości. Jeśli chodzi o wiek, pozostali muzycy również nie pozostawali w tyle. Szyje nabrzmiewały, ręce się zaciskały, pot spływał po skroniach. Wszystkie te stare skóry wygarbowane przez lata i tytoń groziły rozdarciem w ostatecznym wysiłku. Jednak, niestrudzenie muzyka rozbrzmiewała nadal i kiedy nastąpiła pora przerwy na Bourbon Street, perkusja wstrząsała Jackson Square, a trąbki w okolicy Saint Peter Street świdrowały bębenki. We wszystkich przybytkach, gdzie jazz klepał swe stare śpiewki, turyści rozkładali na taboretach nagie, białe uda. Miękkie falowanie bitej śmietany rozchodziło się po tych ciałach wypływających z szortów, pobudzonych przez rytm. Piwo perliło się od ust do nóg. Od czasu do czasu jakiś widz rzucał się w kierunku wyjścia, żeby rzygnąć na chodnik z głową opartą o kolumnę balkonu. Czarni grali i pocili się w obcisłych kostiumach. Biali wystawiali na pokaz swe mięso i bez skrzepowania nurzali się w rozkoszy.

Alassane usiłował biec szybciej niż jego obsesje. Nigdzie nie czuł się na swoim miejscu. Nie dzielił ani przeszłości czarnych muzyków, ani przyjemności białej publiki. Wchodził wszędzie i wychodził natychmiast, jak gdyby usiłował zgubić swych prześladowców. Czy Elvire była tam nadal

i słuchała kantyleny Mrs Leroy? Miał ochotę odpłacić jej za tę zdradę. Czyż nie była winna wybrania tego wieczoru drużyny przeciwnika? Chciał, żeby popełniła błąd i już wyobrażał sobie jak kpi z niego wraz z przyjaciółmi. Słyszał jej śmiech. Widział jak podwija się jej warga obnażając różowość dziąseł i połysk szpiczastych ząbków. Elvire była bezwstydną nawet w swym śmiechu. Nie wystarczało jej noszenie sukni, które nie skrywały ani trochę jej kształtów, musiała jeszcze otwierać przed każdym w uśmiechu wnętrze swego ciała. Odkąd się kochali zdarzało mu się ją nienawidzić. Nie rozumiał, dlaczego? Po uściskach ubierał się natychmiast i uciekał. Zdarzało mu się, że zanim się udał do siebie szedł prosto, bez celu. Musiał wprowadzić pewien dystans pomiędzy tym co przeżył, a normalnym tokiem zdarzeń. Zdawało mu się, że chce zapomnieć o tym, do zrobienia czego przywiodła go Elvire i przebiegał o świcie ulice Manhattanu, z głową naprzód, wyglądając jak dzikus. Nabrał także przyzwyczajenia łączyć alkohol ze spotkaniami z Elvire. Aby nie przerażać się nadmiarem swej żądz, Alasane wyszukiwał okoliczności łagodzące i za jednym zamachem przerzucał odpowiedzialność za swe czyny na jakieś środki odurzające. Był to haszysz, whisky lub koktajle, te, powodujące utratę rozsądku. Jego głowa już była oszalała i już wysłał precz wszystkie zakazy z dzieciństwa, już zamilkł w nim głos Yaye, kiedy ciało Elvire rozchyliło przed nim swą przerażającą biel. Ona żądała, on był posłuszny. Czasami - czy to alkohol mu na to pozwalał? - on z kolei ośmieszał się rozkazywać i dziwił się, że podtrzymywała każdą jego inicjatywę, gdyż Elvire nigdy pierwsza nie miała dość. W takich chwilach nie należał już do siebie, jakiś inny on przywłaszczał sobie jego ciało, i tego ciała poczynania pragnął zapomnieć zaraz po miłosnym akcie.

Zabłąkał się w mroczny korytarz jakiegoś peep-showu. Pomiędzy resztkami jedzenia wałały się papierowe chustki do nosa, które jacyś samotnicy po wytarciu brzucha i

członka rzucali na ziemię. Odszedł nie chcąc nawet rzucić okiem do środka, przez okno. Nieco dalej przechodnie oczekiwali na swą kolej, żeby zrobić sobie zdjęcie w stylu wojny secesyjnej. Wystarczyło wystawić głowę przez dziurę w wielkim płótnie, na którym wyrysowano postacie oficera z Południa z winchesterem u boku i jego małżonki w sukni à la Scarlett O'Hara, aby otrzymać fotografię w tonacji sepii, wzbudzającą w barbarzyńcach nostalgię.

Kręcił się w kółko po tym parku atrakcji i powoli jego obrzydzenie zanikało. W tłumie nie rozróżniał już nikogo i obojętnie pozwalał się unosić strumieniowi ludzi. Myślał jednak o Marie. Ciekawe czy spodobałoby się jej to nocne widowisko? Wspomnienie chorej miało dla niego rozczulającą moc. Na jej obraz nakładał się natychmiast obraz Elvire. Nie widział już pociągającej go amazonki, której zaborczości się obawiał, lecz Elvire o wejrzeniu topielicy, zagubioną w bałaganie swego biura i jej głowę opanowaną przez cierpienie siostry. Dałby wszystko za tamtą Elvire. Ona nie musiała nawet mówić: potrzebuję ciebie. Odgadywał jej troski i uczucia. W głębi jej lęku łączył się z nią w sposób całkiem naturalny i kiedy ona uderzała się o kanty mebli można było prawie dostrzec pod czernią jego skóry ślad po uderzeniu.

Zapytał o drogę sprzedawcę tee-shirtów i natychmiast ruszył we wskazanym kierunku. Nagle położył kres swemu błędzeniu. Nie umiałby powiedzieć od jakiego czasu maszerował tak po prostopadłych ulicach Vieux Carré, kiedy przypomniał sobie o spotkaniu. Tak jak na Manhattanie poczuł nagle potrzebę zatelefonowania do Elvire, żeby jej przekazać gdzie się znajduje i prawdopodobną godzinę powrotu do biura. Miał teraz w głowie tylko jedną myśl: spotkać się z nią jak najszybciej w miejscu, gdzie miała się znaleźć cała ekipa.

- Gdzie byłeś? - zapytała.

Dym dławił go, a oczy słabo przyzwyczajały się do ciemności, którą migotanie lamp przesywało brutalnie. Szła

ku niemu jeszcze bardziej rozczochrana niż zwykle i przerywane światło nakładało na jej twarz kolejne maski wściekłości. Muzyka zamilkła i rozbrzmiewał tylko głos Elvire:

- Fajnie, czekam na ciebie godzinami.

Wszyscy na nich patrzyli i Alassane miał wrażenie, że ona podnosi ton dla rozrywki publiczności.

- Dlaczego odszedłeś bez słowa?

- Nie domyślasz się?

- Nie jestem inteligentna.

Nie mógł ścierpieć tej manieri, jaką miała, żeby brać innych na świadków. Na szczęście muzyka znów rozbrzmiewała i zagłuszyła kolejne słowa Elvire. Ona jednak nie chciała skapitulować, wypiąwszy pierś i wyciągnąwszy ręce usiłowała do niego mówić. Gdyby się zadowolili samym szeptem, Alassane mógłby czytać z jej ust, lecz zapął, jaki wkładała w podnoszenie głosu, i migotanie lamp, które ścinało na jej twarzy każdą minę, czyniły słowa niezrozumiałymi. W pewnym momencie zdawała się mówić, że nie powinien jej opuszczać pod żadnym pretekstem i że nic nie mogło usprawiedliwić tego, iż pozostawił ją samą. W jednym z błysków jej spojrzenie zdało się jeszcze bardziej błękitne, uронiona łza nadała mu blask. Zaraz potem ten obraz zatarł się i kiedy ujrzał ją ponownie powieki miała opuszczone i sprawiała wrażenie, iż walczy, by nie ulec uczuciu. Wyciągnął do niej rękę, a ona cofnęła się jakby w obronie. Ramię Alassane'a opadło. Wykonała ruch chcąc się zbliżyć do niego, żałowała, że uchyliła się przed czymś, co mogło być pieszczotą. On jednak nie powtórzył gestu i zawiedziona odwróciła się do niego plecami. Skoki światła podkreślały jej chwiejność.

Alassane usadowił się przy barze, gdzie go obsłużono bez jednego spojrzenia. Znów miał uczucie, że nie jest na swoim miejscu. Zresztą jeśli nie miał kłopotów z wejściem, bez wątpienia zawdzięczał to tylko obecności dwóch techników z ekipy. Spotkał ich przed wejściem do lokalu i ich towarzystwo oszczędziło mu odpowiadania na cały szereg pytań lub

nawet odmowy wpuszczenia go tutaj. Sam nigdy w życiu nie postawiłby nogi w podobnym miejscu.

Elvire przyłączyła się do pozostałych. Przechodziła od stolika do stolika, a każdy zdawał się zapominać o incydencie. Posiadała moc wzbudzania sympatii i czuła się dobrze w każdej sytuacji. To co w jej osobie było nazbyt błyskotliwe, a nawet zwykły blichtr rekompensowała zaskakująca szczerość i witalność, która rozpraszała wszelki opór. Lękano się jej osądu i wyrażano wdzięczność za najmniejszy przejaw zainteresowania. Mężczyźni kleili się do niej, a kobiety, przynajmniej większość, nie zrażały się do niej, gdyż domyślały się, że ich partnerzy mogą z Elvire zakręcić ze trzy kółeczka, a potem odchodzą. Elvire nie usiłowała pozbawić je ich dobra. Z mężczyznami postępowała jak użytkownik, nie właściciel. Najprzenikliwsze podejrzewały, iż pod prowokacją ukryte jest cierpienie.

Alassane pochłaniał swoją whisky obserwując jak Elvire ewoluuje. By pozwolić klienteli nabrać sił, muzyka zamilkła, a lampy przestały nękać siatkówkę i przekształcać każdego w kukiełkę. Z tej odległości Alassane nie słyszał wymienianych słów. Widział jak się śmiała, górna warga Elvire podwijała się uwidaczniając jej podobieństwo do siostry. Czyż nie w tym leżała bezwstydnosc Elvire? W tym śmiechu o różowych dziąsłach i szpiczastych zębach lśniących od śliny? W tym śmiechu, który nieodparcie przypominał Alassane'owi tamtą, chorą, o uzębieniu krzywym i pożółkłym? We wszelkich rozbłyskach swego niepokonanego zdrowia Elvire nosiła na twarzy coś w rodzaju negatywu. Uroda potwierdza się w kontakcie z dziełem śmierci. Dzięki Marie i wspomnieniu, jakie Alassane o niej zachował, Elvire triumfowała w swjej woli życia za dwoje. W głębi śmiechu ujawniała coś delikatnego i zagrożonego, co wzbudzało w Alassane'ie chęć uniesienia jej w ramionach jak ranną, czarną dziewczynkę.

Barman z głową różowej świnki przyśrubowaną do olb-

rzymiego, otylego ciała zapytał go, czy życzy sobie coś jeszcze. Alassane wahał się, lecz namolność skłoniła go do odmówienia.

- Tu się przychodzi, żeby konsumować - zwrócił mu uwagę tamten obrzucając go od stóp do głowy pełnym niesmaku spojrzeniem.

W nerwowym tiku trzepotał powieką zasłaniającą oko w kolorze spranego błękitu.

- Później - odparł Alassane, żeby okazać swą dobrą wolę.

Sąsiadka przysłała mu z pomocą i zamówiła bloody mary. Barman z żalem odwrócił od niego swą uwagę. Usadowiona na stołku amatorka koktajli przypominała rudą, która zwymiotowała mu na buty w noc jego przyjazdu na Manhattan. Ta jednak była ładniejsza i alkohol nie wyrządził w niej zbyt wielu szkód. Mówiła, że mieszka w Baton Rouge, ale że często jeździ do Nowego Orleanu w związku z pracą. Właściciel lokalu jest dalekim kuzynem, a ona lubiła łyknąć kilka bloody mary wypełniając przy okazji obowiązki rodzinne.

- A pan? - zapytała.

- Ja mieszkam w Nowym Jorku.

- A przed Nowym Jorkiem?

- W Waszyngtonie.

- A przed Waszyngtonem?

- Na zachodnim wybrzeżu Afryki.

Zdecydowanie nie nadeszła jeszcze pora, by go wzięto za urodzonego w Harlemie. Nieco dalej, koło parkietu Elvire ujęła za rękę Pierre-Michela i ocierała się o ramię blondaska.

- Jaki jesteś piękny - mówiła mu. - Tak piękny, że nie pozwolę ci uciec. Zatańcz ze mną. Potrzebuję ciebie.

Ostatnie słowa powiedziała bardzo głośno jakby chciała, by usłyszał je Alassane. Czy pod przykrywką żartu nie wybrała celowo tych słów, by go zranić? Potrzebuję ciebie, czyż nie było to ulubione zdanie Elvire? Czy do chwili obec-

nej nie zachowywała je wyłącznie dla Alassane'a? Czy nie uważał, że na to wezwanie wyłącznie on może odpowiedzieć?

Muzyka podporządkowana pragnieniu Elvire rozkręciła się w najlepsze. Młoda kobieta ciągnęła Pierre-Michela na parkiet. Podnosiła ramiona odkrywając jasny puszek pod pachami. Wprawiała w drgania pośladki, pod jasnym, naprężonym zamszem sukienki. Alassane wiedział, że czuła na sobie jego spojrzenie i w tańcu chciała być jeszcze bardziej afrykańska od kobiet jakie znał kiedykolwiek. Usiłowała go uwieść, uwieść Pierre-Michela, a oprócz nich całość towarzystwa. Elvire nie wiedziała, że Afrykanka zapomina o swym cielem i, że w tańcu przestaje mu być posłuszna, by przynależać wyłącznie do muzyki i jej rytmu. Elvire nawet w transie pozostawała świadoma.

Alassane wziął drugą whisky, żeby towarzyszyć bloody mary sąsiadki, lecz jego nowe zamówienie nie wydobyło z różowej świnki najmniejszego uśmiechu zadowolenia. Sąsiadka wyznała mu, że nazywa się Gene. Jej imię - dodała lekko przeciągłym głosem - było zawsze tematem kłótni między rodzicami. Matka bowiem twierdziła, że wybrała je z racji swego podziwu dla Gene Kelly, zaś ojciec zapewniał, że sam narzucił je reszcie rodziny, bo otaczał prawdziwym kultem Gene'a Tierneya. Krótko mówiąc - dodała owa Gene zagłębiając twarz w dłonie o palcach długich i białych jak salsefia - przez długi czas miała wrażenie, że jest dzieckiem Gene Kelly i Gene'a Tierneya, w końcu zdarzają się gorsze rodowody. Tak jak domniemany ojciec uprawiała nawet taniec. Jak urojona matka grała w komedii. Bez większego sukcesu. W Baton Rouge - mówiła - nie można zostać gwiazdą. Potrzebny był jej Nowy Jork albo Los Angeles, żeby rozwinąć talent, lecz cóż, ona zbyt lubi Południe. Zdawało się, że nie porzuciła nadziei na zrobienie kariery i zasypywała Alassane'a pytaniami na temat francuskiego reżysera. Na parkiecie tańczył on właśnie z Elvire i jego nie-

zgrabne podrygi kontrastowały z falowaniem partnerki. Pod obfitą, białą grzywą - niektórzy twierdzili, że była to peruka - jego jeszcze młode spojrzenie było układne. Więcej naturalności wykazywał w trakcie kręcenia filmu, kiedy wykrzykiwał przez megafon polecenia pod adresem statystów. Elvire prowadziła go czubkami palców i zachęcała do zgrania kroków z rytmem. Lecz jego niezdarność szybko ją zmęczyła i skorzystawszy z gwałtownego przyspieszenia tempa zostawiła go na środku parkietu, żeby pochwycić jego asystenta. Stało się jasne, że tego wieczoru miała zamiary względem Pierre-Michela, a blondasek zdawał się mieć trudności z uświadomieniem sobie, jak olbrzymi honor miał właśnie na niego spłynąć.

Jak Alassane mógł mieć sekretną nadzieję, że Elvire się zmieni? Teraz usiłował siebie samego przekonać, że to była jej osobista metoda umknięcia przed tym, co razem przeżyli. Czyż nie odczuwał potrzeby wędrowania o poranku ulicami Manhattanu? Tak samo i ona usiłowała z innym mężczyzną zatrzeć ślady ich uścisków. Owo szczytowe miejsce rozkoszy dokąd udało jej się zaciągnąć Alassane'a czy nie było dla Elvire banalnym regionem, zbyt często odwiedzanym? Czy wystarczał jej tylko jakiś Pierre-Michel, żeby powracać tam do woli? Sposób w jaki się obnosiła publicznie ze swym nowym podbojem poniżał Alassane'a, on jednak domyślał się w jej zachowaniu pewnego wyzwania. Kiedy słowa okazały się bezsilne, Elvire kazała przemówić swemu ciału. To widowisko irytowało Alassane'a, lecz nie mógł oderwać od mego oczu.

Gene była niezłą gadułą. Im wyraźniej czuła, że uwaga sąsiada się wymyka tym bardziej zwiększała przepływ słów. Była przy trzeciej bloody mary - za każdym razem prosiła różową świnkę, żeby jej dobrze popieprzyła napitek - i pod piegowatą skórą czerwone plamy zaczynały rozjaśniać jej cerę. Pragnienie dziewczyny zdawało się jeszcze bardziej niewygasłe niż potrzeba mówienia. Jednak zielone spojrze-

nie pozostało lodowate i w migotaniu świateł oczy nawet nie mrugnęły. Teraz wdała się w obszerne tłumaczenie przyczyn, które ją przywiodły do przerwania obiecującego toku kariery aktorskiej.

- Wie pan dlaczego nie pojechałam do Nowego Jorku? - pytała przepuszczając czerwony płyn przez swe wargi wampirów.

Przerwała nagle i schwyciwszy Alassane'a za ramię salsfiowymi palcami zawołała:

- Hej, hej, słucha mnie pan?

- Tak - zapewnił, żeby ją uspokoić.

- Chce pan wiedzieć dlaczego nie pojechałam do Nowego Jorku?

- Oczywiście.

Musiał odwrócić oczy od parkietu i od Elvire.

- Jestem z Południa - podjęła - z rodziny południowców. Północy się u nas nie lubi. A Nowy Jork to jest to czego się z Północy nienawidzi najbardziej. Ale proszę poczekać, to nie wszystko. Ja mam gdzieś przeszłość. Przecież nie będę sobie głowy zawracać waśniami moich przodków. Lecz jest w Nowym Jorku jedna rzecz, której nie mogłabym nigdy znieść. Wie pan co?

Alassane ani drgnął. By nie zostać szturchnięty przez Gene, rzucił na chybił trafił:

- Samotność.

- Nie, nie samotność. Łatwo wszędzie nawiązuję przyjaźnie, mam naturalny odruch przystosowawczy.

- Więc co?

- Aligatory.

- Nie rozumiem.

- Mówi pan, że mieszka w Nowym Jorku, a nie rozumie?

- Nie.

- Aligatory w kanałach. W nocy wychodzą rurami. Nie mam ochoty znaleźć w wannie aligatorzego bobasa. A panu nie przeszkadza ta kłębiąca się dżungla pod stopami?

- Do dżungli się przyzwyczailem. Stamtąd pochodzę.
- Nie jest pan znowu taki egzotyczny.
- Jest pani tego pewna?
- Chodźmy zatańczyć, a potem odpowiem.

Podążył za nią natychmiast, zadowolony z przerwania rozmowy, uradowany, że wytnie Elvire numer na jej własnym terytorium. Gene kleiła się do niego. Czuć ją było kożuchem na świeżo zagotowanym mleku. Ruda z pierwszej nocy na Manhattanie musiała mieć ten sam mdły zapach zanim zwymiotowała mu na buty. Zdecydowanie stworzony był do barowych znajomości, lecz miał nadzieję, że ta nie zakończy się w tak pożałowania godny sposób co poprzednia.

Gene tańczyła z większym przekonaniem niż wdziękiem. Jednak Alassane chętnie zgodziłby się na stwierdzenie, że jest marnym sędzią. Trzymała się zbyt blisko niego, by mógł naprawdę obserwować jak się rusza, a nawet gdy ich ciała się muskały, dotykały lub zderzały umysł Alassane'a był zajęty wyłącznie Elvire. Zawsze zapadał w taniec jak w zapomnienie. Za jednym zamachem zacierał on przeszłość i przyszłość, zmywał napięcia i lęki, powodował zamroczenie lżejsze i doskonalsze niż alkohol, był chwilą, był ziemią pod stopami, niebem nad głową, instynktownie odnalezioną jednością. Będąc wiarołomnym wobec tańca i muzyki, teraz zdradzał samego siebie. Po co poszedł na parkiet z tą kobietą, której nie pragnął? Dlaczego nie był z tą, którą kocha? Gdyby Elvire była przy nim, słowa miłości, których wymawianiu tak bardzo się sprzeciwiał, same przyszłyby mu do ust. Czy całe życie będzie podobne do tej nędznej knajpy? Czy zawsze będzie tańczył z jedną marząc o drugiej? W sumie nie chodziło nawet o marzenie. Bo ta zbyt jasna kobieta, zbyt piękna, czyż nie wiedział o niej wszystkiego, co tylko można wiedzieć? Czyż nie krzyczała przy nim, nie wymagała, nie doznała rozkoszy? Czy to było nic? Czy był czarnuchem, tylko czarnuchem, którego biała wzięła na próbę?

Przy barze różowa świnka dyskutowała z niskim brunetem ubranym w bluzę w wielkie czerwono-czarne kwadraty i, od czasu do czasu, obaj spoglądali w kierunku Alassane'a i jego partnerki. W pewnym momencie zdawało mu się nawet, że pokazuje go palcem, lecz w tańcu odwrócił się do nich plecami i przestał zwracać uwagę na ich manewry.

Muzyka zdawała się nie mieć końca i Alassane czekał z niecierpliwością na finał piosenki, żeby powrócić na miejsce, kiedy poczuł na swym ramieniu czyjaś rękę. I nie była to ręka Gene. Za nim stał niski brunet i mówił, że chce z nim porozmawiać.

- Proszę cię Bob, odczep się - zareplikowała Gene natychmiast.

Zdawało się, że dobrze go zna.

- Tobie nie mam nic do powiedzenia - odparł tamten.

Miał ponure wejrzenie pod nastroszonymi brwiami.

- Nie podoba nam się to tutaj - powiedział prawie do ucha Alassane'a, tak głośna była muzyka.

- Co? Co wam się nie podoba?

- Ona i ty.

- Nie rozumiem - powiedział Alassane, który był o głowę wyższy od człowieka w bluzie.

- Nie podoba nam się i już.

Alassane wybuchnął śmiechem, swoim afrykańskim śmiechem. Niski brunet był dość krępy, lecz nie ulegało wątpliwości, że Alassane mógł go rozciągnąć na środku parkietu jednym ciosem. Ta pewność pozwoliła mu opanować gniew.

- Nie mam ochoty się bić - powiedział po prostu.

- Ani ja - stwierdził tamten - powiedziałem to tylko w przelocie.

- Daj spokój, Bob, nie rób scen zazdrości - dorzuciła Gene, podczas gdy niski brunet szedł już do baru, do różowej świnki.

Tym razem to Alassane miał ochotę zwymiotować. Trudząc się w miarę Gene wyjaśniała mu, że Bob miał do niej

zawsze słabość. Czuł, że ona próbuje nagiąć prawdę, chcąc go uspokoić.

- Niestety, Bóg wie co sobie wyobraża na mój temat! Myśli, że ja tu przychodzę dla niego.

Komentarze Gene nie mogły uspokoić jego nerwów. Już jej nie słuchał. Już jej nie widział. Nigdy nie istniała. Szukał Elvire wzrokiem. Zanim jeszcze przeszperał mrok sali aż do ostatniego rzędu stołów już odgadł jej zniknięcie. To że Pierre-Michel odszedł wraz z nią było oczywistością. Powiedział Gene „do widzenia” jeszcze przed końcem kawalka. Miał gdzieś różową świnkę, niskiego bruneta w bluzie, miał gdzieś ich groźby i szydercze uśmiechy. Pośród nowoorleańskiej nocy święto zdawało się nie mieć końca.

Od kiedy skończyła piętnaście lat Elvire co roku w czerwcu zabierała Marie do Lourdes. W tym tygodniu nic nie mogło stanąć jej na przeszkodzie w ponownym pokonaniu, aż do pirenejskiej doliny, drogi, którą znała na pamięć. Jako niepełnoletnia musiała niegdyś popełnić wszelkiego rodzaju wykroczenia, aby towarzyszyć siostrze aż do brzegów rzeki Gave. Obecnie nikomu w F.M.O. nie było obce, że owe czerwcowe daty stanowiły nienaruszalne granice pewnego rodzaju wakacji zwierzchności. Cokolwiek by się zdarzyło, Elvire, nieubłagana w tej kwestii, zniknęłaby o właściwej godzinie. Na ogół zapominalska nie zapominała nigdy, w przewidywaniu tego urlopu, zarezerwować miejsca w samolocie na kilka miesięcy wcześniej.

Z roku na rok ceremoniał niewiele się zmieniał. Najpierw był nocny pociąg. Nie miało znaczenia, że Elvire znała trasę - za każdym razem zdawało się jej, że dolina coraz bardziej się kurczy. Było jeszcze daleko do rzeki i Pirenejów, lecz już się miało wrażenie, że pociąg sunie pomiędzy spadzistymi ścianami korytarzem tak wąskim, że wagony na styk znajdowały dla siebie przejście. A przy tym rzucały, jęczały,

wzdychały, konały. Wokół panowała noc, a pośród nocy ten metalowy przedmiot torował sobie z trudem nierealną drogę ku miejscu okropności i wiary. Elvire myślała o innych pociągach, które wiodły niegdyś miliony więźniów na poniżenie, na śmierć.

Ludzie w przedziałach nie mieli ochoty na sen. Przygotowywali się do dorocznego spotkania i podniecenie rosło powoli. Ci, którzy byli sprawni nie oszczędzili wysiłków. Przez cały rok gromadzili siły, których nadmiar wylewał się teraz. Szafowali uśmiechami, zachętami i dobrą wolą. Uzewnętrzniali swą radość, swą dobroć i podnosili głos. Jak u aktorów trzymany zbyt długo z dala od sceny ich interpretacja skłaniała się ku przesadzie. Oni robili zbyt wiele, ich publiczność żądała jeszcze więcej. Czyż nie należało za wszelką cenę zaszczerpić nadziei? Czyż nie należało nakłaniać do wiary, że wszystko jest życiem, nawet ból, nawet śmierć? Czyż nie trzeba było zapomnieć o tych, którzy byli w tej podróży w minionym roku, a których nigdy nie miano ujrzeć ani w pociągu-widmie, ani gdzie indziej?

Elvire rozdała dzieciom amerykańskie czapeczki pilnując, aby nie wyczerpać zapasów, które będą jej potrzebne jeszcze tam, na wspólnej sali, by przywołać uśmiech na usta małych kalek. W dzinsach i koszulce przyklejonej do ciała nie czuła się zobowiązana do przyjmowania postawy dobrej siostrzyczki. Sama była pielgrzymem i miała nadal nim pozostać. Chorzy uwielbiali ją. Była samym życiem. Jej sukces zamieniał się w prawdziwy triumf, kiedy opowiadała ostatnie odcinki serialu „Dallas”, z którym Amerykanie już się zapoznali, podczas gdy publiczność francuska nadal tkwiła w niezdolnej ignorancji. Marie dzieliła jej chwałę. Ostatnia wyprawa za Atlantyk roztaczała wokół niej poświęcenie widoczną jedynie dla wtajemniczonych. Chora przywiozła z Nowego Jorku przede wszystkim wspomnienie o Alassane'ie. Po przyjeździe do Saint-Genet, kiedy wymieniła z siostrą pierwsze spojrzenie, Elvire zrozumiała, że o nim i tylko o

nim Marie chciała słyszeć. Czyż nie przeniósł jej przez Centrum Rockefellera, jak młody mąż unosi w ramionach żonę, by z nią przekroczyć próg domu. Marie pożerała siostrę wzrokiem i Elvire musiała jej wszystko wyznać. Czy dopełniło się to, co dopełnić się miało? Czyż nie musiała odpowiadać za ich podwójną miłość?

To było w przeddzień ich wyjazdu do Lourdes. Marie uparła się, żeby obcięto jej włosy i Elvire sprowadziła fryzjerkę do domu. Brązowe kosmyki osłabione przez ciągłe ocieranie się o poduszki spadały na pościel. Marie wyglądała jak prawdziwy punk - twierdziła Elvire. W rzeczywistości była bardziej wyskubana niż pisklak. Ten marny czubek nastroszony na czaszce sprawiał, że Marie zdawała się jeszcze bardziej wątła, a kości policzkowe przecinały skórę na wylot. Elvire nie śmiała sprzeciwić się woli siostry, lecz na małej ukochanej twarzy odkrywała teraz nowe zniszczenia dokonane przez cierpienie.

Ona była tam, jej siostra, jest nieruchoma i domagała się odrobiny życia. Kiedy Elvire powiedziała jej, że Alassane był jej kochankiem Marie nie wyglądała na zdziwioną. Odgadła to już z głosu Elvire przez telefon. Jej rysy się wygładziły, by wyrazić aprobatę. Na twarzy odmalowała się chwila szczęścia. Tym razem była nie tylko rozbawiona, oderwana od swego stanu dzięki miłosnym perypetiom, które Elvire umiała przeżywać i opowiadać, ale po raz pierwszy poczuła w całym swym ciele coś w rodzaju błogostanu, który aż do tej chwili umiały spowodować jedynie ręce Elvire, kiedy masowały jej mięśnie, napięte, obolałe i powoli doprowadzały je do stanu rozluźnienia. Imię Alassane'a miało tę magiczną moc i Elvire powtarzała je ku zadowoleniu siostry i dla własnej przyjemności. Alassane kochał ją jak żaden inny mężczyzna - mówiła. - Wszystkie zakręty, błędy, oczekiwania wiodły ją ku niemu, a świat stał się prosty od kiedy o tym wiedziała. W miarę pogłębiania zażyłości Elvire włączyła do tej miłości swoją siostrę. Czyż to nie Marie, małą

Marie o imieniu Dziewicy, o ciele dziewicy i męczennicy, całował poprzez wargi Elvire, pieścił na łóżku, na którym chora zostawiła swój odcisk? Czyż nie była to jej jedyna szansa, poprzez Alassane'a, poprzez Elvire, poznać miłość i rozkosz?

Elvire przypomniała sobie nagle zalecenia jakie przekazywała jej matka, kiedy miała trzynaście lat i gdy krew wypłynęła jej spomiędzy nóg: teraz moja córko musisz bardzo uważać, żeby się nie zbrukać. Przynajmniej w wypadku drugiego dziecka matka nie musiała obawiać się zbrukania. Dziewica, święta, którą wypuściła ze swego brzucha. Jeśli córeczka rozbiła się przy lądowaniu, trudno. Czyż nie było najważniejsze, że miała pozostać czystą na zawsze? Tym razem matka nie musiała się niczego obawiać. Marie miała być trzymana w nieznajomości rozkoszy. Marie miała znać tylko jej brak. Mała, roztrzaskana dziewczynka, żaden miłosny uścisk nie miał jej rozbudzić, żaden mężczyzna nie miał otworzyć przed nią bram rozkoszy. Kobieta udręczona, która miała poznać w życiu jedynie jego ciemną stronę, kobieta niezdolna ofiarować swemu ciału chwili wytchnienia, swej żądzы ujęcia, kobieta pozbawiona wszystkiego, kobieta o okaleczonym ciele, ręce miały jej odmówić posłuszeństwa i siostra będzie musiała użyć jej swoich, by pieszczota nie pozostała snem. Czyż Elvire nie była zdolna zbrukać nawet świętej?

W przedziałach nadeszła pora śpiewów. Alleluja wybuchło jak fontanny sztucznych ogni. Ziemia obiecana zbliżała się i nikt nie miał zamiaru drzemać tak blisko celu. Elvire zaintonowała pieśni, z których - czym była zaskoczona - nie zapomniwała ani jednego słowa. Tak oto z roku na rok stąpała po swych własnych śladach. Należało śpiewać, śpiewać wniebogłosy, oto właściwe słowo, trzeba było ciągnąć, popychać, podnosić nosze, żeby tylko nie myśleć. Ona знаła to pierwsze fatalne załamanie i tym razem również lękała się jego nadejścia. Nauczyła się jednak wytrzymywać

przynajmniej do rana. Tak szybkie poddanie się nie leżało w jej charakterze.

Alleluja, alleluja! - podjęli śpiewacy. Od tyłu lat Elvire śpiewała Alleluja, a Marie nadal spoczywała na swym łóżku. Ujrzała siebie w wieku lat dwudziestu, być może dziewiętnastu, stojącą na esplanadzie przed Dziewicą-Królową w chwili, gdy po raz pierwszy ośmieliła się powiedzieć do siebie: ależ jestem głupia, ależ jestem strasznie głupia! Ona nigdy nie wyzdrowieje. Nigdy! Wreszcie wyznawała przed sobą, że w to nie wierzy. Gorzej, za jednym zamachem negowała całą upartą nadzieję, która zaślepiała ją od dzieciństwa i dawała jej siłę kroczenia przez rzeczywistość. Cud miał miejsce, lecz dokonał się w przeciwnym kierunku. Przed ohydną statua Dziewicy zrozumiała, że tamta druga Marie, jej siostra, jej nieruchoma nigdy nie będzie chodzić. Elvire przejrzała na oczy. Alleluja!

Tortuowało ją nie tylko to wspomnienie. W jej brzuchu tkwił ostry ból, którego przyczyną nie była Marie. Podniosła się nagle, kołysząc, uderzając raz o ławkę, raz o nosze i żeby utrzymać równowagę uczepliła się obiema rękami jednej a następnie drugiej półki. Pociągi lubiła wyłącznie w wester-nach. Będąc na korytarzu odwróciła się plecami do przedziałów; cierpienie chorych czyniło jej własne żalosnym, a jednak prześmiewcze spojrzenie, którym obrzucała samą siebie jeszcze bardziej potęgowało jej doznania. Drżała jak oszalała i rzeczywiście była oszalała, oszalała, oszalała na jego punkcie aż do krzyku, aż do wykręcenia sobie ramion i dłoni, aż do nocnych krzyków, aż do jęków bez końca, podobna do tych kobiet odzianych na czarno, zawodzących na cmentarzach Południa. Dlaczego po tak długim czekaniu na niego podjęła ryzyko, by go z miejsca stracić? Czyż nie mogła przestać się zgrywać, kiedy chodziło o jej życie? Kochała po raz pierwszy i mimo że czuła, iż w jej wieku takie odkrycie jest absurdalne, nie chciała się porównywać z tymi starymi kurwami, które za każdym razem wymyślają sobie ten pierwszy raz,

żeby lepiej pobudzić swe łona i wytarte uczucia. Alassane był jej pierwszą miłością i ona czuła się wobec niego bezbronna, niedoświadczona, niezgrabna. Ich długie miesiące przyjaźni i to, co sprawiało, że Alassane był mężczyzną innym od tych, których знаła do tej pory, wszystko to nie pozwoliło Elvire uchronić się przed tym dziwnym uczuciem, jakie uświadomiła sobie dopiero wtedy, gdy już było za późno. Zresztą żaden system obrony nie pozwoliłby jej się wymknąć. Nie uda się uciec przed rzeczami oczywistymi. Nie można stosować uników, kiedy wreszcie zdarza się coś, na co się już straciło nadzieję.

Pocziwe dusze zaczęły się niepokoić nieobecnością Elvire. Kilka twarzy pojawiło się w szczelinie drzwi. Elvire uśmiechem podniosła każdego na duchu. Ręce jej jeszcze drżały, a prawa powieka podskakiwała od czasu do czasu. Powiedziała, że wypila zbyt dużo kawy, tak fatalnie wpływającej na nerwy, a jest przyzwyczajona wyłącznie do amerykańskiej lury. Marie usnęła - powiedziano jej. Elvire znów była sama na korytarzu, a siostra pogrążona we śnie zdawała się bardzo odległa, przedzielał je ocean. Ze swej miłości przekazała Marie tylko romans. Nie powiedziała, że nigdy tak naprawdę nie zamknęła jego ciała w swych ramionach. Nie powiedziała, że żyła w lęku przed ujrzeniem jak umyka rankiem, że nigdy nie zasypiała u jego boku, tak bardzo obawa, że po przebudzeniu znajdzie się sama, trzymała ją w pogotowiu. Było jeszcze milczenie tego człowieka i matowość tej skóry, której pieśczeniem nie mogła się zmęczyć. Słowa nie były zbytnio potrzebne w czasach, gdy tylko przyjaźń ich łączyła. Porozumienie rodziło się z jednego spojrzenia, gestu bądź uśmiechu. Od chwili gdy zostali kochankami miała wrażenie, że Alassane nigdy się przed nią nie obnażał. Jego odzienie ze skóry zasklepiąło się, a miłość Elvire jak woda po lśniącym i gładkim brzuchu foki spływała i nigdy nie udawało się jej przeniknąć do wnętrza tego ciała. Cóż kryło się pod mroczną materią?

Lubiła kłaść usta tam, gdzie krew bije najmocniej, na szyi, na członku, i usiłowała odgadnąć co też tak usilnie starał się przemilczeć. Jej pieszczoty stawały się coraz celniejsze, coraz bardziej natarczywe, musiała podsycać gwałtowność, by uczynić przepuszczalną tę skórę o nazbyt gęstej strukturze. Potrzebuję ciebie - powtarzała mu na wszelkie sposoby. Podtrzymał ją na duchu. Czy choć raz nie stawiał się na jej wezwanie? Czyż nie przybiegał na najmniejszy znak? Odpowiadała, że powinien być u jej boku, zanim zdążyła wezwać pomocy. Elvire nie miała ochoty na śpiewanie „alleluja”, lecz na wrzeszczenie: Help, help! Za to Alassane nigdy niczego nie żądał i gdy Elvire podejmowała ryzyko kupienia mu jakiegoś prezentu, zgadzał się, lecz kręcił nosem. Zadawanie mu pytań już było pogwałceniem jego wolności.

Znów miała przed oczyma tę nieprzeniknioną twarz z Nowego Orleanu. Alassane starannie ukrywał przed ekipą co go łączyło z Elvire, jak gdyby publiczne wyznanie groziło mu większym uwikłaniem, niż intymność ich uścisków. Gdy tylko przestawali być sami, odgrywał obojętność z takim zapałem, że szybko zaczęła go podejrzewać, iż woli tę rolę od tej, do jakiej zachęcała go nocą. Jesteś szefową F.M.O. - mówił - i nikt nie musi znać twego życia. O mało brakowało, a zacząłby się odwoływać do koloru ich skóry, aby usprawiedliwić ten nadmiar ostrożności. Czego się obawiał? Przed czym uciekał rankiem, odziewszy pośpiesznie swe wspaniałe ciało? W swym nowojorskim mieszkaniu po jego wyjściu Elvire rzucała się do okna i widziała jak pędem umyka po pustym jeszcze chodniku. Po co była ta gra w chowanego po czterech kątach Vieux Carré? Usiłowała wzbudzić w nim zazdrość, a udało jej się tylko jeszcze bardziej pogłębić w jego umyśle wyobrażenie, jakie miał o niej. Dlaczego nie czuł, kretyn, że życie Elvire teraz zależało od jego życia? W jakim języku powinna mówić, żeby ją zrozumiał, po angielsku, francusku, w języku wolof? A skoro nie rozumiał, to czy nie

mógł jej przynajmniej kochać? W ten cud nie chciała przestać wierzyć.

Jak co roku Elvire zajęła się dziećmi i tuż po wejściu do sypialni zauważyła chłopca o spojrzeniu abisyńskiego kota. Musiał mieć jakieś osiem lat.

- Kto to? - zapytała młodą zakonnice pełniącą honory gospodyni domu.

- Mały Kabyl - odparła siostrzyczka. - Na imię mu Antoine.

- Przecież to nie jest imię kabyłskie. Mielicie naprawdę tupet, żeby tak go przechrzcić!

- Nie, jego matka jest Francuzką.

Jego nie mogło to spotkać - pomyślała Elvire. - Nie, jego nie, jest zbyt piękny. Cóż ona odkryje? Jaka choroba przywiodła do Lourdes to wspaniałe dziecko? Nie miał nóg? Czy był w śmiertelnym niebezpieczeństwie? Elvire czuła, że opuszcza ją ostatnie siły, jeśli okaże się, że to dziecko jest skazane. W obawie przed najgorszym przerwała wyjaśnienia zakonnicy i skierowała się w stronę innych dzieci, które poznała w poprzednim roku.

Nieco później Elvire weszła na najwyższe piętro, żeby sprawdzić, czy Marie jej nie potrzebuje, potem sama wróciła do sypialni dziecięcej, obładowana czapkami. Przechodząc od łóżka do łóżka rozdawała je, a kiedy doszła do małego Kabyla, ten wyrwał z jej rąk czapkę, którą mu podawała i skoczywszy na równe nogi naciągnął ją tak, że aż pod daszkiem skryły się jego zielonożółte kocie oczy. Nic mu nie brakuje - pomyślała z ulgą, nie myśląc nawet o skrzyczeniu go za gwałtowność.

- Podoba ci się? - zapytała go.

Dziecko nie odpowiedziało. W trójkątnej twarzy jarzyły się oczy małego, dzikiego zwierzęcia i wpatrywały się w nią w ciszy.

- Nie wiem, czy ci się podoba - kontynuowała Elvire. - W każdym razie pasuje ci jak diabli.

Znów nie odrzekł ani słowa, lecz jego twarz złagodniała w uśmiechu, a migdałowe oczy wyciągnęły się kącikami ku skroniom.

- Pierwszy raz w życiu widzę śmiejącego się kota - rzekła nie mogąc wydobyć z niego ani słowa. Słyszała rzekę rozbryzgującą się o kilka metrów od sypialni; jej ciągle szmeranie stanowiło silny kontrast dla ludzkiej gestykulacji.

- Ciebie też widzę po raz pierwszy - ciągnęła. - Byłeś już tu kiedyś?

Dziecko nie otworzyło ust, lecz jego ręce zaczęły tańczyć. Początkowo oczy Elvire nie mogły ukryć zdziwienia, potem zrozumiała na co cierpi abisyński kotek. Co zrobić żeby mógł przemówić? Nagle natchnęło ją.

- Umiesz czytać? Umiesz pisać? - zapytała.

Wykonała gest otwierania książki i podniósłszy złączone dłonie na wysokość oczu zdawała się śledzić wzrokiem, od lewej do prawej, linijki tekstu. Potem prawą ręką udała, że pisze na dłoni lewej ręki. Dziecko pokiwało głową, a czapka obsunęła się jeszcze bardziej na piękną twarz. Elvire pokazywała na niego palcem z pytającą miną powtarzając pytania: „Umiesz czytać? Umiesz pisać?”

Wtedy chłopiec wyskoczył z łóżka i wyciągnawszy spod poduszki małą tabliczkę napisał: „Pewnie i nie jestem bałwanem”. Wybuchnął śmiechem jakby zrobił Elvire świetny żart. Nie mogła się powstrzymać, by nie unieść daszka czapki, żeby lepiej widzieć oczy, które opanowała intensywna żółć, oraz by nie złożyć na obu policzkach głośnego całusa, którego czułość odebrał zamiast głośności. Startł natychmiast swój napis i wyciągnął tabliczkę ku Elvire.

- „Jesteś Algierczykiem?” - napisała.

- „Kabyłem” - uściśliło dziecko nie ścierając pytania Elvire.

- „To co tu robisz?” - zapytała.

Dziecko przeczytało pytanie i wytarło tabliczkę, żeby zrobić wolne miejsce na odpowiedź: „Moja matka jest katoliczką. Ojciec nie.”

- „A ty?”

Zastanawiał się przez chwilę i wreszcie napisał z pilną miną: „Się zobaczy”.

Zaczął się robić bardzo gorąco i ponieważ Elvire wyciągnęła chusteczkę, żeby sobie wytrzeć kark, dziecko zdjęło czapkę i jak wachlarzem zaczęło ją wachlować. Podziękowała mu uśmiechem i dwiema rękami uniosła do góry swe gęste, ufryzowane włosy. Chłopiec natychmiast skierował ruchy czapki w kierunku długiej, wilgotnej i białej szyi. Kiedy na twarzy Elvire wyczytał ulgę, powrócił do pisania: „Zgadnij jak się nazywam? Pierwsza litera to A...”

Siedząc na łóżku sztywno, z jedną nogą podłożoną pod pośladki, z pytającym wyrazem twarzy podobny był do kotów ze starożytnego Egiptu, które udawały sfinksy na skrzyżowaniach dróg, aby zadać podróżnikom fatalne pytanie. Elvire nie miała najmniejszej ochoty nazywać małego Kabyła, któremu kasztanowe kosmyki wpadały w nieładzie do oczu, jego własnym imieniem. Antoine? To nie jest imię dla kota. Została popełniona omyłka. Elvire nie mogła nazywać go Antoine. Nawet jeśli dziecko nic nie słyszało domyślała się, że mimo wszystko mógł pojąć pieszczotę słów. Trzeba było wynaleźć mu imię, którego powtarzanie sprawiałoby jej przyjemność i które mogłoby się przedrzeć przez samotność tego pięknego dziecka. Było w nim coś ostrego i dzikiego. Czy to była cisza? Czy żółtawe połyskiwanie żrenicy?

„Nazywasz się: Alezan” - odpisała, lecz starannie zaakcentowała słowo swą amerykańską wymową, bowiem tak bardzo jej słodycz muskająca usta zdawała się ucieleśniać pocałunek przeznaczony dla dziecka.

Przyjął przesłanie nie wykazawszy żadnej reakcji, wówczas Elvire ponownie pochwyciła tabliczkę i tym razem

wdała się w obszerne wytłumaczenie. Mieszkam w Nowym Jorku - pisała - po drugiej stronie Atlantyku, a tam podobne do ciebie koty, rude abisyńczyki są nazywane Alezanami. Chciałabym ci nadać to imię, bo uważam, że pasuje do ciebie. Chcesz żebym cię nazywała Alezanem?

Dziecko przestało wachlować ją czapką i powoli przeczytało słowa Elvire. Unosząc twarz o zastygłych rysach popatrzyło na nią bez mrugnięcia okiem, w doskonałym bezruchu torsu i głowy, a ona odniosła wrażenie, że coś ciągnie ją w tę strefę ciszy, gdzie ich role uległy odwróceniu. On był mistrzem, ona uczniem. Wreszcie kiwnął potakująco i zapisał na tabliczce zgrabnym pismem: „To będzie nasz sekret”.

- Alezan to sekret - odpowiedziała na głos.

Ścisnęła w rękach obie dłonie dziecka. Dopiero w tym momencie zrozumiała, że imię, jakie mu nadała bez skrępowań i jakie uznała za nie do przyjęcia u innych, różniło się tylko jedną samogłoską od imienia mężczyzny, którego kochała. Ta drobna różnica była nawet złagodzona przez amerykańską wymowę. W samym środku tej pirenejskiej doliny przeznaczonych do kupczenia bólem i wiarą po raz kolejny odnajdowała swego kochanka. Czy był on źródłem każdej ciszy, każdego wzruszenia? Czy ona stała się głucha na wszystko, co nie było echem jej własnego serca? Patrzyła na małego Alezana i myślała o tamtym drugim niemym, przybyłym z Afryki, z którego również chciała wydobyć jakieś słowa.

- Mówiono mi już, że przyjechałaś, lecz nie śmiałam w to wierzyć! - trąbiła w głębi sypialni jakaś nowo przybyła.

- Wychodzimy? Zaraz będziemy wychodzić? - krzyknęły dzieci ze wszystkich łóżek, gdy tylko ją ujrzały.

- Elvire! Moja piękna Elvire, czekałam na ciebie! - wołał mastodont potrzęsający przy każdym kroku pośladkami, cyckami, podbródkami, całym tym kłopotliwym majdanem, który jednak w najmniejszym stopniu nie wpływał na mobilność całości.

Jeszcze przed odwróceniem się i rozstaniem z rękami i pomarańczowym spojrzeniem dziecka Elvire rozpoznała ten głos. Solange - powiedziała i już została przyciśnięta do olbrzymiej piersi i wymasowana przez dwie pulchne i szerokie dłonie.

- Jaka jesteś piękna, jaka młoda, mój miodowy promyczku! Co roku jesteś taka sama - wołała siostra Solange z silnym akcentem burgundzkim, który w entuzjastycznym potoku słów mocno uwidaczniał wszystkie „R”.

Ze zsuniętym czepkiem i w obwisłym fartuchu bardziej była podobna do niegdysiejszych praczek, o poranku obracających w nicość swymi kijankami sterty brudów, niż do zakonnicy, całej w dewocji. Jej dyszący oddech świadczył o licznych zajęciach. Za jednym zamachem myła, pocieszała, karmiła, opiekowała się dziećmi i dorosłymi. Kiedy kochała, to kochała naprawdę i ubóstwiała Elvire nadając jej różnorakie imiona. „Miodowy promyczek” było tym, które powracało najczęściej, być może Solange wspominała swego ojca wieśniaka i pszczelarza z zakątków Burgundii i okolic Morvan. Już dawno opuściła swe rodzinne ziemie, by przemierzać świat od jednej przypadkowej misji do drugiej. Wraz z wiekiem i powiększającą się otyłością musiała się zdecydować na powrót do Francji i od lat urzędowała w Lourdes zachowując autorytet szefa jednostki komandosów i czułość niani.

- Mam coś dla ciebie - powiedziała Elvire.

- Niech cię Bóg ma w opiece! - zawołała Solange i wycisnęła na obu jej policzkach po dźwięcznym pocałunku.

- Coś dobrego oczywiście? - zatroskała się pomiędzy dwoma całusami.

- A powiedz, czy przywiozłam ci kiedy jakieś siuski? W końcu mnie przekonasz, że to nie na mnie czekasz z taką niecierpliwością, ale na to co mam w torbie podróźnej!

- Ciii! - syknęła Solange, przytknąwszy wskazujący palec do swych wielkich, łakomych ust. - Tu są dzieci.

To już był szczyt wszystkiego. Robiła więcej hałasu niż rzeka Gave i, z wyjątkiem Alezana, ani jedno dziecko nie straciło ani słowa z jej szorstkiej gadaniny, a ona miała jeszcze dość tupetu, by domagać się dyskrecji, której ze swej strony nie potrafiła zachować.

- Four Roses - szepnęła jej Elvire do ucha.
- Cud nad cudami!

Siostra Solange z trudem skrywała swą radość. Four Roses - powtarzała z zachwyconą miną, i był to prawdziwy dywan z róż, który bezwstydnie deptały stopy w bliskości Niepokalanej i Dziewicy. Na lotnisku Kennedy'ego Elvire nie zapomniała wstąpić do Free-Taxu, żeby kupić dla Solange butelkę burbona. Tym razem kupiła nawet dwie, to była niespodzianka. Chciała dać jej spróbować inną markę. Elvire czuła niewątpliwie, że przed poproszeniem o dodatkowe modlitwy, dobrze było podsyć płomień jej entuzjazmu.

- Chodź, pójdziemy po trunk.
- Nie - przerwała jej Solange. - Nigdy przed szóstą wieczorem. Bo inaczej nie będę się do niczego nadawała.
- Nikt ci nie każe wypić od razu.
- Nie kuś grzesznicy, znasz przecież granice jej oporu.

Rzeczywiście, aż do szóstej wieczorem wstrzymywała się przed wypiciem czegokolwiek, co byłoby podobne do alkoholu. Będąc na nogach od świtu zwalniała swą aktywność dopiero pod koniec dnia i, w miarę upływu godzin przesycała się tymi wszystkimi cierpieniami, którym pragnęła ulżyć. Nie mając czasu na zaczerpnięcie oddechu przechodziła od jednego do drugiego, rozdawała miłe słowa i podnosiła na duchu. Bez odrazy zanurzała swe dłonie praczki we krwi, ropie, gównie, we wszystkich odchodach, we wszystkich wydzielinach z uśmiechem Piety na twarzy jeszcze bardziej zniszczonej niż kredens z jej dzieciństwa.

Poznała okropności całego świata, głód w Sertao, trąd w regionie Madras, wojnę w sercu Afryki, zanim wyrzuciło jej

wielki kadłub na ten brzeg rzeki Gave, dokąd skazani przychodzili, by postawić wszystko na jedną kartę. Wbrew temu, co się na ogół sądzi - powiedziała pewnego wieczoru do Elvire, mając gardło ściśnięte czkawką spowodowaną przez alkohol i rozpacz - nie można się przyzwyczać. Każda istota, która cierpi, cierpi po raz pierwszy, a ja stara i głupia, cierpię razem z nią także po raz pierwszy. Po tylu latach powinnam była stwardnieć. Próbowалам się zasklepić w sobie, wydzieliłam wokół siebie tłuszcz, chciałam ukryć się za moimi fałdami i wypukłościami. Nic z tego! Szaniec jest zbyt miękki i puszcza każdego wieczora. Wtedy muszę dostać moją dawkę, żeby być pewną, że nazajutrz znowu będę mogła wystartować.

Było jeszcze wcześniej rano i Solange mogła oddać się swej rozpuście dopiero po procesji. Na razie, po zakończeniu zabiegów pielęgnacyjnych należało się udać na esplanade, żeby wziąć udział we mszy. Alezan podał pomocną dłoń Elvire i razem popchali wózek Marie. Przemknęli przez niekończący się korowód noszy wylewający się z wysokości miasta aż do mostu i z mostu wdrapujący się aż na teren groty. Solange maszerowała przed nimi zaprzęgnięta do wózka jakiegoś paralityka.

- Zobaczysz - powiedziała odwracając się do Elvire - w tym roku są straszne tłumy Irlandczyków.

- Kiedy rodzice piją... - odparła Elvire nie kończąc zdania.

- Przynajmniej w moim przypadku te kilka kropeł nie wpłynie ujemnie na potomstwo - zareplikowała Solange w rytm wesołych podrygów piersi i podbródków.

Na całej długości trasy, jedne przy drugich, małe sklepiki tłoczyły swe stragany z tandetą, z fetyszami, amuletami i dewocjonaliami Bernadetty z oczami w słup i Dziewice ze złączonymi dłońmi zajmowały większość miejsca. Wystawiono również starannie wykadrowane zdjęcia wcześniejszych delegacji. Na każdym widniały ciągnące się w kilku

rzędach łóżka z chorymi, a za nimi noszowi, osoby towarzyszące, rodziny. Na pierwszym planie tabliczka leżąca na ziemi precyzowała skąd przybyli ludzie i datę pielgrzymki. Wszyscy się uśmiechali i nawet najbardziej dotknięci spośród nich usiłowali naśladować radość przy pomocy słabego grymasu. Rzecz by można - zdjęcia klasowe. Lecz jakież zły los dotknął nagle tych nazbyt dobrych uczniów i przedwcześnie ich postarzał i pokaleczył? Było jeszcze trochę dziecięcnosci w ich spojrzeniach. Każdy zdawał się pytać: wczoraj byliśmy młodzi, zdrowi, może nawet piękni, cóż więc nam się przytrafiło?

Elvire opuściła daszek nad wózkiem, Marie chciała czuć słońce na skórze i na wpół przymknęła oczy. Alezan lizał loda waniliowego, kupionego właśnie przez Elvire, a który zaczął ściekać po rożku, palcach i po przegubie. Czubkiem języka wędrował po słodkiej ścieżce. Elvire znowu stawała się małą dziewczynką z wózkiem. Jednak nie czuła już jak niegdyś pełnego dezaprobaty spojrzenia całego miasta. W Saint-Genet zarzucano jej, że wystawia na widok publiczny cierpienie Marie. Doświadczenie w pielgrzymkach nauczyło Elvire, że w tajemnicy jej rodzinnego miasta żyły istoty, których rany odkrywano tylko raz w roku na drodze do Lourdes i, że czasami ci, co skrywali za swymi zamkniętymi okiennicami straszne ułomności, byli najzapalczywsi w potępianiu innych.

Tu przynajmniej wstyd nie istniał i było to jedyne miasto, gdzie chory nie musiał się zagrzebywać w ziemię jak stonoga. Wreszcie było wolno wszystkim pokreconym, wszystkim debilom, słabowitym, na wpół żywym, prawie trupom ujrzyć dzień i słońce, wziąć w posiadanie ulicę i życie, jak gdyby na kilka godzin przestali być naznaczeni haniebną pieczęcią anormalności. Tutaj mogli się ślinić, kiwać głowami, wystawiać na pokaz swe ręce i nogi poskręcane, połamane lub zwyrodniałe, białawe kikuty, ciała bez nóg, torsy bez ramion, głowy bez spojrzeń, usta bez głosu. Defilowali jak

na paradzie, te istoty, które już dawno zagubiły swój rozum, ci przezroczyści ludzie o pustych oczodołach, te zjawy pochwycone w sieć rurek odmierzających im życie kropla po kropli. A ci, którzy stali, pchali leżących, zaś policjanci powstrzymywali sznur samochodów, aby wielki karnawał nie został przerwany i by Bóg mógł roztoczyć przed oczami wszystkich nieskończoną potęgę swej wyobraźni. Czyż nie musiała być nieskończona skoro odnawiała się z taką dokładnością i serwowała obficie tyle zaskakujących aberracji natury?

Olbrzymia esplanada rozgrzana do białości przez słońce wspinające się w stronę swego zenitu robiła na Elvire wrażenie lotniska, gdzie licznie tłoczyli się pełzający w nadziei, iż pewnego dnia odlecą. Ze złączonymi rękami, spojrzeniem zwróconym ku niebu oczekiwali na nieprawdopodobny statek. Ale uwaga, żadnego przepychania, zabrania się miażdżenia w przejściu. Utopia wymaga porządku. Na każdego przyjdzie kolej, a Bóg rozpozna swoich. Precyzyjna choreografia dyrygowała ewolucjami, a każdy stanowił część całości. Żadne łkanie, żaden krzyk nie mógł zakłócić porządku widowiska.

Spraw abym chodził - powtarzano z absolutną żarliwością, a Marie nie miała chodzić. Spraw abym przejrzał - a niebo nadal miało pozostać puste. Spraw abym słyszał - a Alezan o spojrzeniu abisyńskiego kota miał pozostać głuchoniemy co najmniej do tego samego dnia następnego roku. Amen. Mając nadzieję przytroczoną do ciała ludzie szli wypić solidny łyk z cudownego źródła i napełniali magicznym eliksirem butelki, a nawet całe dzbany. Wracano do miasta z uśmiechem na ustach, lecz jednak z nieco ciężką głową. To wszystko? - zadawano sobie w myślach pytanie i szybko odganiano złą myśl. Przypisywano to zmęczenie upałow i słońcu, które nagle zaczęło świecić pionowo.

Elvire skorzystała z przerwy obiadowej i pobiegła wziąć prysznic. Wykąpała się rano, zaraz po przyjeździe, lecz

ponownie musiała zmyć ciało i przeprać bieliznę jakby najdrobniejszy zapach był zwiastunem śmierci. Ta obsesja dziwiła nawet ją samą, bo aż do tej chwili umiała się obronić przed amerykańską manią czystości. Kiedy Alassane umykał z jej łóżka o świcie nie miała ochoty się myć. Lubiła czuć jak po jej udach płynie sperma kochanka.

Członki Elvire, których bladość stawała się świetlista, gdy przemieszały się z członkami Alassane'a, w samotności dawały niezdrowy odbłask. Szorowała swą skórę nie mogąc przegnać obrzydzenia. Tam Alassane pewnie właśnie się budził. W każdym innym miejscu nie czekałaby ani sekundy dłużej, żeby do niego zadzwonić. Tutaj nawet ten prosty gest był niemożliwy. Miałaby wrażenie, że zdradza Marie, być może nawet, że wystawia na niebezpieczeństwo szanse jej wyzdrowienia. Czy to, że myślała o kochanku już nie było grzechem? Ta odrobina czasu, jaką Elvire poświęcała siostrze była święta. Temu życzeniu, którego nigdy nie wymówiła chciała pozostać wierna.

Tego popołudnia była kolej mężczyźn na zanurzanie się w basenach. Po obiedzie i kosmetyce pochód miał się rozpocząć natychmiast. Mieli pójść nieco niżej, wzdłuż rzeki, by godzinami stać w kolejce przed budynkiem opierającym się o wzgórze, skąd wytryskiwały uzdrowicielskie wody. Mieli śpiewać Ave Maria pod palącym słońcem, aż do wyczerpania sił. Wreszcie miała nastąpić chwila wejścia do jednej z komórek tego pszczelego plastra, obwieszonej wotami i tekstami modlitw. Mając biodra przepasane obszernymi granatowymi fartuchami silni mężczyźni mieli zanurzyć bezwładne ciała w olbrzymich wannach wypełnionych po brzegi, skąd chorzy mieli wyjść podobnie jak inni w Hardwarze, w górnym biegu Gangesu, tacy sami jak przedtem.

W dni przeznaczone dla kobiet Solange musiała zamoczyć setki kalek. Elvire wiedziała, że na zdrowiu jej przyjaciółki mocno odbijał się taki wysiłek. Zmęczenie członków i pleców było jeszcze niczym, ona cierpiała na uczucie bezsil-

ności, któremu by uległa, gdyby nie miała whisky. Oczywiście siostra Solange wołała burbona, którego co roku ofiarowywała jej Elvire, lecz w kawiarniach w Lourdes nie śmiała wyznać swej słabości do Four Roses, jej zdaniem najbardziej upajającego. Na kogo by wyszła? Kiedy już częstowano ją i to najczęściej gratis nie mogła przecież wybrzyźdzać.

Pewnego wieczora w przyływie zmęczenia przesadziła z dawką i wymknęła jej się uwaga - Bogu dzięki po cichu - która zmartwiła Elvire. Potężna praczka cierpiących ciał stwierdziła, że na wszystkich krańcach świata i we wszystkich przychodniach, jakie dane jej było odwiedzić mogła zaobserwować zjawisko wyleczenia, któremu nauka nie umiała dać przekonującego wytłumaczenia. Toteż wydawało jej się dziwne, że w Lourdes, gdzie nędza i cierpienie osiągnęły niespotykany stopień koncentracji, nigdy, ani z bliska, ani z daleka nie brała udziału w takiej metamorfozie. Cud - podsumowała opróżniając ostatnią szklanekę - to jest być może coś, czego w ogóle nie było. Nazajutrz nie pamiętała już swych wypowiedzi i o świcie znów miała wiarę wieśniaczki i niewzruszone męstwo.

Po południu wyszli na przechadzkę po ulicach Lourdes. Alezan, który instynktownie zrozumiał, że nie można kochać Elvire nie kochając Marie twierdził, iż sam zaopiekuje się łóżkiem chorej pozwalając Elvire i Solange na zajęcie się paplaniną, z której i tak nic nie chwycił. Wsunął swoją tabliczkę pod koszulkę. Czasami zatrzymywał się, żeby napisać kilka słów i wystawiał ją ponad głowę z triumfującą miną. Opuściwszy na czoło przyozdobiony Myszką Mickey daszek czapki czuwał, aby daszek łóżka chronił Marie przed słońcem. Gdy tylko przechodzili w cieniu składał go natychmiast, żeby chora lepiej mogła nacieszyć się widokiem. Był dumny, że może się opiekować ludzkim życiem, toteż zależało mu na tym, żeby Marie prezentowała się przechodniom od najlepszej strony. Ocierał pot z jej policzków i szyi, po czym z taką samą troską układał jej kosmyki na poduszce.

Tych dwoje niemych zdawało się mieć bardzo dużo sobie do powiedzenia.

Kiedy podeszli pod kawiarnię Niepokalanej, patron wybiegł na taras, żeby ich powitać.

- Panno Elvire, jakże się cieszę, że znów panią widzę! - zawołał z rozognionymi policzkami. - I panna Marie, ależ ona piękna! Obie panie całuję serdecznie. Proszę tam usiąść. Widzi pani stolik? Czekał na panią, a łóżko pięknie postawimy w cieniu. Mój Boże, mój Boże, pani nie może sobie nawet wyobrazić jaką przyjemność sprawia mi państwa wizyta. Carmen, Carmen, chodź zobacz, kto do nas przyszedł!

Jego żona okrągłutka i roześmiana przybiegła mu na pomoc i do tego co powiedział mąż dodała dźwięczne, iberyjskie okrzyki.

- Wiecie panie, zima jest strasznie długa bez was - ciągnął patron Niepokalanej. - Kropelkę alkoholu siostrzyczko, dla uczczenia powrotu naszych przyjaciółek?

- Nie Max, nie o tej porze.

- Proszę wybaczyć siostrze, z radości wszystko mi się płacze. Ach! Martwy sezon, nie może pani wiedzieć Elvire cóż to jest martwy sezon! Następnej zimy zamykam, tym razem to już postanowione. Przydałby się nam mały interesik koło tras zjazdowych, prawda Carmen? Moja żoneczka pochodzi z San Sebastian i tam się ulatnia w martwym sezonie. Teraz ją widzicie kwitnącą, ale w zimie byście jej nie poznały, przykro na nią patrzeć. Wszystkie sklepy, wszystkie hotele są zamknięte, ani jednego chorego na ulicach, ani jednego kota w Niepokalanej, a niekiedy nawet ani jednego klienta przez cały dzień. A źródło, które ma już dość bicia bez sensu, powiadam wam, pewnego dnia zamarznie. A już najgorzej, naprawdę najgorzej jest kiedy biją dzwony. Za każdym uderzeniem rzecz by można, że to dzwon pogrzebowy, a one tak rozbrzmiewają bez końca w pustce pomiędzy wzgórzami. Nikomu bym nie życzył żeby został zapo-

mniany tutaj w Boże Narodzenie. Pielgrzymi znają wyłącznie tę lepszą stronę medalu! Nieprawdaż, siostrzo? Na szczęście pani wrywa się od czasu do czasu, żeby nas odwiedzić, bo inaczej, pytam się, cóż by się z nami stało?

Stojąc przy łóżku, Alezan wsuwał w usta Marie lody waniliowe, które dla wygody lekko nadtopił. Wzdłuż chodnika na swych wózkach leżeli rozciągnięci inni chorzy i kelnerzy chodzili tam i z powrotem, od lady na taras, żeby ich obsłużyć.

- To prawda, cierpieliśmy tej zimy, ale teraz co za nagroda - ciągnął Max rozstawiając na stoliku napoje chłodzące. - Ludzie przyjeżdżają zewsząd. Nie tylko chorzy nigdy nie byli tak liczni, ale każdy przyjeżdża na dokładkę z kimś do pomocy. Wyjątkowy sezon! Wieczorem, siostra widziała, wieczorem to więcej niż raj! Wszystkie te modlitwy, wszystkie płonące w nocy świece, to lepsze niż spektakl Światło i Dźwięk! Jak na dobry rok, jest to naprawdę dobry rok.

Upał nie przestawał dawać się we znaki i z wszystkich tarasów ludzie wypływali na chodniki. Słońce i napływ pielgrzymów przekształcały niepostrzeżenie zadowolenie szynkarzy w ekstatyczne delirium. Jeden z przedstawicieli tak silnej w tym mieście hotelowej kongregacji pozdrowił Maxa uśmiechem od ucha do ucha. - Odprawia się ludzi z kwitkiem - rzucił w przelocie. Chorzy powracali z przechadzki z policzkami i nosami czerwonymi od słońca. Trzymani przymusowo przez resztę roku w mrokach pokoi przywdziewali nagle wygląd zdobywców, zaś z basenów powracał korowód mężczyzn. Wybierano się na kolację chociaż słońce stało jeszcze wysoko. Nadeszła chwila na podbudowanie swych sił pod kątem nocnej apoteozy.

Powróciwszy do przybytku Solange zapragnęła skosztować nowego gatunku burbona.

- Pójdę do aptecznej lodówki po lód - zaproponowała Elvire.

- Stój, to za długo potrwa - odparła Solange, wzruszając ramionami od czego podskoczyły jej piersi i wszystkie podbródki.

- Pyszne - mówiła z przymkniętymi oczami - Boże, jakie pyszne! Drobny niuansik, prawie słodkawy, taki w sam raz. Elvire, jesteś królową! Ależ ty nie pijesz. Czy chcesz mnie zawstydzić i dlatego nie towarzyszysz mi w grzechu?

- Ten ci pozostawiam. Dla siebie mam wszystkie inne.

- Przechwalasz się. Jestem pewna, że się przechwalasz!

Siostra Solange zdarła czepek, a jej szare, niezgrabnie przycięte kosmyki pozostały przyklejone do czaszki.

- Będziesz musiała się za mnie pomodlić - rzekła Elvire.

- Robię to codziennie. Nie ma poranka, bym nie myślała o twojej siostrze.

- Lecz będziesz musiała zdwoić wysiłki. Potrzebuję ciebie.

- Czy to coś poważnego, mój miodowy promyczku?

- Bardzo. Zakochałam się.

Ktoś zastukał do drzwi i Solange ledwo miała czas, żeby zakorkować butelkę i skryć ją pod łóżkiem Elvire.

- Co siostra robi? Czekamy na siostrę z rozpoczęciem - skarżył się ktoś.

Przez uchylone drzwi wślizgnęła się najpierw głowa, potem druga, do złudzenia podobna do pierwszej, wreszcie trzecia, jota w jotę taka sama jak dwie poprzednie. Elvire rozpoznała trojaczki z Saint-Genet. Trzy bigotki, urodzone dawno temu w jednym miocie. Już w dzieciństwie śpiewały msze. Ponieważ po Kyrie Eleison celowały w triumfalnym śpiewie Gloria in Excelsis Deo, ojciec Elvire nazwał je Trzema Gloriami.

- Idę, idę - odparła Solange, która założyła swój czepek nieco na bakier.

Do łóżka Marie przymocowano świecę chronioną przed podmuchami wiatru małą, papierową koroną. Alezan trzymał swoją świecę w dłoni, podczas gdy Solange wczepiała się

rękami w wózek jakiegoś inwalidy, by dodać swemu wyglądowi dostojęstwa, które alkohol mógł w każdej chwili nadwerzężyć. Trzy Glorie rozwinęły ponad swą potrójną głowę napis Saint-Genet. Długo trzeba było dreptać przez podwórko, zanim się zajęło miejsce w niekończącym się korowodzie spływającym po chodnikach kaskadą z górnych partii miasta aż na esplanadę.

- Festyn najlepiej rozkręca się zawsze wtedy, gdy pojawia się Saint-Genet - zauważyła jedna z Trzech Glorii szczyca się wyjątkowo długim uczęszczaniem do tych miejsc. Ponad czterdzieści lat w czynnej służbie. Trzy stare panny miały szczególny dar wyprowadzania Elvire z równowagi, kiedy zaczynały porównywać swe różne pielgrzymki, które skrupulatnie oznaczały datami i etykietkami tak jak to czynią winiarze ze swoją produkcją. Już pierwszego ranka po przybyciu stwierdziły, że ten rok będzie doskonały. Fakty zdawały się przyznawać im rację. Musieli przeczekać ponad kwadrans zanim udało im się wyjść z podwórka, tak licznie napływali pielgrzymi. System osiągnął taki stopień perfekcji, że żaden incydent, żadne zakłócenie nie mogło przerwać jego niewzruszonego porządku. Nie obawiano się niczego, ani kaprysów ludzi, ani niebios. Żadna niepogoda nie była dość silna, by zdmuchnąć płomień i gdyby cyklon zwałił się na tę okolicę, nawet w jego oku klepano by litanie.

Tego wieczora nastąpiła zmiana kawalera. Marie zapragnęła dzielić swoje jedyne w roku nocne wyjście z jakimś pięknym chłopcem. Elvire pozostawiła siostrę pod opieką młodego człowieka z Saint-Genet, którego rodzice bardzo wczesnie przyzwyczaili do Lourdes, zaś ona zajmowała się chorym na białaczkę młodzieńcem o głowie mnicha buddyjskiego i szczupłym ramieniu pokaleczonym przez kroplówki.

Służby porządkowe, diakoni i majordomowie ustawiali każdego pielgrzyma za jego sztandarem. Na kolistych podestach Górnej Bazyliki posągi już miały głowę w niebiosach. Na dany znak świetlisty wąż zaczął rozwijać swe długie ciało.

Ave Maria wydobywało się z mnóstwa ust. Kobiety w białych lub granatowych fartuchach, z szelkami krzyżującymi się na plecach zdawały się być jak zwierzęta pociągowe zaprzęgnięte do wózków chorych. Zaprzęgi defilowały pod napisami na banderolach, wysyłając jako awangardę grupy najbardziej okulawionych. Rzecz było można - uroczyste wkroczenie wojsk. Przeszły przez przerażającą jatkę, lecz nie przyznawały się do klęski.

Elvire śpiewała, dżinsy obciskały jej pośladki, a nogi wyginały się w sandałach na wysokim obcasie. Ta piękna klacz, o jasnej, drżącej sierści, krążyła po maneżu za plecami Trzech Glorii. Temperatura była teraz bardzo łagodna i przypominała jej babie lato w Nowej Anglii. Solange przyszła stanąć u jej boku i w swym zamroczeniu alkoholowym i entuzjazmie potrafiła inne łóżko. W ostatniej chwili Elvire pochwyciła swą przyjaciółkę, która potknęła się o kamień i usłyszała, jak tamta miota przekleństwo. Pośród tej nocy w Lourdes było to tak zabawne, że nawet anioł by się rozplakał.

Elvire marzyła o śniadaniu do łóżka. Ożywiona ciągłym ruchem, wstającą wcześniej, kładąc się późno przejawiała pragnienie lenistwa. Niegdyś, w Saint-Genet to ona zajmowała się toaletą i śniadaniem Marie przed wyjściem do szkoły. Będąc studentką wstawała o pół do szóstej i wykonywała te same zadania, zanim dopadła w locie pociąg do Lyonu. W chaosie Nowego Jorku wcale nie było więcej miejsca na wycieńczające radości. Początkowo dawała się zamknąć w nocy w jakimś kościele. Czmychała po przybyciu pierwszych wiernych i szła wziąć prysznic do miejskiej łaźni na Allen Street, gdzie pośród zapachu detergentów i pleśni spotykała bezdomnych z nędznej Lower East Side.

Pewnej nocy ośmieliła się zasnąć na luksusowej ławeczce w Saint-Patrick, przed tryptykiem świętej Katarzyny, świętej

Róży i świętej Małgorzaty. Zakrystian obudził ją o świcie, żeby jej zaproponować pewien układ. W zamian za jego milczenie miała przeprowadzać zbiórkę pieniędzy podczas pierwszej mszy. Krążyła pomiędzy rzędami trzymając na niekończącej się, plecionej z wikliny rękojeści coś w rodzaju patelni. Ze swego żniwa, niezwykle obfitego nie mogła uszczknąć nawet tyle, by sobie kupić tłustego pączka. Kiedy pojawił się dostatek wraz z rozpoczęciem pracy w F.M.O. Elvire została całkowicie zaabsorbowana robotą i przelotnymi miłostkami, które kończyły się o brzasku. Amfetaminy stały się jej chlebem powszednim. Ciepłe drożdżówki i kakao z pianką nadal pozostały w sferze marzeń.

Jej miłość do Alassane'a przekształciła to pragnienie w obsesję i gdy inni żądają Acapulco, Wyspy Wielkanoonej czy Ziemi Ognistej, ona domagała się śniadania do łóżka. Jednak aby pogodzić swoje marzenie o bezruchu z poszukiwaniem odosobnienia pragnęła przeżyć ten feeryczny poranek u Alassane'a. Pozostawiłaby po sobie bałagan, wspomnienia i byłaby z nim niewinna jak gwiazda filmowa.

- Nie lubię kakao - odparł z gwałtownością, która wcale nie była dla niego typowa. - Afrykanie je produkują, ale nie spożywają.

- Wiem, wolą coca-colę. Dlaczego mnie nie zapraszasz do siebie?

- Już byłaś.

- Och! Raz czy dwa, w przelocie, tak jakbyś mnie zabrał do barku na dole.

- Moje łóżko jest maleńkie, dobrze wiesz.

Z wykrętów Alassane'a zapamiętała tę ostatnią obiekcję i wkrótce kazała dostarczyć do niego olbrzymie łożo z szufladami pod materacem. Jeden z przyjaciół Elvire przygotowywał się do opuszczenia Nowego Jorku i pozbywał się mebli. Natychmiast zakupiła to łożo i dała kierowcy ciężarówki adres Alassane'a. Zaledwie wystarczało miejsca na

poruszanie się dookoła tej tratwy, lecz zostałyby pokonana ostatnia przeszkoda na drodze do realizacji jej marzenia.

W rzeczywistości niewiele kobiet dostało się do Alassane'a. Z przerażeniem przypominał sobie niekończące się dni, gdy zakopana w pościeli Holly pochłaniała machinalnie tony chipsów i orzeszków ziemnych. Na próżno mnożył propozycje zachęcające ją do podniesienia kotwicy, nie było o tym mowy. Ze wzrokiem przyklejonym do obrazu telewizyjnego pożerała wszystko, co znalazło się w zasięgu jej ręki. Każde głośne przełknięcie było wymówką. Uważała go za winnego. On zaś był tylko przepelniony zgrozą. Obecnie zostało rozpoczęte postępowanie rozwodowe i ich rozmowy telefoniczne stały się bardziej przyjacielskie. Holly odzyskała uśmiech, a straciła kilogramy.

Co do innych, kobiet-oaz, z jakimi tak miło było dzielić kilka dni, kilka nocy, kilka pieśczoł, te, które Elvire czasem widywała w biurze, kiedy przychodziły po niego, których głosy słyszała na drugim końcu sznura - tym wstęp do azylu Alassane'a był wzbroniony. Jeśli chciał się z nimi spotkać, szedł do nich. W czasach gdy łączyła ich jedynie przyjacielska zażyłość - zazdrość się między nich jeszcze nie wkradła - Elvire nazywała te kobiety o nogach gazeli i przyjemnym akcencie kuzynkami. Przy kolegach z biura Alassane wspominał coś o odległym pokrewieństwie, żeby ukrócić komentarze. Pięknotki mogły pochodzić z Karaibów, z Bronxu, lub z Zairu, w F.M.O. nikt tego nie rozróżniał. Wszystko to było czarne, brązowe lub śniade. Faktycznie, jakieś kuzynostwo wisiało w powietrzu. Teraz Elvire stała się czujna, a kuzynki coraz rzadsze.

Ostatnia pojawiła się na zakręcie korytarza w hotelu w Nowym Orleanie, gdzie zamieszkiwała ekipa zdjęciowa. Na jej widok technicy francuscy nie mogli powstrzymać się od pełnego podziwu szeptu, o mało co byliby gwizdnęli. Była wysoka, szczupła, o pełnych kształtach pod delikatnym jedwabiem jasnej sukienki. Tak jak u Alassane'a oczy jej miały

w sobie coś mongolskiego w czarnej, szczupłej twarzy. Mówiła, że jest z Nowego Jorku, przejazdem w Luizjanie, ścisnęła Alassane'a, rozpląszczała na nim swe piersi i przechodziła od okrzyków zdziwienia aż do delirium słów, rąk i pieszczot. Inni wpatrywali się osłupiali w najpierwszą spośród kuzynek instynktownie wykonującą taniec miłosny, a Alassane pozwolił się omotać tą mową ciała, jaką posługiwała się tylko dla niego. Potem zniknęli razem. „Kto to?” - pytano Elvire jakby w jej mocy leżało zidentyfikowanie wszystkich domniemanych kuzynek Alassane'a. Tamta pojawiła się w odpowiednim momencie. Czyż poprzedniego wieczora Elvire nie popisywała się na parkiecie? Czy nie zalecała się do Pierre-Michela? Każdy inny też by się nadawał. Chciała wzbudzić zazdrość w Alassane'ie i miała gdzieś Pierre-Michela. Biedny chłopak stracił do reszty wszelkie znaczenie, gdy tylko Elvire przestała czuć na sobie spojrzenie obserwującego te figle kochanka. Natychmiast wróciła, by położyć się sama. Tak oto pojawienie się kuzynki pozwoliło Alassane'owi na zemścić się na Elvire za zdradę, której nawet nie popełniła. Sądziła, że straciła go na zawsze i czuła jak coś pęka w jej ciele. Jedynie nieobecność siostry mogła ją przyprawić o tak wielkie cierpienie. Kiedy powrócił następnego dnia wreszcie pozwoliła popłynąć łzom. Lecz odzyskując go Elvire płakała ze szczęścia.

Zima już na dobre zagościła w Nowym Jorku, kiedy wreszcie, po ciężkiej walce, Elvire dostała swe śniadanie do łóżka. Było tak wspaniale, że rozumiała, iż takie chwile nie mogą się powtarzać w życiu. Jednak wyjątkowość tego momentu bynajmniej nie naruszała jej spokoju, lecz pomnażała przyjemność.

Tego niedzielnego poranka Manhattan był jeszcze bardziej wyspą niż kiedykolwiek, zaś na niej znajdowała się inna wyspa, na której dwoje uciekinierów, dwoje dobrowolnych wygnańców trzymało się mocno w ramionach. Szczęścia dopełniał wiejący wiatr i słychać było w przerwach

między porywami jak drżą szyby. Na zewnątrz, w betonowych wąwozach, nielicznych przechodniów siekły zapewne po twarzach tumany pyłu ostrzejszego niż piaski pustyni Gobi. Cała wyspa nabierała wody, ulegała nawałnicy i masom powietrza, z wyjątkiem ich schronienia. Ocean rozbryzgujący się na krańcu każdej ulicy nie mógł ich dosięgnąć.

Przespali razem całą noc i Elvire porwał jeden z tych przyływów czułości, jakie do tej pory jedynie Marie mogła wzbudzić. Po raz pierwszy nie widziała we śnie Alassane'a zapowiedzi jego porannej ucieczki. Po cóż miałby uciekać skoro spędzili noc u niego? I czyż po powrocie nie znalazłby wiernego wspomnienia dwojga ich splątanych ciał choćby w samym zapachu? A poza tym ich sen nie był wynikiem zmęczenia i zaspokojenia, lecz drugą stroną tego przemiennego i naturalnego rytmu dnia i nocy, aktywności i odpoczynku, słowa i ciszy. Odbywali razem, wtopieni w siebie, spacer poza granice czasu. Razem śnili - cóż to za cud!

Wyspa na wyspie, a na tej wyspie łóżko, jakie się spotyka na okrętach, łóżko dostarczone poprzedniego poranka. Gdzie indziej ukochany przesyła kwiaty ukochanej. Tutaj, w mieszkanku zamienionym w podwójną wyspę przebywali mężczyzna i kobieta śniący na łóżku, które podarowała im miłość. Elvire odnalazła z Alassane'em dawną pozycję z nocy wspólnie spędzonych z Marie. Tym sposobem ten mężczyzna przybył z innego świata, o całkiem innej historii i skórze tracił w pościeli swoją inność. Był już tylko ciepłem, ufnością i spokojem. Jak z siostrą mogła zasnąć oparta o jego plecy, z kolanami wsuniętymi w zagięcie jego długich nóg, z ręką na ukochanym ramieniu.

Świt nadchodził powoli i nie rozbudził ich całkowicie. Wymówili kilka niewyraźnych słów, musnąwszy się palcami po policzkach. Tym razem miało nie być pigulek na śniadanie i mieli się prześliznąć w inny stan łagodności. Odgłosy z ulicy mówiły, że życie powraca. Tylko oni nie musieli krzy-

czyć „zamawiam”. Mając twarze szczęśliwych zmarłych wyobcowali się ze świata. Wystawiali rękę. Którego dzisiaj mamy? Ręka opadała wraz z pytaniem. Nie było innej odpowiedzi prócz ich uśpionych ciał i drżenia splątanych kończyn. Wiatr wzmógł się, żeby lepiej wyznaczyć wokół nich tę strefę odpoczynku. Z sąsiedniego mieszkania dochodził głos z telewizora. Alassane i Elvire nie mieli najmniejszego kłopotu z odgadnięciem tytułu nadawanego reportażu, tyle razy go już widzieli. Dziś również kraj miał się obudzić widząc obraz amerykańskiego sztandaru spalonego w Teheranie. Ludzie zostali zatrzymani jako zakładnicy, a za kilka dni, po porażce i poniżeniu cały naród miał sobie wybrać prezydenta. Kto zwycięży, Carter, posiadacz tytułu, czy Reagan, gubernator Kalifornii, jego następcą?

- Jak będą w kółko pokazywać te same zdjęcia to wreszcie utopią Cartera - mruknął Alassane siadając na łóżku. - A dla nas to będzie jeszcze gorzej.

- Jak to, dla nas? A cóż ty i ja, mamy z tym wspólnego?

- Mam na myśli Murzynów. Wybór Reagana będzie dla nas katastrofą.

- We Francji wszyscy stawiają na Cartera - odparła Elvire. - Ponieważ Francuzi nigdy ani trochę nie znali się na polityce amerykańskiej, jestem przekonana, że przejdzie Reagan.

- Można by powiedzieć, że ci to sprawia przyjemność?

- Bardzo lubię aktorów. Mój zawód się tego domaga. Dla imprezy jaką mamy zorganizować w wieczór wyborów, dla wspaniałego spotkania kina francuskiego i amerykańskiego lepiej by było, żeby wybraniec był jednym z nich. To tchnie nadzieję nawet w najprzeciętniejszych.

Sąsiedzi ściszyli odbiornik jakby również i oni nie mieli ochoty wkraczać w tę niedzielę. Tuż obok Elvire i Alassane'a przemknęła groźba. Pozwolili jej się oddalić z westchnieniem. Czowała jak dłoń mężczyzny, którego kochała pieści jej brzuch i schodzi niżej ku lekko rozchyłonym udom. Daleko,

bardzo daleko ich stopy ginęły na drugim krańcu łóżka, na drugim krańcu świata.

- To ty? - szepnęła z przymkniętymi powiekami.
- Mam wrażenie, że tak - odpowiedział.
- To wszystko w porządku.

Zamknąć oczy, zamknąć drzwi, wyłączyć pamięć. Nie ma już Saint-Genet. Nie ma już Soumbedioune. Zniknęła Marie, mała nieruchoma. Zapomniano wielką skargę czarnych ludów. Ta niedziela mogła swobodnie istnieć bez nich, a ziemia, odległa planeta, zamieszkała przez panów Cartera i Chomeiniego mogła krążyć dalej obchodząc się bez zgody dwojga kochanków. Elvire i Alassane pragnęli wypełnić godziny tego dnia wybierając się wzajemnie, potwierdzając swoje nieracjonalne upodobanie, powtarzając swój jedyny wybór. I on właśnie nadawał ich egzystencji tę wyjątkowość.

Arnaud Morandière wylądował w Nowym Jorku na kilka dni przed rozpoczęciem uroczystości. Jego fachowe oko miało czuwać nad przygotowaniem i prawidłowym wykorzystaniem funduszy przyznanych przez jego ministerstwo. To Francja, lub lepiej, kino francuskie przyjmowało amerykańskich przyjaciół z okazji wyborów prezydenckich, a migawki z tego wieczoru miały być nadawane jednocześnie przez CBS i Antenne 2. Arnaud Morandière był właściwym człowiekiem na właściwym miejscu. Dla uzupełnienia niekończącej się listy dyplomów francuskich szczyił się również tytułem masters Columbia University, gdzie, jak mówił, spędził dwa najlepsze lata swego życia.

Elvire twierdziła, że ze swego nowojorskiego pobytu zachował głównie amerykańską manię szorowania zębów i nakłaniania partnerki, by uczyniła podobnie przed wymianieniem z nim pierwszego pocałunku. Alassane zadawał sobie pytanie, czy Arnaud Morandière i Elvire wypróbowali już swoje pasty do zębów i tym ciężiej znosił te wszystkie

„mój stary”, których Francuz czuł się zmuszony używać, kiedy zwracał się do niego.

- Mój stary, jakież pan elegancki - nie omieszkał powieźć dostrzegłszy go na lotnisku Kennedy'ego. - O mało co nie poznałbym pana.

Arnaud Morandièrę zagłębił się w samochodowe siedzenie u boku Elvire i zapalił olbrzymie, hawańskie cygaro.

- Mój stary, nie ma co się guzdrać - mruknął trzymając ten pał w wąskich ustach. - Odliczanie już się rozpoczęło.

Z Elvire rozmawiał na stronie po angielsku. Pewnie sobie wyobrażał, że poczciwy dzikus, którego sztywny i nieruchomy kark widział przed sobą zdołał jedynie wdziąć kostium ludzi cywilizowanych i po prostaku małpować ich maniery, lecz że ich język pozostał dla niego całkowicie nieprzenikniony.

We wstecznym lusterku Alassane widział jak cmoka cygaro zgodne z jego własnym mniemaniem o sobie. U tego mężczyzny wszystko było piękne i małe: mały, prosty nos, małe oczy o delikatnym, błękitnym odcieniu, rzadkie włosy, starannie rozczesane na boki i przedzielone małym przedziałkiem, mały garniturek od najlepszego krawca, małe, wymanikiurowane paznokcie, małe dłonie, delikatne i białe. Wszystko to było niezwykle cenne i mało używane.

Już z hallu hotelu Saint Regis Arnaud Morandièrę rozpoczął wydawanie poleceń. Ponieważ boy zdawał się nie rozumieć czego sobie od niego życzył szanowny francuski klient, Alassane starannie powtórzył po cichu zdanie tamtego poprawiając po drodze błędy w słownictwie. Wówczas boy wszystko chętnie wykonał.

- Zaraz sprawdzimy rezerwacje naszych gości - rzekł Arnaud Morandièrę do Elvire.

- Zrobiłam to dziś rano - odparła z tym uśmiechem na zaciśniętych ustach, który marnie skrywał jej podrażnienie.

- Trzeba również obejrzeć pokoje, wybrać bukiety, czuwać nad najmniejszymi szczegółami.

Zwrócił się do Alassane'a:

- Mój stary, niech pan każe wnieść bagaże do mojego apartamentu.

- O której mam po pana przyjechać?

- Zaczeka pan na mnie, mój stary, zaczeka pan.

- Nie wolno parkować na Pięćdziesiątej Piątej - powiedziała Elvire. - Trzeba się jakoś umówić.

- Zawsze coś można wymyślić. Niech pan pokombinuje, mój stary.

Elvire nie mogła znieść, żeby ktokolwiek w jej obecności wydawał rozkazy Alassane'owi, jednak знаła na tyle Arnaud Morandiere'a, by za wyniosłą miną odkryć strach, który mu skręcał trzewia. Wszyscy ci mali mistrzowie francuscy przybierali wygląd championów, gdy nadchodziła chwila lądowania w Nowym Jorku, lecz waga stawki kazała im drżeć w sekrecie, dlatego też podnosili głos, tak jak inni napinają muskuły.

- Bardzo lubię tego staruszka Alassane'a - powiedział zresztą Arnaud, gdy tylko kochanek Elvire zniknął. - Czyż nie jest to idealny szofer? Jest czarny i mówi po francusku. Wszystko to jest niezwykle szykowne, nie uważa pani?

- Wie pan, on mówi również po angielsku i to dużo lepiej niż ja w tej chwili. To zaskakujące, jakie postępy robi każdego dnia.

Być może powiedziałyby więcej na jego temat gdyby w przegrzonym salonie Saint Regis nie pojawił się Sebastien. Po procesie, fryzjer, gwiazda SoHo, zachował ze swej minionej świetności jedynie cenny notes z adresami i tyle pieniędzy, żeby sobie kupić maleńki domek w Port Jefferson. Jego dawnej przyjaciółce, której rodzina mieszkała w Nowym Jorku już od kilku pokoleń udało się go oskubać i za jednym zamachem zniechęcić na zawsze do kobiet, nie do Ameryki. Sebastien znalazł sobie kochankę i wystąpił o obywatelstwo amerykańskie. Elvire poprosiła go, żeby przyszedł wzmocnić jej ekipę i miała nadzieję, że będzie mogła go definitywnie

zaangażować po wieczorze wyborczym. Na razie powinien skorzystać ze swoich układów i na imprezę powołać pospolite ruszenie ze Wschodniego i Zachodniego Wybrzeża. Gwiazdy francuskie miały przylecieć Concordem przechrzczonym z tej okazji na Ostatnie Metro. Spotkanie obu grup było przewidziane na wieczór, czwartego listopada, kiedy na ekranach w Saint Regis zaczną się pojawiać wyniki wyborów.

Dla Arnaud Morandiere'a owo rozwiązanie polityczne nie budziło wątpliwości. Pełnomocnik misji, obsypany dyplomami nie mógł brać pod uwagę zwycięstwa byłego aktora, zbyt dobrze znał tę rasę, żeby ją brać na poważnie. Poprosił Sebastiena, żeby zadbał o równowagę pomiędzy zaproszonymi demokratami i republikanami, sam zaś nie kłopotał się o Francuzów. „Tak czy inaczej, będą zadowoleni - dodał. - Większość ma się za lewicowców, a handlarz orzeszków jest ich faworytem. Gdyby przypadkiem wygrał Reagan będą klaskali z okazji swego triumfu, tyle, że drugiego gatunku”.

Kiedy goście stłoczyli się w hallu Saint Regis, a drzwi do wind otwały przed nimi swe miedziane podwoje już było po zawodach, a Arnaud Morandiere przysięgał na wszystkich bogów, że od dawna stawiał na Reagana. Już sama data 4 listopada mogła oznaczać wyłącznie porażkę Cartera. Czy to nie 4 listopada 1979, dokładnie rok wcześniej została zdobyta w Teheranie ambasada Stanów Zjednoczonych przez islamskich studentów? Poza tym czyż gubernator Kalifornii nie obiecał obniżenia podatków? Czyż można się opierać argumentom tego rodzaju?

Mapa na ekranach telewizyjnych jaśniała na niebiesko. Fala Reagana przelewała się przez kraj w miarę jak zamykano lokale wyborcze w czterech strefach czasowych olbrzymiej Ameryki. Pełnomocnik misji analizował intensywnie zdarzenie, którego nie potrafił przewidzieć. W limuzynie

dowodził nawet Alassane'owi, że Reagan został wybrany z winy czarnych, którzy nie poszli głosować. Żądają praw obywatelskich, a kiedy je mają, to z nich nie robią użytku!

Alassane nie odpowiedział. Był szoferem idiotą, któremu płacono, żeby prowadził i milczał. Przeżuwał w ciszy swą podwójną złość, lecz oskarżenia małego Francuza nie podobały mu się bardziej niż zwycięstwo Kalifornijczyka.

W windzie w Saint Regis powietrze przesycone perfumami już nie nadawało się do oddychania. Tłoczący się goście ćwierkali głośniejsz niż dzieciaki w Disneylandzie. W tym tłumie zamkniętym w klatce Alassane musiał nadal znosić obecność Arnaud Morandière'a. Opięty nieskazitelnym smokiem, mały człowiek wskutek tego, że stał na palcach nie dotykał już ziemi.

- Chcę ofiarować Elvire wspaniały bukiet, odwaliła kawał dobrej roboty - powiedział z nadętą miną. - Zaniesiesz go jej.

- Sam pan to zrób - wymknęło się Alassane'owi. - Zna pan adres, nie?

Pod wpływem szoku tamten oniemiał aż do końca jazdy, potem, uwolniony wreszcie ruszył przez salony od grupy do grupy, żeby wszystkim narzucić swe uczone komentarze. Jednak zdawało się, że wybory pasjonują już tylko nielicznych. Gdy minęła pierwsza niespodzianka zajęto się innymi rzeczami. Euforia była obowiązkowa i każdy musiał triumfować na własny rachunek. Przybyli z Paryża, Kalifornii, czy z jakiegoś downtown goście sądzili, że znajdują się na scenie, gdy tylko kończyła się ich samotność. Rywalizacja kryła się za każdym komplementem. Te zwierzęta zostały wytresowane do walki. Mężczyźni byli zmuszeni do pewnej powściągliwości choćby z powodu jednorodności smoków. Kilku jednak ośmieliło się nosić jakieś kolory, skóry i dziwaczne kaftany. Wszystko to wzbudziłoby zachwyt w Las Vegas, lecz elegancja Piątej Alei podkreślała, że są to tylko błyskotki. Co do kobiet, gwiazd potwierdzonych, lub gwiazd

przyszłych, podwójnie kobiecych, podwójnie ofiarowanych pozorom przez pleć i zawód, to walka była bezlitosna. Zanim wzięły udział w święcie, długo stroiły swe ciała i ćwiczyły umysły w pożądaniu tylko i wyłącznie zwycięstwa. Całe bataliony masażystów, kosmetyczek, krawców i fryzjerów połączyły swe wysiłki, aby upiększyć lub odrestaurować te arcydzieła. Później te piękne założyły numery startowe i puściły się biegnąć naprzód. Teraz nic już nie mogło ich powstrzymać. Pędziły jedwab przy jedwabiu, pierś przy piersi. Jak we wschodnich jatkach mięso leżało na ladzie i jedynie much brakowało w tym obrazie. Całe fortuny widniały na kaskach pierwszej jakości przybranych zamiast pietruszką diamentami i złotem. Towarzystwa ubezpieczeniowe wysłały emisariuszy, którzy cały czas mieli na oku te skóry obsypane cennymi kamieniami. Na wdzięk boginek pozostawali obojętni. Widzieli w nich tylko to, co służyło za szkatułkę na klejnoty: płatek ucha, fragment dekoltu, zgięcie ręki, każde ciało inkrustowane kamieniami wchodziło w zakres ich kompetencji.

Na skórze Elvire nie było najmniejszego klejnotu, tylko zamsz opinał jej ciało od piersi po uda i nadawał jej sylwetkę będącej w ciągłym ruchu coś prostego i dzikiego. Zdawała się nie być świadomą swego wdzięku, podczas gdy pozostałe kobiety zachowywały swój szczękościsk nawet w najbardziej olśniewającym uśmiechu. Niewątpliwie czuły się skazane na demonstrowanie obrazu piękna aż do kretyństwa, aż do samobójstwa.

Schwyciła Sébastiena za rękaw:

- Jak tam idzie? Truffaut jest w porządku?
- Wspaniały, dziennikarze nie chcą go puścić.
- Powiedz no mi, kto tamtą zaprosił?

Wskazywała na Alassane'a nazbyt zajętego rozmową z wysoką kobietą, nie czarną, lecz bursztynową.

- Którą? - zapytał Sébastien z błyszczącym wzrokiem.

Poszły w zapomnienie niedawne rozczarowania. Sébastien

nawigował pośród tego tłumu napędzany jedynie własną przyjemnością. Kochał wszystkich tych ludzi, cenił każde z ich dziwactw. Pewnego dnia będzie Amerykaninem, więc życie znów się rozpoczęło.

- Która, która! - niecierpliwiła się Elvire. - Do licha, jesteś ślepy! Tam, z nim, wysoka, wielka w zielonej, lśniącej sukni.

- W lśniącej czy w tej z cekinami?

- Mówię ci, że w lśniącej, jakby właśnie wyszła z wody. Nie rób takiej kretyńskiej miny. To na pewno Amerykanka, więc wchodzi w skład twojego kontyngentu. Wiem, że masz w głowie całą listę.

- Nie znam. Przysięgam ci, że jej nie znam. Nawet jej włosy nic mi nie mówią. Jestem pewien, że nigdy jej nie czesałem.

- Więc skąd się wzięła?

- Sama powiedziałaś, że z wody.

- W każdym razie od chwili gdy Alassane złowił tę szprotkę nie nadaje się do niczego. Idź mu powiedz, że go natychmiast potrzebuję i niech jej tylko nie przyciąga tutaj na swym haczyku. Potem spadajcie obaj na poszukiwanie Montanda i Scorecse, dziennikarze na nich czekają.

Przez cały wieczór Alassane robił wszystko czego tylko zażądała Elvire, lecz nic ponadto, toteż usilnie starała się mnożyć swe wymagania, aby nie dać mu chwili wytchnienia.

- Kto to jest? - spytała go wreszcie mając dość obserwowania jak stale wraca do tej kobiety, dla odsunięcia której zrobiła wszystko co tylko było możliwe.

- Bella. To Bella. Nie zna tu nikogo...

- No więc? Możesz mi chociaż powiedzieć co ona tu robi?

- Pomyślałem, że mogłoby się jej tu spodobać.

- To ja zapraszam, nie ty. Skądżeś wytrzasnął tę kuzynkę?

- Spotkałem ją u przyjaciół w Harlemie.
- W Harlemie? Obiecałeś, że mnie zabierzesz do Harlemu. Nie tylko nie dotrzymałeś obietnicy, lecz na moich włościach afiszujesz się ze swoją kuzynką z Harlemu. Domyślałam się, że nie mogę liczyć na ciebie.

- Proszę cię, nie rób afery.

- Myślisz, że cię zatrudniłam żebyś jak pies służył swoim kuzynkom?

Już się odwracał od niej plecami. Odejść, musiał odejść.

- Cóż jest w niej takiego, czego nie mam ja? Powiedz mi, co w niej jest?

- Zamilcz, no zamilcz. Nie tutaj, nie teraz.

Zostawił ją. Porzucił. Widziała jak jego wysoka postać przemyka pomiędzy grupkami i ginie w oddali. Słowa cisnęły jej się do ust i dusiła się z wściekłości, miłości i samotności. Z tej imprezy, którą przygotowała i każdy uważał ją za udaną, sama musiała zostać wykluczona. Jak niegdyś. Jak zawsze. Mała dziewczynka z Saint-Genet ciągnęła za sobą zbyt wielki ciężar wózka. Kochaj mnie, kochaj nas, chciała krzyczeć za tym mężczyzną, którego oddalającego się widoku nie mogła ścierpieć. Tak bardzo cię potrzebujemy. Raczej zamilknąć, raczej zostać niemą - więcej się nie ruszać, dłużej nie żyć - raczej samej stać się nieruchomą! Przypomnij sobie moje nogi obejmujące twoje przez sen. Czyż nie śniliśmy razem?

- Chodź Elvire - mówiono do niej. - Chodź, pójdziemy posłuchać Woody'ego w Michale's Pub.

- Nie - odpowiadała zaciskając z kolei szczęki w wymuszonym uśmiechu.

- Dlaczego nie idziesz, przecież tak lubisz Woody Allena i klarnet? To Warren wpadł na ten pomysł. No chodź.

Elvire miała gdzieś Woody Allena, Warrena Beatty, klarnet i cały świat. Lśniaca kobieta w zielonej sukni przesłoniła jej horyzont swym wielkim zadkiem. Alassane lubił te gościnne dupy, w których można czuć się jak mały chłopiec. To

ona odkryła przed nim tę drogę. Jak mogła być tak głupia, że nie przyszło jej do głowy, że użyje jej z innymi?

Amerykanie nalegali, żeby Elvire towarzyszyła im do Michale's Pub. Czuło się, że w ich wesołości koktajle i szampan odegrały swoją rolę. Nie świętowali bynajmniej wyboru aktora Reagana, lecz koniec strajku aktorów i techników, który sparaliżował studia na sześć miesięcy. Kino, ich kino budziło się z długiego letargu, więc oni nie przestawali świętować jego odrodzenia, podnieceni i szczęśliwi jak rekonwalescenci.

Elvire mętnie obiecała, że dołączy do nich później, najpierw musiała udać się do CBS z grupą Francuzów, którzy chcieli zobaczyć jak Walter Cronkite komentuje swe ostatnie wybory prezydenckie. Najślynniejszy dziennikarz, człowiek być może najbardziej wpływowy w Stanach Zjednoczonych miał wkrótce przejść na emeryturę i tej nocy, 4 listopada 1980 gwiazda nad gwiazdami przekazywała telewidzom wraz z komentarzami nieco nostalgii.

Na korytarzach, w studiach, wszędzie w CBS Elvire spotykała ludzi, których ścisła. Wymieniała z nimi informacje, adresy. Zmontowali razem kilka imprez i każdy zgodnie przyznawał jej doskonałość nowojorki i uwodzicielskość Frenchie. Ten akcent, który zdradzał jej europejskie pochodzenie, dodawał wdzięku słowom nic nie ujmując szybkości przekazu. Nieład jej włosów, szaleństwo w spojrzeniu, swoboda ubioru wzbudzały zachwyty tam, gdzie wykluczono banały i konwencję.

Jednak ani wylewność, ani gratulacje, ani nawet pocałunek w rękę w wykonaniu Waltera Cronkite nie mogły uciszyć tego, co Elvire brała za złość, a co naprawdę było zazdrością. Mówiła, lecz nie słyszała już swych słów, a tym bardziej słów innych. Otwierała oczy, trzepotała powiekami, a zmartwienie nie znikowało. Nie widziała nic. Wyizolowanie czyniło ją ślepą. Czubkiem sandała macała wymykającą się spod stóp ziemię mając podwójną pewność, że musi się

posuwać naprzód i czuć przedłużające się tortury. Nie dane jej było uniknąć katastrofy, aż wreszcie zaczęła jej pragnąć całą swą istotą, by wreszcie się jej nie obawiać.

Nagle zdało jej się, że odzyskała rozsądek i wzrok. W mgnieniu oka znalazła rozwiązanie i wykręciwszy się od rozmów, miała tylko tyle czasu wymykając się, by przekazać polecenia Sebastienowi. Uwierzyła w powrót rozsądku, gdyż ustało drżenie rąk i nóg i znów widziała dostatecznie daleko, by pędzić ulicami jak szalona. W rzeczywistości rozwiązanie samo jej się nasunęło. Czyż nie była to rzecz oczywista? Rzeczem oczywistym nie można się opierać, a tym bardziej ich wybierać. Toteż gdy miała dwadzieścia lat, przed Dziewicą Królową z Lourdes rzecz oczywista zwała ją z nóg. Marie nigdy nie miała wyzdrowieć. W mgnieniu oka to objawienie obróciło w nicość lata zaślepienia i nadziei. Marie nie będzie chodzić. Marie nie przemówi. Marie nie będzie uprawiać miłości. Elvire biegła przez noc na Manhattanie, przez tę noc, której wszelkie wybryki miała zwyczaj cenić. Lubiała, gdy z nadejściem wieczora wielki wieloryb odwracał się w ciemnościach, by tym, którzy nie śpią ofiarować gorące i wilgotne fałdy swego brzucha.

Po omacku wyciągnęła z torebki małą, niebieską pigułkę, którą natychmiast połknęła. Krew pulsowała jej w uszach, a we własnym oddechu zdawało jej się, że słyszy alleluja, które powtarzane bez przerwy potęgowało ból. Tyle świec na esplanadzie, tyle światel rozjarzających budynki od góry do dołu, tyle wysiłków, tyle marzeń, tyle energii, tyle modlitw i tyle wyzwań żeby się unieść ku niebu i, tuż przy ziemi, w mieście miast, kobieta biegnąca ku mężczyźnie.

O tej porze Alassane musiał już powrócić do domu. Elvire była przekonana, że tamta olbrzymka o szerokich poślachkach mu towarzyszyła. Na ogół kuzynki nie miały prawa wstępu, lecz ta szczęśliwie zjawiała się w odpowiednim momencie. Czyż Reagan nie odniósł triumfu? Kiedy ci którzy go wybrali nie posiadali się z radości, czyż jego wrogowie nie

powinni utopić swej porażki w uściskach? Czyż Kalifornijczyk nie wygrał po to, by tamta olbrzymka mogła wywijać wielkim dupskiem przed Alassane'em?

Elvire rzuciła się do windy bez tchu i odruchowo nacisnęła na guzik osiemnastego piętra. Chciała go zobaczyć, po prostu zobaczyć. Nie chciała słów, słów do mówienia, słów do słuchania. W spojrzeniu Marie Elvire mogła wyczytać wszystko to, czego słowa nie umiały wyrazić. Rzuciła się na drzwi Alassane'a i przywarła do drewna policzkami, pierśiami i brzuchem. Musiała liczyć wyłącznie na własne siły, by pokonać ostatnią przeszkodę, toteż napierała całym ciężarem na drzwi, w które waliła zaciśniętą pięścią, tak że aż zdarła sobie skórę na palcach.

Jakieś drzwi otworzyły się piętro wyżej i męski głos, nie wiedząc do kogo się zwraca obiecywał nokaut kretynowi, który go obudził. Elvire bynajmniej nie uspokojona waliła w najlepsze. Alassane zbyt obawiał się skandalu, żeby nie wyjść ze swej kryjówki.

- Kto tam? - usłyszała jak wreszcie szepnął.

- Ja, to ja!

Zawyla, a jej pięść nie przestawała walić w przeklęte drzwi, tłukła w nie teraz ramieniem i biodrem. Kiedy wreszcie zdecydował się otworzyć, ciężar ciała zmusił Elvire do wstawienia nogi w szparę w drzwiach, tak jak to robią bandyci. Gdyby Alassane nie przytrzymał drzwi, całym rozpędem wpadłaby na sam środek pokoju. Sąsiad na górze przysięgał, że z prawdziwą przyjemnością przyjdzie im przefasnować facjatę.

- Zamilcz, no zamilcz - mówił Alassane.

Do pasa był nagi, najwidoczniej miał czas wciągnąć tylko dżinsy. Nie przyglądała mu się, tej nocy miał obce oczy. Przez szczelinę w drzwiach patrzyła na niego.

- Na moim łóżku! - krzyknęła.

Trzy razy powtórzyła: moje łóżko, kładąc nacisk na zaimek i za każdym razem cofając się o krok. Piętro wyżej

mężczyzna nadal obrzucał ich klątwami. Policja miała zaraz wszystkich ich zabrać - zapewniał.

- Elvire, dlaczego to robisz?

- Na moim łóżku, jak śmiałeś na moim łóżku!

Zbliżał się ku niej z czułym uśmiechem, jaki malował się na jego twarzy zawsze, gdy w środku nocy przyjeżdżał zabrać ją spod markizy na Park Avenue. Nie chciała więcej widzieć u niego czułości. Mogłaby ją zresztą nazwać litością, gdyby tylko zwróciła na nią uwagę. Oczywiście Elvire były nieruchome. Mając spuchnięte powieki, źrenice jak główki od szpilki, patrzyła do środka, jak po drugiej stronie drzwi, Bella, olbrzymka o bursztynowej skórze i szerokich biodrach, wyleguje się jak w hamaku na łóżku, które Elvire podarowała Alassane'owi. Na nim dzielili sny i śniadania, na nim się kochali, na nie zapraszali na swe święto Mami Wata i małą dziewczynkę z wózkiem, na nim łączyły się Saint-Genet z Soumbédioune, na nim sami byli włoskami na koniuszku wielkiego palca, na nim żyli.

- Elvire - mówił - nie powinnaś być. Elvire, proszę cię, to jest niegodne ciebie. Nie powinnaś się poniżać.

- Kochasz wielkie słowa i drobne kłamstwa.

Chciał ją pogłaskać po policzku, lecz ona cofnęła się z lękiem.

- Sądzę, że to co ty lubisz najbardziej, to tłuste dupy.

Sąsiad z góry już się uspokoił. Zapewne wrócił do siebie, bo usłyszeli trzask drzwi. Elvire już nie krzyczała, prawie szeptała.

- To ja ciebie potrzebuję, nie ona. Wiesz, że to ja. Ja i Marie.

- Uspokój się, jesteś piękna, Elvire. Uspokój się.

- Co w niej jest takiego, czego nie ma we mnie? Powiedz, co w niej jest? Nie chesz mi tego powiedzieć? Nie masz śmiałości? Przecież nie grozi ci, że zrobisz mi większą krzywdę niż już zrobiłeś.

Widziała jak tamta przyjmuje pozy z wyczerpaną miną,

podciągnąwszy koldrę aż pod brodę. Fałdy rozchodziły się wokół jej sułtańskiego zadka.

- No dalej, powiedz mi, cóż ona ma takiego czego ja nie mam. W sytuacji, w jakiej się znajduję mogę wszystkiego wysłuchać.

- Pozwól mi włożyć koszulę i odprowadzę cię do domu. Nie możesz wracać sama w takim stanie.

- W jakim stanie? Jesteś dumny, że możesz jej pokazać wszystko czego cię nauczyłam, prawda? Wreszcie jakaś, co daje sobą kierować. Teraz ty będziesz mógł się zabawić w profesora.

- Zamilcz Elvire. W twoich ustach te słowa są szokujące.

- Masz gdzieś moje usta i moją godność. To tamtą, to Bellę boisz się zaszokować. Ona przynajmniej umie zachować spokój i milczeć. Niema, która jednak musi krzyżeć kiedy trzeba i dokładnie to co trzeba, aby ci się podobać.

Nie chciała żeby się ubierał i ją odprowadzał. Nawet gdy mu płacą godziny nadliczbowe szofer nie musi pracować tak późno w nocy. Nie zgodziła się również na wezwanie taksówki. Elvire, zanim uniosła ją winda, zdawało się, że dostrzegła w oczach Alassane'a łzy. Mnóstwo ludzi obrzucało Marie tym litościwym spojrzaniem.

Już od miesiąca mężczyzna chodził po Avenue of the Americas. Wyszedłszy z krańców Chinatown przemierzał Village idąc tuż przy Washington Square, po czym uparcie i metodycznie kontynuował swe nieubłagane posuwanie się naprzód. Miał dojść za kilka tygodni na skraj Central Park, o ile nie zatrzymałaby go po drodze policja. Gdyż mężczyzna na swej drodze miał zbrodnię. Miał brzydki zwyczaj atakowania samotnych kobiet w windzie i zaciągania ich na schody przeciwpożarowe, gdzie jako martwe porzucał po uprzednim dokonaniu gwałtu analnego.

Dzięki informacjom dostarczonym przez te co przeżyły

policja opracowała portret pamięciowy, rozlepiony w nocy we wszystkich budynkach tuż przy windach. Zboczeniec, który od wielu, wielu dni zamieniał Avenue of the Americas w głęboką dolinę Jordanu był na plakatach typem negroidalnym.

Kiedy tego ranka Alassane odstawił limuzynę na parking czuł, że ma rozpalone czoło i sucho w ustach. Nie zmrzążył oka przez całą noc. Po odejściu Elvire musiał uspokoić Bellę. Swym łagodnym głosem poddała go regularnemu śledztwu. Słowa były słodkie, lecz pytania precyzyjne. Przyjście Elvire zaskoczyło ją, lecz nie poruszyło. Czyż ta dziwaczna i hałaśliwa osoba nie pochodziła z innego świata? Czy nie była, jak w kinie, produktem efektu specjalnego? Alassane musiał jej wyjaśnić cały mechanizm i tajemnica natychmiast miała się rozwiązać. Lecz oto im bardziej starała się go omotać zwojami pytań, tym głębiej uciekał w milczenie. Gdyby Alassane nie obawiał się kolejnego skandalu na cały dom, poprosiłby Bellę, żeby się ubrała i wezwała taksówkę. Lecz trzeba było uważać, żeby nowe trzaśnięcie drzwiami nie obudziło sąsiada z góry.

Po cóż było zostawać w jednym łóżku? Nie mogli ani spać, ani się kochać. Co do rozmawiania o Elvire z inną kobietą - to już lepiej zdechnąć! Alassane wstał i aby zyskać na czasie przygotował z dokładnością i powolnością ruchów Yaye herbatę imbirową. Po regularnym rytmie i dźwięczności oddechu Belli sądził, że usnęła i poczuł ulgę, że nie musi dłużej znosić jej obecności i pytań. Jednak bardzo szybko powrócił niepokój. Nawet jej sen mu przeszkadzał. Co ona tam robiła, na tym łóżku, dlaczego wypuszczała swój oddech naźartego zwierzęcia podczas gdy Elvire samotnie przemierzala noc? W tym momencie zaczął czuć jak krew pulsuje mu w skroniach, a ból ogarnia głowę. Całe to cierpienie dobrze mu zrobiło, bo miał wrażenie, iż przybliżyła się do Elvire dzieląc na odległość jej ból.

Migrena skręcała mu mózg, kiedy bez tchu dopadł do

wind. Tylko jedna z nich czekała i ze strachu, żeby nie odjechała popędził do kabiny. Wewnątrz ładna blondynka pudrowała sobie koniuszek nosa. Pojawienie się Alassane'a oderwało ją od tego zajęcia. Ledwie go ujrzała, a oczy jej się rozszerzyły, zaś cera przybrała fioletowy odcień. Usłyszał trzaśnięcie zamka puderniczki i kobieta uciekała co sił w nogach. Tymczasem zamknęły się drzwi do windy. Nigdy Alassane nie zrobił na nikim takiego wrażenia. Na piętrze gdzie znajdował się F.M.O. ujrzał przyczepiony plakat. Blondynka wzięła go za mordercę-gwałciciela.

W jakież tryby wsadził palec? Bolała go głowa, lecz jednak próbował wprowadzić do niej jakiś ład. Najpierw był wybór Ronalda Reagana, później pojawienie się Elvire w środku nocy, jej spuchnięte powieki, jej krzyki i to uczucie bezsilności i winy, które go torturowało od tamtej chwili. Była wreszcie panika zrodzona z samej jej obecności. Korzystając ze schodów przeciwpożarowych poszedł sprawdzić, czy portret pamięciowy wisiał wszędzie i faktycznie znalazł go piętro wyżej, tuż przy windach. Człowiek z portretu miał od niego bardziej wydatne wargi, a oczy nie wyciągały się ku skroniom jak jego, lecz opadały ku policzkom. Nie mieli ze sobą nic wspólnego, lecz w oczach białych, a zwłaszcza przerażonej i nieufnej białej, czyż czarny nie był po prostu czarnym? Czy sama natura nie predestynowała go do tego, by był gwałcicielem i mordercą?

Mając serce przepełnione wściekłością zszedł do biur F.M.O. i jeśli sam się śmiał, był to śmiech afrykański, ten śmiech prosto z gardła, jak wykrzyknik po złości i ironii. Myślał o Yaye i jej lekcjach moralności, o Yaye tak pobożnej, że wielokrotnie odbyła podróż do Mekki, podczas gdy pozostałe kobiety trzymano z dala od spraw religijnych, o Yaye, która sama dokonała obrzezania swoich synów, gdy mieli piętnaście lat. Tak, w wieku piętnastu lat. W chwili ofiary byli już mężczyznami i Alassane zachował z tego w pamięci krew i krzyk. Ręce krępowwały jego ramiona i nogi,

palce oślepiały oczy i zatykały usta. W pomruku modlitw ostrzono nóż, a z niego wytryskiwały gejzery, opadające czerwonymi, palącymi strumieniami na jego uda i brzuch. Czy gwałt na schodach przeciwpożarowych nie jest do tego podobny? Chata w Senegal, sześćdziesięciopiętrowy budynek na Avenue of the Americas, a dookoła krew.

Na korytarzu w F.M.O. prawie zderzył się z Elvire. Rankiem jej powieki były jeszcze bardziej spuchnięte.

- Dlaczego powiedziałeś to Arnaud Morandière'owi? Możesz mi powiedzieć dlaczego?

Nie miał pojęcia o czym mówi. Przesunęła po czole długą dłonią o obgryzionych paznokciach. Na czubkach jej palców pozostały jedynie maleńkie półksiężyce. Wypukłe i różowe ciało zajęło miejsce tego, co w nerwach Elvire pomału rozszarpała własnymi zębami. Ręce dziewczynki, białej dziewczynki - pomyślał i ujrzał je jak spoczywają na poręczy wózka. Elvire musiała sobie obgryzać paznokcie w czasach, gdy przechadzała się z Marie ulicami Saint-Genet. Miał ochotę pochwycić tę dziewczęcą dłoń, ucałować i być może uronić kilka łez w zagłębienie jej dłoni.

- Jestem twoją szefową - mówiła. - Nawet, jeśli cię kocham, to nadal jestem twoją szefową. Dlaczego mu to powiedziałeś?

- A cóż ja takiego mogłem powiedzieć temu kretynowi?
- Że nie jestem z gatunku kobiet, którym się daje kwiaty.
- Kłamie.

- Nie, nie kłamie. Widzę w tym twój sposób zachowania. Zamiast mi pomóc w dniu przyjęcia, na moich oczach podrywasz kobietę i robisz sobie dodatkowy luksus poniżając mnie wobec pełnomocnika misji. Bałeś się, że się będzie do mnie zalecał, prawda? Jasne, jego sposób bycia jest nieco bardziej wyrafinowany od twojego. Ty mnie robisz prezenty jedynie ze swoich kuzynek.

W dalszym ciągu konwulsyjnie pocierała policzek dłonią o obgryzionych paznokciach, lecz on już nie słuchał, co

mówiły jej usta. Słyszał dochodzący z sąsiedniego salonu ostry głosik Arnaud Morandiere'a i rzadkie, a krótkie uwagi Sebastiena. Zostawił Elvire w połowie zdania i jak burza wpadł do salonu.

- Mój stary, wczoraj pan...

Nigdy nie dowiedziano się jak Arnaud Morandiere zamierzał rozwinąć swą wypowiedź. Alassane bowiem wyciągnął go z fotela i wyrwał mu z ust cygaro, które cisnął na środek pokoju. Co ciekawe, Sebastien nie rzucił się najpierw pomiędzy dwóch mężczyzn, lecz pobiegł podnieść cygaro. Niewątpliwie były fryzjer z SoHo odczuwał instynktowną potrzebę uratowania podłogi, jakby to chodziło o jego salon i o wygląd jego zakładu.

Alassane walił pięściami w ten nowy rodzaj worka treningowego. Mała twarz i mały nosek Arnaud Morandiere'a zmieniły się już nie do poznania, kiedy, uchwyciwszy go w pasie, Alassane oderwał od ziemi i jak kulę rzucił w to samo miejsce, gdzie upadło cygaro. Elvire krzyczała: „Oszalał! Oszalał!”, zaś jej ręce przeczesywały włosy tam i z powrotem. „Na co czekasz, na co ty czekasz?” - wyrzucała Sebastienowi i rzuciła się ku Alassane'owi, żeby odciągnąć go za marynarkę. Sebastien usiłował na próżno schwycić Alassane'a za rękę lub ucześcić się jego ramion, by mu ograniczyć swobodę ruchów. Alassane nie miał najmniejszych kłopotów z pozbyciem się go i walił, walił z jakąś radością leżącego na ziemi człowieka, którego już nawet nie Widział.

Jakim cudem odzyskał sprawność ramion, nóg, całego ciała? Zdawało mu się, że przez całe wieki był skrępowany, a teraz jeden po drugim zrywał wszystkie swoje więzy. Bynajmniej nie z wysiłku stracił na moment równowagę, lecz z powodu pewnego rodzaju upojenia, nazbyt wielkiej przyjemności. W Soumbédioune po długim pływaniu i pokonaniu całych pokoleń fal, wychodząc z wody odczuwał to oszołomienie powodujące, że potykał się ze szczęścia na palącym piasku, całkowicie tracąc równowagę. Wówczas nie istniało

nic prócz jego radości. W tych krótkich momentach zdarzało mu się nawet zapominać o marzeniach o wyjeździe.

Arnaud Morandièrę wydawał ciche okrzyki i zasłaniał małą, zmiażdżoną twarz swymi małymi rączkami. Na salonomicznej wykładzinie widniały ślady krwi. Alassane walił nadal pomimo błagań Elvire i jej wysiłków połączonych z usiłowaniami Sébastiena, aby go puścił. Jak kot, który pochwycił ptaka w szpony zabawiał się swoją ofiarą. Grzeczny Alassane szarpał zdobycz na strzepy i radował się. Walił unoszony rytmem własnych pięści. Nie wiedział ani dlaczego wali, ani kogo, lecz walił. Nie wiedział, że zbyt długo się powstrzymywał. Nie wiedział, że pełnomocnik misji brał po głębie i po żołądku za wszystkich, którzy go poniżyli, a którym umiał przeciwstawić jedynie swoją ciszę i afrykański śmiech. Nie wiedział, że wszyscy zebrali się w małym cieple podrygującym na podłodze. Nie wiedział, że tłucze, ile wlezie francuskich przodków Mrs Leroy, red-necka z cmentarza King David, niskiego bruneta w bluzie w kwadraty z Nowego Orleanu, różową świnkę, czarnego taksówkarza, który nie rozpoznał w nim swego brata i wszystkich innych, co mieli przekleństwo na ustach i pogardę w spojrzeniu.

Niewyraźnie usłyszał jak jakiś głos mówi: on go zabije. Głos Elvire? Czy Sébastiena? A może raczej Yaye? On go zabije. Jego pięści się rozluźniły i pozwolił przyjaciółom wypchnąć się na korytarz. Po przekroczeniu drzwi Elvire i Sébastien przyparli go do ściany, gdzie szybko przestał się szamotać. Poddanie było na miarę rewolty. Tylko się nie ruszaj - powiedziało któreś z nich i zostawili go tam, by jak najszybciej pospieszyć na pomoc rannemu. Alassane usłyszał jeszcze jak zamykają się oba skrzydła drzwi i zasuwa przesuwana w pośpiechu.

Kiedy Arnaud Morandièrę odzyskał świadomość Elvire przyciskała mu do nosa tampon, zaś Sébastien usiłował wytrzeć plamy krwi, które ciemniały powoli przechodząc w czerń na wykładzinie, poduszkach i fotelach.

- Nikt nie powinien się dowiedzieć co się stało - bełkotał pełnomocnik misji.

Elvire zastanawiała się, czy tym sposobem przyznawał się do niemożności zrozumienia zdarzeń, których był ofiarą, czy też życzył sobie, żeby pozostały zachowane w tajemnicy. Ponieważ ta druga interpretacja łączyła się z jej własnymi pragnieniami, odrzekła natychmiast:

- To nikogo nie obchodzi.

Szmatka, którą mu przytykała do nosa, znów była mokra i czerwona. Górna warga Arnauda Morandièrè'a puchła w oczach.

- Trzeba wezwać lekarza - powiedział nadal krzątający się Sébastien.

- I co mu powiemy - jęknął ranny.

- Powiemy, że spadła panu na głowę waliza, waliza pełna filmów - improwizowała Elvire. - Mam taką w biurze, przyniosę ją tutaj, żeby mógł chociaż udawać, że nam wierzy. Waliza leżała sobie spokojnie na tej szafie. Pan chciał ją ściągnąć i spadła panu prosto na twarz. Mam przyjaciela lekarza, przyjdzie natychmiast.

- Nikt się nie może dowiedzieć - powtarzał tamten ledwo mogąc otworzyć oczy.

- To lekarz, nie glina - upierała się Elvire. - No i opóźnię o dwa dni pańską rezerwację na lot w Air France, nie może pan lecieć w takim stanie.

- Nie, muszę wyjechać dziś wieczór.

- Widział się pan?

- Wolę się nie oglądać. Bardzo proszę, nie powiem ani słowa, nigdy ani słowa. Proszę mi tylko pomóc wyjechać dziś wieczór.

- To kolejny powód, żeby wezwać mojego przyjaciela. Bez zezwolenia lekarskiego nie wpuszczą pana do samolotu.

Nim wstała, by pójść zadzwonić przekazała kompresy i rannego Sébastienowi. W salonie unosił się zapach jatki. Nigdy by nie przypuszczała, że z tak małego nosa może wy-

płynąc tyle krwi. Kości były na pewno połamane, przegrody zmiążdżone. Cóż za szaleństwo opętało Alassane'a? Czyż nie podejrzewał on pełnomocnika misji, że zbyt mocno się nią interesuje? A może Alassane też znał zazdrość? Czyż omal nie zabił tego, który się ośmielił podnieść na nią oczy? A może jego pięści pozwoliły mu na wyznanie tego, co przemilczały usta? A jeśli ją kocha? Kręciło jej się w głowie. Mój Boże, a jeśli ją kocha?

Wystukała na klawiszach numer telefonu swego przyjaciela lekarza. Była to tajemnica ich czworga, lecz ona była pewna, że żadne z nich nie powie ani słowa. To było dziwne, nikt tak naprawdę nie pojmował co się stało i każdy czuł się winny.

Alassane znów czekał na Elvire na lotnisku Kennedy'ego. Po raz drugi miał ją powitać z Marie. Zdawało się, że nic nie uległo zmianie w całej dekoracji. Tylko on, chodzący tam i z powrotem po hallu, był innym człowiekiem. Czyż nie minęło już wiele lat, gdy w tym miejscu odkrył nieznaną Elvire, która od dzieciństwa wiodła podwójne życie? Pod jej wspinałym wyglądem i frywolnością kryła się mała dziewczynka z Saint-Genet. Przelotni mężczyźni uważali ją za kobietę przeznaczoną do zaspokajania ich pragnień, ona zaś była zasklepiona w swojej ciszy bardziej niż zrobiłoby to jakiegokolwiek odosobnienie. Nawet jeśli krzyczała w ich ramionach głośniej i lepiej niż inne kobiety, to tylko dlatego, że robiła to za dwie. O miłości nie było nawet mowy. Nie kocha się połową swego jestestwa, a przecież tam, w Saint-Genet zostawiła drugą część samej siebie.

Byłam spokojna - wyznawała wielokrotnie Alassane'owi - byłam tak bardzo spokojna przed twoim pojawieniem się. Dlaczego pan Martial wyjechał na Haiti? Dlaczego właśnie ty się musiałeś pojawić? Czemu palnęłam to głupstwo i cię zatrudniłam?

Wszystkie te pytania mnożyły się wraz ze zbliżającym się końcem miesiąca i ona dodawała, że są to z pewnością ostatnie dni Alassane'a w F.M.O.

- Niektórzy pytają mnie - ciągnęła - dlaczego cię nie wyrzucę?

- Nie - poprawiał Alassane - pytają: dlaczego nie wyrzucisz tego czarnucha?

- Być może. Być może nawet tego parszywego czarnucha!

Wtedy śmiała się, śmiechem gardłowym, bolesnym, tym śmiechem afrykańskim, który od niego zapożyczyła.

- Czy możesz mi powiedzieć dlaczego się w tobie zakochałam? Znałam tyłu mężczyzn, a to musiałeś być ty. Dlaczego?

- Dlatego, że nie byłeś nieufna. Ja nie byłem niebezpieczny. Inni mieli władzę, talent lub pieniądze. Ja nie miałem nic, a te trochę, które posiadałem dostałem od ciebie. Trzeba było być szaloną, żeby się zakochać w takim facecie jak ja: czarny szofer, którego możesz wylać z dnia na dzień.

- A ty sądzisz, że ja nic nie zrobię i korzystasz z tego. Biedna Elvire, myślisz, nigdy nie będzie miała dość odwagi, żeby się ze mną rozstać. Strzeż się, być może pewnego dnia biedna Elvire będzie miała dość karmienia ciebie i cierpienia. Ona nie jest jeszcze nie do uratowania.

Uregulowawszy w ten sposób należność chowała swe groźby do futerału i przez całe miesiące nie było o nich mowy. W pracy odnajdywali całkowite porozumienie, a w miłości egzaltację, która wiodła Elvire aż do szaleństwa.

Drzwi w sali przylotów właśnie się otworzyły i zaskoczenie Alassane'a nie było tym razem spowodowane pojawieniem się łóżka, które młoda kobieta pchała przed sobą, lecz urodą Elvire i jej strojem podróżnym. Miała na sobie czarną sukienkę przepasaną całym mnóstwem skórzanych paseczków, nabijanych nitami i gwoździkami. Tydzień wcześniej była w Lourdes jak co roku o tej samej porze, a dzisiaj paradowała ze swymi pasami i łańcuchami. Mając głowę

podtrzymywaną przez poduszki Marie uśmiechała się do Alassane'a i obnażając swe pośliznięte zęby dawała wyraz swej niezniszczalnej czułości dla czarnego mężczyzny, który ją przeniósł przez Nowy Jork i po całych nocach opowiadał jej o Afryce i o sobie samym.

- Marie uwielbia Manhattan - powiedziała Elvire. - A na Manhattanie najbardziej lubi ciebie. Chciała cię znów zobaczyć, toteż zaprosiłam ją w tę podróż.

Oto on, twój Alassane - dodała pochylając się ku siostrze. - Liczyłeś dni, godziny, minuty. Wiem, wiem, nie przestawałaś mi o nim mówić. Nawet w Lourdes zadawałaś mi pytania na jego temat, zamiast się modlić. No cóż, oto i on równie wzruszony spotkaniem co ty. Mówisz, że nic się nie zmienił. Pozornie nigdy się nie zmienia. Ten pan nie ma skóry takiej jak my, która pozwoliłaby domyślić się jego radości, złości, wstydu, czy miłości. U niego na powierzchni nic się nie porusza, tak że zadajesz sobie pytanie, czy za tym czarnym ekranem w ogóle coś istnieje. Mówisz, że ci to obojętne, i że dla twego szczęścia wystarczy, żeby miał mocne ramiona i wygląd sportowca. Tym razem nie zobaczysz śniegu na Manhattanie, ani łyżwiarzy pod Centrum Rockeffelera, za to całą rodziną pójdziemy się opalać do Central Parku.

Rzeczywiście, Alassane czuł, że pełne podziwu spojrzenie, jakim obdarza go Marie, posiada moc ponownego połączenia ich niby rodziny. Nagle pojawiła się łagodność w ich słowach, w ich ruchach i każdy starał się ogłędnie obchodzić z wrażliwością drugiej strony. Aby pomóc Marie żyć, gesty Alassane'a i Elvire musiały się podporządkować powolnej i ostrożnej współzależności.

Kiedy nadszedł wieczór, a upał zdawał się już znośny, Elvire wyłączyła klimatyzację i otworzyła okna. Zapach rozpuszczonej smoły mieszał się z wyziewami z doków. Wokół wyspy tropikalne morze wydmuchiwało aż po ostatnie piętra gmachów ostry zapach szlamu. Marie spoczywała na łóżku na środku pokoju. Jej nogi, długie, chude i umęczone jak

nogi Chrystusa na krzyżu wystawały z białej, jedwabnej koszuli.

- Zagraj dla niej - poprosiła Elvire.

Podawała Alassane'owi korę, której nie ruszał od lat, od pierwszej podróży Marie. Sprawdził dwadzieścia jeden strun, naciągnął te, które najbardziej ucierpiały wskutek zaniedbania, popieścił doskonale kształty tykwy. Dzieci, które przygarnęła jego matka nauczyły go grać na korze i syn Yaye, biedny, lecz ze szlchetnego rodu lubił śpiewać z dziećmi z niższej kasty oddanej od zawsze muzyce. Będąc młodzieńcem wołał od lutni i afrykańskiej tradycji czarną, amerykańską muzykę. Nie śpiewał już z dziećmi, ale palił Marlboro i chodził tańczyć do knajpek w Dakarze z przyjaciółmi z dzielnicy Rebeuss. Musiały upłynąć lata, aby przywołał w pamięci pieśń Afryki. Musiał osiąść wreszcie na drugim brzegu Atlantyku i zapragnąć rozerwać Marie, aby muzyka szamanów pojawiła się na jego ustach. Alassane wobec małej chorej białej stał się śpiewającym Afrykańczykiem.

Jego palce trafiały na swe miejsce na strunach kory, a dźwięki odnajdywały się w gardle. Gorąca, nowojorska noc wisząca w środku nieba pośród zapachów oceanu i smoły stawała się pieszczotliwa. Z wielkiego ciała Alassane'a wydobywał się głos pełen słodczy nawet w swych najmocniejszych akcentach, a nuty wychodzące z grubej lutni o wzdętym brzuchu były delikatne. Było coś kobiecego w brzmieniu instrumentu, a jego dźwięk miał kruchość chwili szczęścia.

- Graj, proszę cię, zagraj jeszcze dla Marie - błagała Elvire, gdy tylko zrobił przerwę.

Mrok już powoli zapadał wokół nich, a prośba Elvire stawała się coraz bardziej ponagląca. Graj, graj, powtarzała, tak jak niegdyś mówiła w samochodzie: „Jedź, jedź. Tak bardzo kocham noc”. Jej głos dyszał niecierpliwością. Żadna kołysanka nie mogła uspić małej dziewczynki z Saint-Genet.

Dopóki była jakaś przyjemność do skonsumowania, nie mogło jej zabraknąć apetytu. Graj, graj - domagała się, by odegnać ciszę. Graj, graj, aż do obsesji, aż do wyczerpania. Alassane, którego dłonie zapomniały o ukąszeniach strun i ich napięciu czuły, jak ogień obejmuje opuszki palców. Pozwolił się unieść rytmowi, a wdzięczne spojrzenie Marie pomagało mu ścierpieć ból. W jaki sposób Elvire udawało się zaciągnąć go tam, dokąd wcale nie życzył sobie iść? Jakiemu dziwnemu upojeniu oddawał się w jej towarzystwie? Graj, graj - mówiła, a Alassane odpowiadał na wszelkie żądania, na wszystkie jej nakazy. W dodatku każda nuta powodowała, iż pograżał się jeszcze bardziej, każda zwrotka była przytaknięciem. Ich rodzina odradzała się przy dźwiękach kory, a miłość dwóch siostr osaczała go.

Podczas kolejnych dni Elvire odkryła jak rekonwalescentka nieznaną smak życia i nowe uroki miasta. Upał zmuszał wszystkich do rozebrania się. Najszpetniejsze kobiety obnażały swą anatomię, a Elvire w każdej widziała coś uwodzicielskiego. Jej serce było radosne, a oczy stały się wyrozumiałe. Miała przy sobie dwie istoty, które kochała najmocniej, dlaczego więc nie miałyby przyznać wdzięku najstraszniejszym brzydactwom? Ziemiste i obwisłe ciała, jakie ukazywały zbyt krótkie, lub zbyt obcisłe szorty zdawały jej się rozczulające. Podobał jej się swobodny strój ulicy. Podobało jej się, że kleisty asfalt przywdział wygląd plaży miejskiej. Ludzie lizali lody siedząc na krawędziach fontann, wystawiano na pokaz uda na wyschniętych trawnikach w Central Parku. Wysokie chłopaki na wrotkach w kąpielówkach i cielistych trykotach prześlizgiwali się przez tłumy w alejach i pozostawiali za sobą coś w rodzaju złudzenia powiewu świeżości. Czarujące próbki amerykańskiego stylu, damy w kształcie rombu: mała głowa, małe nóżki, olbrzymi brzuch, olbrzymie pośladki, stąpały z nogi na nogę jak jakieś zabawki mechaniczne z rześką miną, pomimo potu spływającego po skroniach. Pożar tlił się pod ziemią i każdy wspi-

nał się na czubki palców usiłując znaleźć ponad głowami innych mniej duszące powietrze. Całe miasto tańczyło na diabelskiej skórce. Czarne dzieciaki przechadzały się po chodnikach z olbrzymimi radioodbiornikami, skąd wniebogłosy wydierała się muzyka rockowa. Upał bynajmniej nie powalał Elvire, lecz pobudzał jej entuzjazm i kiedy nie miała pod ręką limuzyny siadała na ostatnim siedzeniu w autobusie. W tym miejscu całe gorąco silnika przysmażało jej pośladki i uda, zaś plastik pokrywający siedzenia topił się wydzielając mdły zapach zupy fasolowej.

- Czy jesteś gotów mi pomóc? - zapytała pewnego poranka, wsuwając w dłoń Alassane'a klucz do swego mieszkania.

- Nie rzucaj mi stale wyzwania. Czy kiedykolwiek ci czegoś odmówiłem?

- Owszem, nie chciałeś go zatrzymać.

Nazajutrz po ich pierwszej nocy dała mu klucz, a on, nie podając wyjaśnień, odmówił.

- Chcesz, żebym dziś wieczór dotrzymał Marie towarzystwa?

Siedzieli naprzeciwko siebie w kawiarni na Avenue of the Americas. On narzekał na upał, ona twierdziła, że kocha wszystko co w Nowym Jorku ma zapach Afryki.

- To taki mój styl - powiedziała - że muszę cię pytać, czy naprawdę chcesz mi pomóc. Chciałabym, żeby Marie została ze mną.

- Na długo?

- Owszem. Wezmę pielęgniarkę, jestem gotowa poświęcić na to połowę mojej pensji. Zawsze zależało mi na tym, żeby samej płacić osobie zajmującej się moją siostrą w Saint-Genet. Tutaj to będzie trochę droższe i tyle. Najważniejsze, żebym mogła liczyć na ciebie.

Alassane trzymał otwartą dłoń, a klucz Elvire spoczywał w jej zagłębieniu, tam gdzie linie zdawały się pisać chińskim tuszem po zaskakującej różowości ciała. Teraz zmuszała

Alassane'a, żeby zagiął palce i dostrzegą w nim pewien opór.

- Nie chcesz mi pomóc?

- Wiesz, że możesz mnie wezwać w każdej chwili, wiesz również, że zajmę się Marie tak długo jak będzie trzeba.

- Więc zatrzymaj klucz.

- Dasz mi go jak zwykle, kiedy będę miał z nią spędzić wieczór, a ja ci go zwrócę wychodząc.

- Czego się boisz?

Alassane nie odpowiadał. Przyzwyczyił się już do śledztwa tego rodzaju, lecz nie mógł znieść, że Elvire posługiwała się Marie w celu wywarcia na niego nacisku. Czyż nie miała mu za złe wszystkiego, co robił bez niej? Wieczorowe kursy ekonomii politycznej czy czarnej literatury amerykańskiej jawiły się w oczach Elvire jako kolejne zdrady. O mało co byłaby go oskarżyła, że wyszukuje sobie alibi. Zdarzało jej się czynić mu wyrzuty, że czyta. Bynajmniej nie dlatego, że podawała w wątpliwość wybór lektury, lecz w samym fakcie czytania podejrzewała potrzebę autonomii i pragnienie samotności. Nauczyła się dzielić z Marie wszystkie lektury i od dzieciństwa rozszyfrowywała książki na głos. Uniesiona przez swój ciągły ruch i strumień uczuć, dzisiejsza Elvire nie marnowała czasu pa czytanie, z wyjątkiem może nagłówek w gazetach.

- Widzę, że czujesz się nieswojo we własnej skórze, że jesteś zaniepokojony - powiedziała zabierając klucz. - Co się dzieje? Nie wychodzą ci te wieczorowe kursy?

- Mam kłopoty.

- I nic mi nie mówisz?

- Później - rzekł. - Powiem ci o tym później.

Tej nocy Elvire na próżno tuliła się do Marie, ruda z Saint-Genet wychynęła z jej pamięci. Po raz pierwszy usłyszała we śnie jak mówiła do niej głosem o nosowej intonacji i zanim jeszcze zrozumiała słowa, Elvire czuła ogarniające ją dziecięce przerażenie i poniżenie wzbudzone niegdyś przez

kłątwy tamtej. Ta kobieta mogła tylko zwiastować nie-
szczęście.

- Traci pani czas - mówiła do niej ruda od „Jeannot i
Jeannette”.

Elvire widziała jak tamta spaceruje po sklepie. Widać było
jej ramiona nagie i białe, zaś reszta ciała była obleczona w
obcisłą suknię z lamy, której miedziany odcień w dziwny
sposób przypominał kolor jej włosów. Wszystkie te czerwo-
nawe refleksy miały jednak lodowaty blask. Ruda, jak
kwietniowy księżyc, mogła w gnieniu oka zniszczyć na-
dzieję, albo przyszłe zbiory.

- Mówię pani, że traci pani czas - powtórzyła wbijając zły
wzrok w oczy Elvire.

Później sprecyzowała wyjmując karmelka z małego
pudełka:

- Mężczyzna, którego pani kocha będzie miał dziecko.

- Ze mną? - spytała Elvire nie rozumiejąc słów rudej.

Dlaczego u „Jeannot i Jeannette” nie było z nią Marie?
Ona nigdy sama nie wchodziła do sklepu.

- Nie - odparła tamta przerzucając karmelka z jednej
strony ust na drugą.

- Nie ze mną? To z kim? Jestem w ciąży, to ma pani na
myśli?

- Nie, nie z panią.

Język rudej strzelił smakowicie o podniebienie.

- To z kim? To niemożliwe. Z inną kobietą? Jaka ona
jest?

- Ani czarna, ani biała.

Po przebudzeniu Elvire zdawało się, że pamięta, iż ruda
od „Jeannot i Jeannette” zaśmiała się po tych ostatnich sło-
wach. Nie powiedziała Marie o swoim śnie, lecz tamtego
poranka dostrzegła mniej wdzięku w damach o kształtach
rombu i nawet się nie uśmiechnęła do chłopaka na wrotkach,
którego prawie co dnia mijała u stóp F.M.O. jak woził
zachwycającą małą siedzącą okrakiem na jego ramionach.

- Bella jest w ciąży? - zapytała Alassane'a, gdy tylko ujrzała go w biurze.

W głosie Elvire, który na skutek braku słońca stał się jeszcze bardziej poważny prawie nie było słyhać znaku zapytania.

- I co jeszcze wymyślisz?

Elvire nauczyła się rozróżniać odcienie jego skóry, a tego poranka coś szarego zmieszało się z głębokim brązem. On również musiał kiepsko spać.

- Widzę, że masz zatroskaną minę od dwóch, czy trzech dni, więc pomyślałam, że Bella olbrzymka mogła zastosować fortele prostej kobiety.

- Co to ma znaczyć?

- To znaczy, że najlepszym środkiem do założenia ci kajdanków jest dorzucenie ci jeszcze dzieciaka na plecy.

Jednym haustem wypił swoją kawę, wrzucił do kosza kartonowy kubek po uprzednim brutalnym zmiżdżeniu go w rękach i zaczął kląć po angielsku.

- Brawo - powiedziała - prawdziwy Amerykanin. Twoja olbrzymka z Harlemu może być dumna z ciebie, masz słownictwo godne drugorzędnych filmów i nawet umiesz linczować marnych białych! Jeszcze są ślady w salonie. Nie tylko nie zająłeś się ewakuacją rannego, lecz nawet nie zapytałeś co u niego słyhać. Gdybym nie zatuszowała twoich wygłosów już od dawna byłbyś bezrobotny.

- Nie mieszaj wszystkiego, to stara historia.

- Tak sądzisz?

Opadł na fotel. Nigdy nie widziała go w stanie takiego wyczerpania i dlatego jej własny niepokój jeszcze bardziej się powiększył.

- Jak to odgadłaś? - zapytał wreszcie.

- Co?

Teraz ona dla odmiany nie chciała zrozumieć. Czy ruda za każdym razem pojawiała się, żeby zwiastować najgorsze?

- Bella spodziewa się dziecka.

Wymówił ostatnie słowa nie patrząc na nią, ukrywając głowę w dłoniach, których palce były splecione. To wyznanie nie zaskoczyło Elvire, po swoim śnie spodziewała się takiej nowiny. Instynktownie pomyślała o siostrze.

- Tylko nie mów nic Marie. Twoja rodzina to my obie, rozumiesz.

Im usilniej starał się odkryć jak mógł osiągnąć taki stopień pomieszania tym bardziej tracił grunt pod nogami. Zdarzało mu się nawet zadawać sobie pytanie, czy nie było przypadkiem jakiegoś dziwnego porozumienia pomiędzy tymi dwiema kobietami, Elvire i **Bellą**, na pozór tak różnymi, tak krańcowo odmiennymi. Czy nie usiłowały go pochwycić w jakąś sieć utkaną w duecie?

Nie mógł znieść tego, co wymykało się logice. W najdrobniejszym osłabieniu rozumu widział niebezpieczeństwo i opuszczając Afrykę miał nadzieję wkroczyć w świat, gdzie skutki harmonijnie wypływały z przyczyn. Trwając uparcie w wysiłku i refleksji miał nadzieję zabezpieczyć się przed wszelkimi tajemnicami. Nigdy nie pozwoliłby dać się wciągnąć w jedną z tych czarnych dziur, w których najpierw traci się głowę, a później życie.

Skończył raz na zawsze z fetyszami, marabutami i czarownikami rzucającymi uroki. Nie miał zamiaru śpiewać więcej suratu, których znaczenia nie znał, tylko dlatego, że było to zgodne z życzeniem Yaye. Przestał być dzieckiem podporządkowanym. I jeśli chciał opłacić swemu ojcu wyjazd do Mekki - szefowa F.M.O. przyznała mu z tej okazji zaliczkę - to ojciec przesłał ze świętego miejsca amulet nie jemu, swemu synowi, lecz przyjaciółce syna, białej Elvire, której głos znał jedynie przez telefon. Kiedy Alassane zapytał Elvire skąd wie, że Bella jest w ciąży, ona wyciągnęła z kieszeni amulet.

- Według ciebie, do czego to służy?

- Nigdy w to nie wierzyłem - odpowiedział odpychając przedmiot.

- Również nigdy nie chciałeś uwierzyć, że z nas dwóch Bella jest bardziej niebezpieczna. Cicha woda brzegi rwie, jak to się u nas mówi.

Przestał się słuchać Yaye. Jednak nie mógł nie pomyśleć o niej, kiedy Bella po raz pierwszy powiedziała o dziecku. Zachowa je - twierdziła. Twierdziła zresztą, że jest zbyt późno, aby postąpić inaczej.

- Ale dlaczego nie powiedziałaś mi kiedy był jeszcze czas?

- Bo chciałam mieć twoje dziecko.

Przypomniał sobie czułe spojrzenie Yaye i zrozumiał, że nad nim zatraskuje się pułapka. Był przeciwny pojawieniu się tego dziecka, ale wiedział, że nie będzie mógł się powstrzymać przed miłością do niego. Odpychał je z całych sił, lecz jego ręce już drżały w kontakcie z tym kruchym życiem. Pomimo swych zastrzeżeń czyż nie był za nie odpowiedzialny? On, który uważał się za Amerykanina, który sądził, że jest wolny, który wzbił się z Soumbedioune na Manhattan nie umiał umknąć przed miłością innych. Czy to złe samopoczucie nie zaczęło go ogarniać w chwili, gdy poddał się uściskom Elvire? W jakie szaleństwo go wciągnęła? Był całkiem się nie pogrążyć usiłował uczepić się naturalnej i podnoszącej na duchu czułości innej kobiety, a Bella zniszczyła jego ostatnie złudzenia. Zdawało mu się, że już nigdy nie będzie maszerował chodnikiem wzdłuż wielkich alej mając ciało i umysł przesycone upajającym uczuciem, że jest panem swego losu.

Był przy trzeciej whisky sour i opuszczały go siły. Tym razem pił z taką zaciętością nie po to, by udawać Amerykanina, nie czuł się już na siłach do zagrania tej roli. Czyż syn Yaye nie był zabawką kobiet? Ta komediowa rola przyprawiała go o mdłości większe niż alkohol i wiedział, że nie uzyska ani zapomnienia, ani odpoczynku łącząc upodlenie ze słabością.

Zaszywszy się w tym ponurym barze pozwolił upływać czasowi. Wstęp do własnego mieszkania miał zabroniony jeszcze przez kilka minut. A przecież wystarczyłoby przejść przez ulicę, pojechać windą na osiemnaste piętro i przekręcić klucz w zamku, żeby się znaleźć u siebie. Lecz tych gestów, najprostszych na świecie nie miał prawa wykonać. Musiał czekać w tym nędznym barze na wprost swego domu, gdy tymczasem na górze, w jego własnym mieszkaniu, Bella i Elvire pod jego nieobecność rozporządzały jego własnym życiem.

Zaczął się śmiać do siebie, a barman pomyślał, że jest jeszcze bardziej pijany niż wygląda. Jeśli jego położenie jawiło się jako całkowicie groteskowe po trzeciej whisky sour, samo w sobie było w takim razie absurdalne. Elvire chciała spotkać się z **Bellą**. O mało co by dodała: musimy porozmawiać jak kobieta z kobietą. Faktem było, iż nie mógł jej niczego odmówić, zwłaszcza kiedy widział, że jest nieszczęśliwa z jego winy. Jeśli chciałeś mieć dziecko - powiedziała mu powstrzymując łzy - jeśli je chciałeś, dlaczego mnie nie poprosiłeś? Elvire twierdziła, że przedkłada szczęście Alassane'a nad swoje własne i dlatego było dla niej ważne, żeby porozmawiać z **Bellą** i dowiedzieć się, czy pojawienie się dziecka jest nieuniknione. Obiecał zorganizować to zadziwiające spotkanie, tym ciekawsze, że przeciwnie do jego przypuszczeń, Bella zaakceptowała jego założenia i nie czekając ustaliła warunki. Spotkanie miało się odbyć u niego, a jemu było wolno dołączyć do nich dopiero w godzinę po rozpoczęciu rozmowy. Czyż Elvire nie była szefową Alassane'a? Nawet jeśli Bella słyszała w noc wyborów krzyki i szlochy, które raczej świadczyły nie o autorytecie Elvire, lecz o jej szalonym uczuciu, miała taki respekt wobec hierarchii, że sama myśl o rozmawianiu jak równy z równym z dyrektorką F.M.O. schlebiała jej. Jej szerokie biodra, wspaniałe i obszerne zostały jeszcze bardziej uświetnione przez obietnicę dziecka, czuła jak robią się coraz cięższe i całą swą wagą ciążą na losie białej rywalki.

Alassane wyobrażał je sobie w trakcie obrad. Widział jak Bella przeciąga się jak nasycona kotka, a Elvire krąży wokół niej nerwowo wściekając się na myśl, że dziecko tamtej zostało bez wątpienia poczęte w "jej" łóżku. Wziął telefon z kontuaru i wykręcił swój numer. Na początku pobytu dzwonił w ten sposób do siebie dla samej przyjemności zmierzania pokonanej drogi. Wreszcie udało mu się dotrzeć do Nowego Jorku, a w tym mieście miast istniało takie miejsce, gdzie on, Alassane miał prawo żyć.

Dzwonek długo rozbrzmiewał bez odpowiedzi. Czyżby certowały się przed telefonem, kto ma odebrać? Wreszcie usłyszał głos Elvire.

- To ja - powiedział.
- Wyobraż sobie, że zgodłyśmy.

Mimo że wiedziała, iż Bella nie rozumie po francusku, nie wymusnęło jej się nawet jedno słowo, które mogłoby zdrasnąć rywalkę.

- No i jak tam? - zapytał Alassane opierając się łokciami o bar.

Przycisnął wolną rękę do lewego ucha, żeby mu nie przeszkadzała rozmowa sąsiadów i mdła muzyka snująca się po ścianach.

- Rozmawiamy - odparła Elvire. - Rozmawiamy tak jak należy w podobnej sytuacji.

Czuł, że nie uzyska niczego więcej. To nie tylko bliskość Belli zmuszała Elvire do używania tego sybilińskiego języka. Alassane pamiętał jak w dzieciństwie wokół tajemnicy zamykał się krąg kobiet, gdy w jakiejś rodzinie zanosilo się na urodziny. Ton Elvire kazał mu spodziewać się najgorszego. Bella na pewno będzie obstawała przy swej decyzji.

- Mogę przyjść? - zapytał.
- Gdzie jesteś?
- W barze, naprzeciwno.
- W takim razie za pięć minut.
- To na razie.

Odłożyła słuchawkę i hałas w barze wydał mu się nieznośny. Tam Bella zapewniała sobie zwycięstwo za pośrednictwem dziecka. Teraz Alassane był tego więcej niż pewien. W głosie Elvire była stanowczość i ten rodzaj jasności widzenia znajdującej się w połowie drogi pomiędzy buntem a rezygnacją, którą może zrodzić jedynie długie przyzwyczajenie do katastrofy.

Zapukał do własnych drzwi i ponieważ nikt nie odpowiadał, postanowił wsadzić klucz do zamka. Siedziały obok siebie na krawędzi łóżka. Ani jedna, ani druga nie wyglądała na przejętą jego pojawieniem się. Bella miała zaledwie nieco ciemniejszą skórę niż Elvire, lecz jej włosy były czarne i gęste, usta mięsiste, nozdrza szerokie, a oczy ciemne pod silnie zarysowanym łukiem brwiowym. Uparta twarz Amerykanki - pomyślał Alassane. Nawet jeśli twierdziła, że jest dumna ze swego afrykańskiego pochodzenia, nawet jeśli pracowała w agencji turystycznej w Harlemie, nawet jeśli wysyłała w podróż czarną klientelę, której przodkowie zaznali niewolnictwa i wygnania, dzisiaj dla Alassane'a miała twarz Ameryki i jej determinację.

Obie kobiety nie zamieniły ani jednego słowa w jego obecności. „Niewątpliwie kocha cię na swój sposób” - powiedziała mu Elvire, kiedy ją odprowadzał do windy. Bella została, rozciągnięta na łóżku, jak gdyby już czuła się właścicielką tego miejsca. Uprzedził ją, że wszystko zrobi dla dziecka, lecz że jego urodziny rozdzielią ich definitywnie.

- Miłość, miłość, mam już jej dość. Od tej chwili zadowolę się jej namiastką. Sébastien, zabierz mnie dziś wieczór do jednej z tych spelunek, gdzie przynosi się tylko swoje ciało, gdzie można się rznąć bez obowiązku opowiadania historii. Wiesz, niebezpieczeństwo tkwi w uporczywym graniu wbrew woli. Znasz Marie, wspaniale ją uczesałeś wiele razy. Marie jest święta i zgadza się na odgrywanie swego życia w roli świętej. Ja muszę zgodzić się być tym, czym ona nie jest: kawałkiem mięsa. Moim błędem było

złamanie reguł. Chciałam, aby ona zaznała rozkoszy, więc twierdziłam, że kocham. Błąd! Moja siostra nigdy nie będzie chodziła, moja nieruchoma nie zazna rozkoszy. Powinnam jednak o tym wiedzieć od chwili, gdy Dziewica odkryła to przede mną pewnego dnia w Lourdes. Przy tej samej okazji powinnam była zrozumieć, że nasze role przypadły nam po wsze czasy: jej dusza, mnie ciało. Dziś więc, Sébastien, nie traćmy ani minuty. Zanim mięso zgnije śpieszmy rzucić je na ladę.

- Znam w starych dokach... - zaczął Sébastien.

- Naprzód - przerwała mu.

W samochodzie podkreśliła jednak, że Alassane nie powinien nigdy się dowiedzieć o ich wyprawie. Wystarczyło jej przypuszczenie, że byłby niezadowolony, by wzrosła jej własna przyjemność. Czyż nie był to jego sposób podtrzymywania łączących ich więzów, niszczenie w tajemnicy kobiety, której nie chciał kochać? Jeśli nie mógł jej czynić wszelkiego dobra, jakiego sobie życzyła, niech jej przynajmniej bez zwłoki wyrządzi całe zło. W tym postanowiła mu pomóc. Czyż nie przeszukiwała w biurze jego szuflad i kieszeni w poszukiwaniu zdjęć jego córki? Ślicznej, zachwycającej, małej Fatou. Ze zdjęcia na zdjęcie obserwowała jak dziewczynka otwiera się ku życiu. Jej skóra, całkiem biała przy narodzinach ciemniała z miesiąca na miesiąc. Wysyłała Alassane'a po zakupy na drugi koniec miasta, by mieć czas na obracanie w palcach na wszystkie strony pięknego obrazka i wyrycić go w pamięci. Kiedy dzwonił do niej z krańców Lower East, odpowiadała mu mając wzrok zagubiony w kontemplacji małej Fatou.

Ulica biegła prosto aż do Hudson. Pozwoliła Sébastienowi sobą kierować i nie chciała znać dokładnego adresu knajpy. W opuszczonych dokach, każdy dzień gromadził nieczystości, każda noc wymyślała nowe spotkania. Deszcz pozostawił kałuże w dziurach jezdni, a poskręcane żelastwo wyglądało tak jakby już nie mogło bardziej zardzewieć.

Sébastien mówił, że jego dzielnica od strony Chinatown jest do tej trochę podobna. Skoro Elvire nigdy nie była u niego, nie było również dnia, by nie mówił o swoim domu. Już od dawna skarżył się na właściciela, Chińczyka, o którym mówiono, że jest niebezpieczny, a którego nigdy nie widział. Głosem swych emisariuszy Chińczyk zabraniał przeprowadzania prac w budynku. Elektryka i hydraulika leżały odłogiem. Wywłaszczony przez swą byłą towarzyszkę musiał wziąć od życia jakąś rekompensatę. Po tej kobiecie i przegranej procesie pozostał mu gorzki posmak i potrzeba udowodnienia sobie samemu, że nie jest stworzony na ofiarę. Wbrew swojej wrodzonej łagodności i ufności stworzył w swym domu komitet lokatorski i całkowicie pewny swojej racji wstąpił na wojenną ścieżkę z tym tajemniczym Chińczykiem.

- Powinieneś uważać - powiedziała Elvire.

- Doprowadzę rzecz do końca. Ten łajdak zmusza nas do życia w przerażających warunkach. Wszędzie brud, smród, krótkie spięcia i cieknie na każdym piętrze. Papiery ma nie w porządku, sprawdziłem to zanim na niego doniosłem do biura imigracyjnego.

- To jest facet z gatunku tych co mogą człowieka ukatrupić bez cienia wahania.

- Nawet nie wiesz jak dokładnie to określiłaś.

- Grożono ci?

- Nawet gorzej.

Zatrzymał samochód przy chodniku w miejscu, gdzie śmietniki wyglądały jakby zapomniano o nich. Koty i szczury walczyły o znajdujące się w nich resztki. Trzaśnięcie drzwi i odgłos kroków przepłoszyły całą tę faunę, która powróciła do igraszek zaraz po przejściu intruzów.

Sébastien wskazał na wielkie, metalowe drzwi, takie same jak pozostałe w ciągu zrujnowanych magazynów. Jednak na prawo od nich widniał dzwonek, na wpół ukryty pod zardzewiałym daszkiem...

- To tu - powiedział.

Czyż nie było cudem, że w tym porcie na krańcu świata, z dala od Manhattanu, z dala od Ameryki, na tym kotwicowisku porzuconym przez załogi i ich okręty, już po pierwszym dzwonku stare drzwi na zawiasach uchyliły się, by ich przepuścić?

- Kilka dni temu wyłamano mój zamek - powiedział Sébastien kiedy czekali na dźwig towarowy. - Jestem pewien, że to jeden ze zbirów Chińczyka. Mnie nie było tego wieczora, a mój przyjaciel siedział w toalecie. Usłyszał hałas i nie tracąc czasu na ubranie się wyszedł zobaczyć co się dzieje. W wejściu spotkał jakiegoś Chińczyka z nożem, który powiedział, że pomylił drzwi i wykonał zwrot, po czym błyskawicznie zbiegł po schodach. Nie włamał się przypadkowo. Niewątpliwie w ostatniej chwili zdał sobie sprawę, że nastąpiła pomyłka co do osoby. To mnie, jak sądzę, miał uciszyć.

- Albo zabić.

- Możliwe.

Wielki dźwig towarowy kołysał się i powoli poprzez turkotanie silnika, z mrocznego przesmyku zaczęły do nich dochodzić dźwięki muzyki.

- Myślisz, że mnie wpuszczą? - pytała Elvire.

- Tak, bo jesteś ze mną.

Widując Sébastiena od wielu, wielu lat nie przyglądała mu się i tam, w dźwigu, przy oświetleniu, jego rysy nabrały jakiegoś nowego wyrazu. Ostrość neonówki wydobywała kontrast pomiędzy górną a dolną częścią jego twarzy. Spojrzenie w kolorze spranego błękitu było łagodne i wrażliwe, mały, szczupły nos posiadał tę samą kruchość, podczas gdy kwadratowa szczęka świadczyła o silnej woli mogącej graniczyć nawet z uporem. Wydatne i ruchliwe usta pod jasnym wąsem wyrażały ironię i łakomstwo zdolne do pokonania wszelkiego rozczarowania.

W chwili gdy dźwig zatrzymał się na piętrze, Elvire rozpo-

znała głos Marleny Dietrich śpiewającej „Lili Marlene”. Po białym, klinicznym świetle neonówki z dźwigu wchodziło się prosto do bardzo mrocznej i bardzo obszernej sali. Przynajmniej można sobie było wyobrazić ogrom przestrzeni, gdyż w ciemności dawało się tylko domyślić krańców pomieszczenia, nie mogąc ich dostrzec naprawdę. Mężczyźni tłoczyli się przy niklowanym barze, który wił się wzdłuż ściany.

Nie zwrócono najmniejszej uwagi na ich pojawienie się, ale niektórzy przesłali pod adresem Sébastiena jakiś znak, spojrzenie lub uśmiech. Gardłowy i przeciągły głos Marleny Dietrich, zapomniana piosenka, marnie umeblowana wielka sala i odrapane ściany dawały mężczyznom zbitym w grupki przy barze wygląd zdemobilizowanych żołnierzy.

- Usiądź na kanapie - powiedział Sébastien. - Przyniosę ci coś do picia. Na co masz ochotę?

- Wszystko jedno, byle coś mocnego.

Złapała go za ramię w ostatniej chwili.

- Ty, ci twoi przyjaciele nie wyglądają na wesołych. Nigdy się nie rozkręcają?

- Na ogół jest tu znacznie weselej. Być może jest trochę za wcześnie.

Marlena zamilkła i rock obryzgał rozprute pufy, wytarte kanapy, zniszczone fotele. W trampkach pojawiła się niecierpliwość, a pod skórą przebiegło drżenie, jednak każdy pozostał na swym miejscu jakby głos piosenkarki - gdyż to znowu kobieta wypełniała przestrzeń swoją gwałtownością i przemocą - był zaledwie preludium. Cały środek pomieszczenia był przeznaczony dla tancerzy i żaden mebel nie mógł przeszkodzić ich ewolucjom. Parkiet, na razie pusty ukazywał podłogę, którą częste mycie odbarwiło całkowicie.

Oczy Elvire przyzwyczajały się do ciemności, na peryferiach odkrywała różnorodne przedmioty: konia z łękami, drabinę i rząd kabin o wyblakłych kolorach mogących nasuwać na myśl kabiny plażowe pod koniec sezonu. Wszystko to sprawiało wrażenie zaniedbania, toteż klienci

pozostawali zgromadzeni przy niklowanym kontuarze. Byli to w większości biali, a nawet blondyni. Ze swymi fryzurami i nienagannymi ubraniami przybywali z biur na Wall Street i ledwie mieli czas na zdjęcie krawata i rozpięcie koszuli. Za to obaj czarni barmani wystawiali na pokaz w charakterze napierśników na swych wspaniałych, wytatuowanych i bezwłosych torsach spłoty złotych łańcuchów.

Niedaleko Elvire, na kozetce z ciemnoczerwonego weluru onanizował się jakiś mężczyzna przewiesiwszy apatycznie nogę przez najwyższy z zagłówek. Jego ręka zdawała się poruszać w rytmie rocka, a nieruchome oczy i lekko opuszczone powieki o długich rzęsach nadawały jego twarzy wyraz jakiejś pilności. Pewnej nocy Elvire poprosiła Alassane'a, żeby się przed nią onanizował. Po oporze i późniejszych wahaniach wreszcie się zgodził. Po raz pierwszy - powiedział - prosiła go o to kobieta. Chciała zobaczyć jak przeżywa rozkosz ten mężczyzna tak niechętny wobec wystawiania siebie na pokaz, jak ulega szaleństwu. Nie wiedząc o tym, przywiodła go po raz pierwszy do zrobienia wielu rzeczy i jeśli nie żałowała niczego, co wspólnie dzielili, czuła, że zaciągnęła go za daleko, zbyt szybko. Teraz, kiedy już nie pragnął jej ciała, sądziła, że odkryła u niego coś w rodzaju obrzydzenia. Czyż nie była w jego oczach najbielszą z białych, symbolem wszelkiego bezeceństwa? Nie, to nie białej się obawiał, a tym bardziej nie szefowej F.M.O., lecz tego kobiecego spojrzenia na męską rozkosz. Rzec można było, że łamiąc regułę ośmieliła się wślizgnąć cichcem do chaty przeznaczonej do odprawiania rytuałów inicjacyjnych. Dlaczego nie zrozumiał, że nieprzyzwoitość nie leży w miłości, lecz w jej odmowie? Że nie jest bezwstydną oddać się, lecz usiłować się powstrzymać? Ku której Afryce bał się powrócić, kiedy w nią się zagłębiał? Czy bardziej nie obawiał się siebie samego niż Elvire?

Zaczął ją ogarniać chłód na tej pustyni pełnej długich cieni, gdzie nikt na nikogo nie patrzył. Sébastien podał jej

szklankę, a ona jednym haustem wypila palącą, lodową wódkę.

- Chętnie wypiłabym drugą - powiedziała wstając.

- Przyniosę ci.

- Strasznie tu ponuro - powiedziała i zaczęła kręcić się wokół własnej osi, jak bąk.

Mówiła głośno, lecz jej słowa zostały zagłuszone przez muzykę rockową.

- Zapewniam cię, że nie zawsze tu tak jest - odparł.

Uchwycił ją w tali i jej wirowanie zostało przerwane.

- Chcesz żebyśmy stąd poszli?

- Nie, przynieś drugą szklankę i jakoś to pójdzie.

Elvire odczuwała wstręt do własnego ciała odkąd Alasane już jej nie pożądał. Bałagan w mieszkaniu coraz bardziej się wokół niej zacieśniał. Była winna, że nie natchnęła Alasane'a prawdziwą miłością. Na kilka dni przed urodzeniem się małej Fatou miała odwiedzić siostrę do Saint-Genet i to nowe rozstanie było rozdzierające. Winna, Elvire była podwójnie winna. Wraz z Alasane'em mogła była zatrzymać Marie w Nowym Jorku. O ile nigdy nie odmawiał jej pomocy, o tyle wiedziała, że jego miłość się wymyka. Przez swój błąd straciła ich oboje.

Sébastien nadchodził ze szklankami i ona swoją opróżniła natychmiast. Nie lubiła alkoholu, lecz upojenie.

- Mam pomysł - rzekła.

- Tak?

- Po co od innych oczekiwać rozrywki? Zabawimy się we dwoje.

Postawiła swą pustą szklankę na kanapie i zaczęła rozpinąć Sébastienowi koszulę i pasek.

- Nie wiem co z tego wyniknie - powiedział. - Całkiem odzwyczaiłem się od kobiet.

- Ja również - odparła Elvire - nie pamiętam zapachu mężczyzny.

Podwinąwszy swą czarną sukienkę o długich rękawach,

zakończoną golfem uklękła na poduszkach kanapy i rozchyliła spodnie swego przyjaciela, który przed nią stał. Najpierw musnęła językiem jego pierś pokrytą jasnym puchem, gdy tymczasem Sébastien rozpinał zamek błyskawiczny sukienki, który otwierając się od góry do dołu odkrywał pomiędzy dwiema czarnymi połami piersi Elvire i jej majteczki, również czarne. Nie ściągnęła całkiem ubrania, lecz pozbywszy się swych pęt mocno zagłębiła się w poduszkę, o wiele przyjemniejszą dla kolan niż ubita ziemia na esplanadzie w Lourdes. Później odnalazła członka przyjaciela i zaczęła go rozgrzewać w ustach, gdzie wódka pozostawiła swe palące piętno.

Umiała się posługiwać językiem równie dobrze jak kochankowie Sébastiena i dość szybko uzyskała dowód swej skuteczności. Przyjaciel wyprzedzał teraz jej pieszczoty i przyciskał do brzucha głowę Elvire. Krew pulsowała. Rock pulsował jeszcze mocniej. Och, zapach, który wdychała nie był zapachem ukochanego mężczyzny, nie było w nim ani słodczy, ani aksamitu, ani rzęskiego potu, ani przemieszanych wydzielin dwojga zakochanych ciał, ani siły, ani łagodności, ani tej trudnej do zdefiniowania mieszanki, którą rozpoznaliby z zamkniętymi oczami, zwłaszcza z zamkniętymi oczami, za której pachnącym śladem mogłaby podążać jak pies za zapachem swego pana. Elvire i Sébastien po prostu bawili się wspólnie w dziecięcą zabawę zawierającą swoją dawkę czułości i prowokacji.

Jednak Elvire lubiła upewniać się, że jej ciało nie straciło całej swej mocy i że drugie ciało odpowiada na jej pieszczoty. Znów się widziała jako mała dziewczynka przy kołysce Marie. Niemowlę uparcie tkwiło w ciszy i bezruchu. Tyle słów, tyle pieszczot, a w zamian żadnej odpowiedzi. Dlaczego Marie nie wyciągała do niej przynajmniej ramion, jak to czyniły wszystkie inne siostrzyczki? Elvire wzięła jedną ze szpilek niańki i tylko odrobinę wbiła jej czubek w mleczone ciało niemowlęcia. Pojawił się niewielki ślad na udzie

dziecka, lecz Marie nie wydała najmniejszego krzyku, ani nie wyciągnęła rąk.

Elvire kontynuowała swoje dzieło z Sebastienem. W półmroku wielkiej sali spojrzenie kilku ciekawskich zatrzymało się na ich poczynaniach. Janis Joplin, tak Janis Joplin, którą Elvire otaczała prawdziwym uwielbieniem, wykrzykiwała swą rozpacz i przekreślała z wściekłością jakiejkolwiek próby rozmowy. Jej głos sugerował najpierw atak hysterii, lecz później odkrywało się jego potęgę. Piosenkarka zdawała się być unoszoną przez zderzający się samochód, który zgyzakował pośród wszelkich kolizji.

Dwaj, lub trzej klienci zbliżyli się do Elvire i Sebastiena, potem pozostali mężczyźni oderwali się od niklowanego baru i podchodzili coraz liczniej, by utworzyć krąg wokół tej pary. W tym magazynie, który przykrył zasłoną anonimowości wszystkie uściski, w jakim sposób można było tego wieczora przejawiać aż tyle zainteresowania dla tak banalnej czynności? Czy bywalcy chcieli intensywności swych spojrzeń nakłonić Elvire do większego umiarkowania w działaniu? Czy złamała prawo gościnności i sprofanowała miejsce przeznaczone wyłącznie dla mężczyzn?

To jednak nie był wrogi szept, który zdawało jej się, że słyszy dookoła. Dostrzegła nawet w oczach widzów zachętę, a na ustach kilka komplementów. Czy jej ciało porzucone przez Alassane'a pomimo wszystko zachowało nadal swą uwodzicielską moc? Jak ci mężczyźni którzy nie lubią kobiet mogli składać jej hołd? Działo się coś dziwnego, co bynajmniej jej nie niepokoiło, lecz zachęcało do kontynuowania swego dzieła. Zdawało się, że na Sebastienie nie robi żadnego wrażenia obecność i entuzjazm kibiców. Z tego powodu jego podniecenie wzrosło tylko w niewielkim stopniu. Pociągnął jednak do tyłu czarną sukienkę, by lepiej obnażyć ramiona Elvire i wystawić jej bladość na widok wszystkich. W mroku ta kobieca skóra posiadała fosforescencję przykuwającą wzrok i wzbudzającą pełen podziwu

pomruk. Komplementy zwielokrotniły się kiedy rozkosz zatrzęsała udami Sebastiena. Jego brzuch falował. Napręzał mięśnie, nóg, ramion, piersi. Później chciał już tylko ulec unicestwieniu i bez westchnienia, bez jęku rozpuścił się w ustach Elvire. Ona pochłonęła cały sok przyjaciela, tak jak lubiła wypijać aż do ostatniej kropli morską wodę z muszli ostrygi. Kurtyna właśnie opadła, a ona zostawiała swego towarzysza czystego i zaspokojonego. Czyż nie była dobrą pracownicą? Publiczność wokół zdawała się doceniać jej zasługi. Niektórzy przyznawali jej francuskiej narodowości niejakię zalety.

- Czy są u was przybytki tego rodzaju? - pytano egzotyczną parę.

W odpowiedzi Elvire słyhać było pewne zakłopotanie, lecz nie miała czasu na docenienie zainteresowania, jakie wzbudzała. Dźwig towarowy właśnie zatrzymał się na piętrze i przy piekielnym zgiełku chrzęszczącego metalu i donośnych głosów wysypywali się z niego umundurowani i uzbrojeni policjanci. Najwyraźniej ci ostatni nie przybyli tu dla rozrywki. Jednak ich pojawienie się nie wywołało pośród publiczności najmniejszej paniki. Zamiast zdradzać zaskoczenie, twarze były jedynie naznaczone zmęczeniem. Rzec by można, że ten policyjny nalot był przewidziany już od dawna.

- Tym razem to już koniec. Szlag trafił, wszystko szlag trafił.

Elvire usłyszała jak jakiś anonimowy głos szepce jej te słowa do ucha, podczas gdy dwaj policjanci podchodzili w ich kierunku.

- Pani dokumenty? - poprosił mężczyzna w mundurze i dodał pod adresem Sebastiena: - niech pan również pokaże swoje papiery. Elvire starannie podciągnęła suwak swej sukienki.

- Ale dlaczego oni? - zapytał jeden z klientów. - Oni są tu tylko przelotem.

Po nadejściu policji ktoś wyłączył muzykę. Słowa i kroki dziwnie rezonowały w pustce wielkiej sali. Nie wychodząc zza lady jeden z czarnych barmanów powiedział do policjantów:

- Zamykamy, zamykamy! Nie warto robić afery.

- Przecież was ostrzegaliśmy - odpowiedział mu potężny blondyn, któremu najwyraźniej spieszo było z tym skończyć.

- Czy ktoś się sprzeciwia? - odparł barman obwieszony złotymi łańcuchami. - Pozwólcie nam działać i obiecuję wam, że za pięć minut nie będzie tu nikogo.

- Pięć minut, pięć minut nie więcej - podjął olbrzym. - Bo inaczej zabieramy całe towarzystwo.

- Za bardzo się boicie zarażenia!

- Powinno się tu zrobić porządek przy pomocy miotacza ognia.

Olbrzym powiedział jeszcze, że ma po uszy szcurków, śmieci i pedałów, po czym zwałił się na kanapę ze wzrokiem ostentacyjnie wbitym w zegarek.

- Pięć minut, nie zapomnijcie. Bo myśmy jeszcze nie skończyli naszej roboty. Dziś wieczór zamykamy wszystkie wasze zasrane knajpy pełne wirusów.

- Napije się pan kieliszek kapitanie, kiedy my będziemy się pakować? - zapytał Murzyn z ironicznym uśmiechem.

- Ale! Nie pijam z brudnych szklanek, zamiast błaznować, lepiej się pośpieszcie, chłopaki. Za pięć minut wszyscy mają być na zewnątrz, a na drzwiach pieczęcie. Doki zostaną zwrócone ich właścicielom - szcukrom. Biedne zwierzątka, skazane na bieganie po waszych śladach. Będziecie odpowiedzialni jeśli złapią od was aidsa!

- Zamknij się na Boga! Bo jak nie, to ja ci zamknę ten...

Jeden z klientów czekających na dźwig chciał się rzucić na policjanta, lecz czterem innym udało się go złapać w biegu i powstrzymać w miejscu.

- Uspokój się. Po co ci mają nakłaść po mordzie? - zapytał jeden z przytrzymujących.

Policjanci zgromadzili na środku sali kilka rozprutych foteli, na które opadli, żeby wygodnie obserwować nieskoordynowane ruchy tych dziwacznych insektów, którym właśnie rozwalili mrowisko.

- A więc to było to - powiedziała Elvire do Sebastiena. - Ty o tym wiedziałeś?

- O czym?

- Że to jest ostatni wieczór i że jesteście ostatnimi gośćmi w ostatni wieczór?

- Wiedziałem o rychłym zamknięciu, lecz nie miałem pojęcia, że to nastąpi dzisiaj. Masz mi to za złe?

Zamiast odpowiedzi zaczęła się śmiać, a jej śmiech trwał długo wzbudzając powoli coraz to nowe śmiechy. Śmiech afrykański dokonywał spustoszeń. Nie był to śmiech wesoły i świeży o dziecięcym brzmieniu. Nie był to również śmiech amerykański, cały w dźwiękach, białych zębach i sztucznych szczękach, śmiech zwycięzców, gwiazd mody, czy polityki. Był to przejrzysty śmiech Alassane'a, który drapał w gardło i kaleczył wargi swym ostrym i lodowatym humorem. Alassane zaszczerpił jej w ciało ten niewyczerpalny śmiech, jaki rozsypywała dookoła na swej drodze nigdy nie wyczerpując źródła.

Dźwig powrócił na piętro.

- Pierwsza tratwa ratunkowa! - krzyknął ktoś. - Statek tonie, wszyscy do morza.

Drzwi otworzyły się ze zgrzytem żelastwa, a Sébastien ciągnął za ramię Elvire, by też zabrała się w tę podróż. Jednak nie było żadnej przepychanki. Nawet jeśli statek przechylał się, to wszyscy i tak wiedzieli, że nie utonie w ciągu najbliższych minut. Na zewnątrz będzie zimno. Na zewnątrz na pewno będzie padało. Wszyscy milczeli w tym ostatnim przejściu prowadzącym w noc. Elvire wiele straciła ze swej dumy. Wszyscy ci mężczyźni, których, jak sądziła,

udało jej się poruszyć, wszyscy ci bywalcy knajpki, u których, jak myślała, wzbudziła jakieś niejasne pożądanie, wszyscy ci podglądacze stłoczeni ramię przy ramieniu, patrzący jak ona, biała pomiędzy dwiema czarnymi połami sukienki, pieści w ustach pięknego członka, w gruncie rzeczy nie podziwiali ani jej skóry, ani jej piersi, ani jej możliwości. Jedyne godny uwagi element w tym przedstawieniu stanowił fakt, iż był on ostatni. Sébastien i Elvire jako jedyni nie mieli o tym pojęcia.

Był to jeden z tych poranków kiedy nic się nie udaje. Alassane czekał ponad pół godziny na Sebastiena w F.M.O. Mieli pojechać razem i dostarczyć materiał ekipie zdjęciowej, a potem udać się z reżyserem do agencji, żeby mu pomóc w wyborze statystów. Zniecierpliwiony Alassane zadzwonił do domu eks-fryzjera. Kochanek Sebastiena odpowiedział mu, że nie umie wytłumaczyć tego spóźnienia. Widział, jak jego przyjaciel wychodził półtorej godziny temu, toteż powinien być na miejscu już od dawna. Wówczas Elvire poradziła Alassane'owi, by dłużej nie czekał. Mógł sobie doskonale sam poradzić. Poza tym nie miał najmniejszej ochoty na dalsze przebywanie w biurze.

Elvire wyglądała jak za najgorszych dni. Powieki miała spuchnięte od snu, lecz źrenice lśniły wszystkimi sztucznymi kolorami, a w głosie i w gestach można było zauważyć rozgorączkowanie, które nie wróżyło niczego dobrego. Alassane'owi zdawało się, że czuć od niej zapach spermy, jaką jakiś nocny gość bawiący przejazdem pozostawił na samym dnie jej bałaganu, zapach czegoś mdłego i wywołującego mdłości, czego nie mógł znieść. Z trudem rozpoznawał w tej kobiecie Elvire, która go wzruszyła bardziej niż ktokolwiek na świecie. Patrząc jak porusza się przed nim, słyszał jak mówi bez ustanku, nic już nie było w niej z małej dziewczynki z wózkiem. Zdawała się być opanowaną przez loa, jak to nazywają

na Haiti, gdzie Alassane niedawno zrealizował film o woodoo, który miał nadzieję sprzedać telewizjom afrykańskim. Mając nagą twarz i potargane włosy Elvire była opętana przez rozpacz, a odpowiedzialność za nią zrzuciła na Alassane'a.

Na Piątej Alei, na wysokości Czterdziestej Trzeciej Ulicy ruch został przerwany. Ludzie dzielili się nowinami z samochodu do samochodu. Niektórzy twierdzili, że to manifestacja związkowców spowodowała korek, zaś inne źródła informacji podawały wiadomość o przejściu pochodów folklorystycznego dolną częścią ulicy z fanfarami i rozpostartymi proporcami. Alassane zostawił limuzynę na samym środku jezdni i pobiegł do kabiny telefonicznej. Podejrzewał, że Elvire chciała jeszcze bardziej utrudnić mu zadanie odmawiając zainstalowania telefonu w samochodzie. Na mnie trzeba zasłużyć - twierdziła, choć sama wymagała od niego, żeby nie ociągał się dłużej niż godzinę z zatelefonowaniem do niej. Za każdym razem musiał wspinać się na szczyty bohaterstwa, by być jej posłusznym.

- To ty? - odpowiedziała natychmiast nie próbując nawet ukryć rozczarowania i zdyszenia w głosie.

- Tak, to ja. Chciałbym żebyś poinformowała ekipę o moim spóźnieniu.

- Miałam nadzieję usłyszeć głos Sébastiena.

- Żadnych wiadomości?

- Żadnych.

Po długiej ciszy, która wytworzyła między nimi dystans, jakiego nie tłumaczyła geografia, dodała:

- Wiem, że kiedy nie będziesz już mnie potrzebował, każesz mi czekać przy telefonie na wiadomość od ciebie. Lecz Sébastien jest tak punktualny, tak sumienny, że podobne zachowanie nie leży w jego naturze. Przyznaję, że nie rozumiem.

- Jesteś zaniepokojona?

- Brak mi twojej obojętności.

Ruch powoli wracał na Piątą Aleję i nieruchoma limuzyna, stojąca pomiędzy dwoma jej brzegami wydawała się tym, którzy musieli ją ominąć, powodem tego całego zamieszania. O tę rafę rozbijały się kłątwy i czarny szofer musiał przebrnąć przez nurt przy wtórze klaksonów i przekleństw. „Głośniej, głośniej” - krzyczał wkoło, żeby jeszcze bardziej rozbudzić wściekłość rozbitków, którzy odpływali kaskadą z prądem, w swych wątlących łupinach.

Tego ranka Alassane miał w głowie inne zmartwienia. Nie mogły go osiągnąć ani okoliczne wrzaski, ani niepokój Elvire, ani nawet jej jadowne słowa. Ona już od dawna stała się niezdolna do ocenienia sytuacji bez wtrącania do tego prosto z mostu jakichś wyrzutów. Czyż w takich warunkach nie było naturalne, że miała mu za złe spóźnienie Sebastiena i lęk, jaki z tego powodu odczuwała? Czyż Alassane nie był jedynym odpowiedzialnym za chaos całego świata? Czyż nie narobił bałaganu w jej głowie, w biurze i w mieszkaniu? Czyż nie uniemożliwił ostatecznego zamieszkania Marie w Nowym Jorku? Czyż niekonsekwencja jego postępowania nie rozregulowała systemu odmierzania czasu? Chłód i upał, to był on. Burze i katastrofy, to znowu on. Nieporządek w biurze i awaria samochodu, zawsze on. Ginące paczki i gwałt na ulicach, on, on, on. I jednonocni kochankowie, pozostawiający na Elvire oślinione ślady - czyż nie należało odpowiedzialności za nich przypisać jemu? I czyż aids brukający podbrzusze Manhattanu nie zrodził się z afrykańskich wyziewów?

Były jednak rzeczy ważniejsze niż wymówki Elvire. Tego poranka po raz pierwszy nie odczuł ogarniającej go radości na samą myśl o córce. Fatou, mała Fatou, taka duża, taka piękna, taka żywa, jej obraz był w nim zawsze obecny, tak że nie potrzebował nawet oglądać zdjęć, Fatou już nie nazywała się Fatou. Dowiedział się o tym dzień wcześniej. Była to niedziela i Bella zorganizowała obiad rodzinny. Na tego rodzaju uroczystości wybierała zawsze niedzielę, gdy Alas-

sane zajmował się dzieckiem. Posługiwała się tym wybiegiem, żeby przerwać wcześniej niż było przewidziane zażyłość pomiędzy ojcem i córką, o którą była zazdrosna i aby zmusić Alassane'a do poddania się rodzinnej monotonii. Lecz wielka ryba z senegalskich wód była twardsza niż się spodziewano. Kuzyni z Harlemu robili błąd widząc wyłącznie naiwność w Murzynie czarniejszym od nich. Nie miał ochoty połknąć haczyka, którym przed nim poruszano. Pomimo uprzejmości kuzynów Alassane nie przestawał podkreślać swego upodobania do pełnego morza.

Wczoraj jednak Bella przekroczyła wszelkie granice. Udał się do niej rankiem piechotą trzymając małą rączkę Fatou w swej dużej dłoni. Kiedy byli w północnej części Central Parku jakiś dziwny, szarofioletowy promień przeszywał z krańca na kraniec mroczne niebo. Alassane zapomniał zabrać szalika i czuł jak przejmuje go chłód. Z ostrożności i instynktownie pochylił się nad Fatou, aby zapiąć jej pikowaną bluzę, lecz mała odepchnęła go brutalnie. Nie było jej zimno, nie znała Afryki i aby wykazać swą niezależność puściła rękę ojca i zaczęła iść przed nim. Ze swymi małymi warkoczykami nastroszonymi wokół głowy jak anteny już była małą Amerykanką, silną i stanowczą, zdolną stawić czoła ulicy i chładowi. Przez ciało Alassane'a przebiegł lodowaty dreszcz i miał wrażenie, że nadchodzi jego własny zmierzch.

Przez cały obiad Bella okazywała Alassane'owi pełny szacunek, poddając każde danie jego ocenie, nakłaniając go do częstowania się przed najstarszymi członkami rodziny. Starała się podkreślić, że zajmuje miejsce, które prawnie mu się należy. Trzeba stwierdzić, że w początkowym okresie ich znajomości udało jej się pochwycić go w pułapkę swego poddaństwa. Przy niej czuł się panem, szefem, mężczyzną. Do tej właśnie roli przygotowała go Yaye i myślał, że matka mogłaby być z niego dumna. Bella skorzystała z jednej z podróży do Senegalu, dokąd towarzyszyła grupie tury-

stów, by udać się do Yaye. Matczyne namaszczenie uczyniło ją wewnętrznie jeszcze bardziej zdeterminowaną, a zewnętrznie bardziej uległą. Teraz Alassane wiedział już, ile było afektacji w jej łagodności. Opieszalskość jej ruchów, słodycz głosu skrywały wolę tym straszniejszą, iż umiała być nieugięta, nie wykazując przy tym najmniejszego pośpiechu, najlżejszego zniecierpliwienia.

Przy deserze, kiedy zwielokrotniła częstotliwość używania słowa „darling” i uderzyła w pieśczętliwe tony, natychmiast obudziła nieufność Alassane'a. Po tym co wtedy usłyszał odjęło mu mowę. Delektując się apple pie obficie posypanym cynamonem, Bella powiedziała, że kilka tygodni wcześniej ochrzciła Fatou, i że Fatou już się nie nazywa Fatou. Dorzuciła do jej imienia afrykańskiego imię chrześcijańskie. Od tej chwili ich córka stała się Louise Fatou.

Olbrzymka przejechała koniuszką języka po grzbiecie łyżeczki, gdzie osiadł cynamon. Przy pomocy tego samego leniwego, lecz zdecydowanego języzka uświadomiła go tęsknym szeptem, że ich córka już od kilku tygodni jest chrześcijanką. Louise Fatou - czy to miało jakiś sens? Nie umiał znaleźć odpowiedzi. Gdyby nie było innych, wszystkich, matki, babki, wujków, ciotek, kuzynów najchętniej by udusił Bellę. Czyż nie brał właśnie, nie wiedząc o tym, udziału w obiedzie wydanym dla uczczenia nowej Louise Fatou? Louise, Louise, dlaczego Louise? Louise jak Saint-Louis, stolica francuskiej kolonizacji. Louise, jak Luizjana, ze swą ziemią, kamieniami i murami, które będą krzyżeć po wsze czasy. Louise Fatou, piękna, mała chrześcijanka, córka Alassane'a, wnuczka Yaye. Czyż to nie była zbyt duża cena za chęć zostania ojcem Fatou i odmowę zostania mężem Belli? Czyż nie miał przeciwko sobie amerykańskiego prawa i woli olbrzymki? Czy był gotów porwać Fatou? I powrócić z nią do rodzinnego kraju? By przez całe życie marzyć stojąc na urwisku w Soumbédioune o niemożliwej podróży? Dlaczego kobiety, wszystkie kobiety, małe, duże, czarne czy

białe, Bella, Yaye, Elvire, Louise Fatou, dlaczego wszystkie te kobiety usilnie starały się wzbudzić w nim wszelkie sprzeczności, które z dnia na dzień coraz bardziej ciążyły na jego postępowaniu? Alassane wstał od stołu bez słowa i zabrał Fatou ze sobą. Nie zapomnij jej przyprowadzić na czas - dorzuciła Bella, której głos utracił aksamitne brzmienie. Przez całe popołudnie włóczył się po Central Parku jak inni ojcowie, którzy tej niedzieli mieli opiekę nad dziećmi.

Natychmiast po przybyciu na miejsce kręcenia filmu Alassane przekazał materiały kamerzyście i złapał za telefon. Linia Elvire nie odpowiadała. Sebastiena również. Wykręcił więc numer sekretariatu i Jimmy odpowiedział mu oschle, że ponieważ Elvire musiała natychmiast opuścić biuro, daje mu Georges. Każdy telefon zdawał się przeszkadzać Jimmy'emu i zmuszał go w nieoczekiwany sposób do opuszczenia tej zastrzeżonej krainy, w której poruszał się w towarzystwie gwiazd wysłuchując ich kaprysów i wyników giełdowych. Za to Georges zawsze był miły i gadatliwy. Tego poranka jednak w jego głosie słychać było jakieś zakłopotanie.

- Co słychać Georges?
- Kiepsko z Sebastienem.
- Dzwonił?
- On nie, policja.
- Coś mu się stało?
- Ktoś go stuknął na stacji Delancey Street.
- Stuknął?
- Kula.
- Żyje?
- Nie wiem. Policja znalazła przy nim numer biura i podała adres szpitala Elvire. Już tam pewnie jest. Czekał na wiadomości.
- Jadę tam. Gdzie to jest?
- Nie wiem. Wybiegła biegiem i nic mi więcej nie powiedziała.

- Dobra. Wracam możliwie jak najszybciej.

Reżyser obawiał się, że stanie z robotą jeśli jeszcze tego dnia nie będzie miał statystów. Alassane już go nie słuchał. Za kierownicą limuzyny ponownie przekroczył policyjny kordon otaczający teren kręcenia filmu. Cóż się stało temu głupiemu Sébastienowi? Miotał pod adresem przyjaciela soczyste klątwy na przemian po francusku i po amerykańsku. Niemożliwe. To było niemożliwe. Stuknięto Sébastiena? Ale co to znaczyło? Mruczał pod nosem, żeby oszukać własną niecierpliwość i obawę. Na głos przeprowadzał rachunek ulic, które przecinał albo zbyt późno, albo zbyt wcześnie, igrając ze światłami na skrzyżowaniach, wymyślając sobie przeszkody. Szybciej, szybciej, nigdy wyspa Manhattan nie wydawała mu się tak długa, tak wąska, tak rozciągnięta. Czyż nie potrzeba było całej wieczności, aby ją pokonać mając przeciwny wiatr prosto w maskę? To niemożliwe - powtarzał widząc Sebastiena potrząsającego dumnie swoim nowym paszportem. Trzy tygodnie temu, może miesiąc, po ciężkiej walce Sébastien otrzymał obywatelstwo amerykańskie. Kiedy Alassane po raz pierwszy postawił stopy w F.M.O. był jeszcze najślawniejszym fryzjerem w SoHo. Tego dnia obcinał włosy Elvire, a ona śpiewała na całe gardło piosenkę Janis Joplin: „Bye, bye, Baby”. Widział opadające kosmyki, słyszał tragiczne akcenty w żałobnej pieśni. Jakież to wszystko było zarazem dalekie i bliskie! Tylko o tym nie myśleć. Czy przywoływanie tych wspomnień nie oznaczało pogodzenia się ze śmiercią Sébastiena? Nie, nie powinien o tym myśleć. Sébastien wyjdzie z tego. Był w niebezpieczeństwie, po prostu w niebezpieczeństwie. To jego przyjaciel dostał kulę na stacji Delancey Street, lecz Elvire, Georges i on sam, Alassane mogli w ten sam sposób stać się celem. Wygnanie czyni człowieka do tego stopnia wrażliwym, że najmniejszy prztyczek może go wrzucić do morza.

W chwili gdy limuzyna podjeżdżała pod F.M.O. ujrzał Elvire wysiadającą z taksówki. Miał tylko czas ustawić

samochód przy krawężniku i wyskoczyć w jej kierunku. Na swych wysokich obcasach biegła drobnym kroczeniem ze swoją nieśmiertelną torebką przyciśniętą do pasa. Jej biodra poruszały się skokami. Alassane rozpoznałby tę sylwetkę między tysiącem, między dziesięcioma tysiącami, między wszystkimi ludźmi. Kiedy ją zawołał, jego krzyk był pełen czułości i lęku. Natychmiast odwróciła ku niemu twarz poraną bólem. Mała dziewczynka z wózkiem stała jak skamieniała, a jej bezkształtna torebka roztrzaskała się na podłodze uwalniając niewiarygodną rupieciarnię. Nie miał nawet czasu na zadanie pytania: „Czy on...?” Ona powiedziała tak i ze szlochem padła w jego ramiona.

Sébastien zmarł nie odzyskawszy przytomności, wkrótce po przewiezieniu go do szpitala. Kiedy Elvire wpadła na ostry dyżur, kształt jego ciała nieruchomego na zawsze przejęło już prześcieradło. Kula musiała zostać wystrzelona prosto w kark jej przyjaciela, tak bardzo kości czaszki i szczęki były potrzaskane. Przez całą drogę przygotowywała się na najgorsze. To co ujrzała gdy zsunęto całun przesycony krwią było gorsze od najgorszego i nigdy nikomu o tym nie opowiedziała. Nawet ruda z Saint-Genet, która rzygała swoim gównem w otchłaniach jej koszmarów stanowiła miłe widowisko wobec tego, co odkryła tego poranka. Jednak ciało Sébastiena było nietknięte, z lekką opalenizną na całej, jasnej skórze i z tym szczególnym spokojem, jaki wyrażają ciała chłopców spoczywających we śnie, na plaży, latem. Elvire złożyła delikatnie wargi na jeszcze ciepłym członku mężczyzny, który nie miał już głowy.

W następnym tygodniu F.M.O. w komplecie udało się do Port Jefferson, by rozsypać prochy Sébastiena w małym ogródku przy jego małym domku. Kupił go dwa lata wcześniej za to co pozostało z dawnej świetności po procesie i likwidacji salonu fryzjerskiego. Bo Sébastien chciał być bar-

dziej amerykański, niż Amerykanie, i w mieście, gdzie przez długi czas ludziom nie posiadającym skrawka ziemi odmawiano prawa głosu - i o mało co prawa do życia - z niewiarogodnym uporem pragnął mieć własne poletko, które stanowiłoby jego nową ojczyznę. Zakorzenianie się było modne. Cóż z tego, że powierzchnia była niewielka, a posiadłość skromna. Miał zamiar tak głęboko zapuścić korzenie, żeby nikt nie mógł go zmusić do ustąpienia. Sądził, iż już na zawsze uczepił się owego najdalej na wschód wyciągniętego krańca tej wyspy na Wschodnim Wybrzeżu. W rzeczywistości wszystko to było prowizoryczne i ulotne. Kiedy kochanek Sebastiena przesypał prochy przez swe drżące palce, wiatr wzmógł się nagle, unosząc ku oceanowi to, co pozostało po człowieku zabitym na stacji Delancey Street. Nawet żywioty sprzysięgły się, by przeszkodzić byłemu fryzjerowi z SoHo przycumować do kontynentu, który tak bardzo kochał.

Sledztwo trwa - mówiła policja. Jednak każdy wiedział, że nie da żadnych wyników. Czyż Sebastien nie wpadł ze swym amerykańskim paszportem w dłoń w sam środek wojny jaką prowadzą na Manhattanie właściciele i lokatorzy? Niewidzialny Chińczyk nie mógł znieść, by jakiś cwaniak mieszał się zanadto w jego sprawy i posuwał się w swej zuchwałości aż do doniesienia na niego do wszechpotężnego biura imigracyjnego. Wkrótce sprawa zostanie zamknięta, a kochankowi Sebastiena nie pozostawało nic innego jak zmienić jak najszybciej mieszkanie i dzielnicę, jeśli sam nie chciał z kolei odejść w postaci dymu i popiołu.

Lato, które nastąpiło po śmierci Sebastiena, było mniej lepkie, mniej tropikalne, niż zazwyczaj. Nikt nie wziął urlopu w czasie tych miesięcy, jak gdyby wszyscy odczuwali silniej niż kiedykolwiek potrzebę stykania się ze sobą w każdej chwili. Wieczorami długo przesiadywali w biurze. Przychodzili rano zanim jeszcze upał zdążył nasycić ulice. Poza tym Elvire nigdy nie robiła przerw w lecie. Nie знаła

wakacji ani plaż w lipcu, czy sierpniu. Bardzo biała w naturalny sposób, nie znała innego słońca prócz tego promieniowania na esplanadzie w Lourdes. Wszystkie urlopy poświęcała siostrze.

Starano się nie mówić o zmarłym. Jednak od chwili jego zniknięcia coś się zmieniło w F.M.O. Bez najmniejszych wstępnych konsultacji ogłoszono pewnego rodzaju zawieszenie broni. Głosy były bardziej miękkie, gesty mniej energiczne. Każdy starał się zapomnieć o własnych problemach i lękach, by delikatnie obchodzić się z wrażliwością innych. Pomiedzy tymi murami, przez długi czas zamieszkałymi przez wszelkie szaleństwa, złości, namiętności i rywalizacje zrodziła się tajemna i pełna lęku zażyłość. Każdy, zdawało się, znalazł swoje miejsce w gnieździe.

Przy końcu tej długiej hibernacji w samym środku lata, pewnego popołudnia Elvire poprosiła Alassane'a, żeby ją zabrał na spacer.

- Dokąd chciałabyś pójść?
- Weźmy samochód i zobaczymy.

W łagodności powietrza i światła padającego już z mniejszej wysokości widać było zapowiedź jesieni. Jednak Elvire zdawała się mierzyć czas ilością samochodów, które z Alassane'em, by tak to ująć, zamieszkiwała.

- To trzeci, czy czwarty od twego pojawienia się? - zapytała.

- Czwarty, całkiem nowy. Wiesz dobrze, że je zmieniasz mniej więcej co dwa lata, lecz pozostajesz wierna białym samochodom i czarnym szoferom.

- Już czwarty!
- Pamiętam pierwszy. Był zbyt duży i zbyt piękny!
- Naprawy kosztowały mnie fortunę. Z każdej wyprawy wracałeś z pogiętą karoserią.

- Kazałem ją nawet zreperować dwa czy trzy razy na własny koszt, nic ci nie mówiąc. Już wtedy się bałem, że mnie wyrzucisz. Jak widzisz, nic się nie zmieniło.

- W dniu kiedy cię zatrudniłam... - zaczęła zdanie i celowo nie dokończyła.

- Palnęłam największe głupstwo w życiu - dokończył tonem nie znoszącym sprzeciwu. - No więc, w którym kierunku jedziemy, północ czy południe?

- Południe, niech będzie południe. Z Battery Park złożymy nasz hołd Miss Liberty.

Najwyraźniej nic nie było w stanie stłumić w Elvire tego naiwnego podziwu, jaki miała dla symboli wiary, podziwu, który łączył w jednakowym entuzjazmie Miss Liberty i Królową Dziewicę.

- Stulotka jest w kiepskim stanie - zauważył nieśmiało Alassane.

- No i co z tego? Czyż nie można kochać nawet starej i koślawej? Nie znasz się ani trochę na miłości.

Starannie powstrzymał się od repliki. W każdej chwili Elvire mogła ponownie rozpocząć działania wojenne. Wiedział, iż nie jest w stanie oprzeć się bolesnej przyjemności płynącej z czynienia mu wyrzutów. Czyż nie był odpowiedzialny za brak miłości na tej ziemi i za powszechny chaos? Nie zawahałaby się zerwać zawieszenia broni, by mu wypomnieć jego winy.

Usiedli w Battery Park pośród spacerowiczów i turystów. Stojąca na Bedloe's Island Statua Wolności była uwięziona w drewnianym szalunku. W miarę upływu lat słone wichry i burze nadgryzały ją od cokołu aż po koronę i by lepiej przywrócić jej urodę odebrano miedzianej damie jej pochodnię.

- W przyszłym roku - powiedziała Elvire - ona zrzuci te ozdoby i ukaże się całkiem nowa. Ależ zrobimy imprezę! Już nie mogę się doczekać. A ty?

- Owszem, owszem - przytaknął Alassane starając się podzielić entuzjazm przyjaciółki.

Znał Elvire na tyle żeby wiedzieć, że wchodzi właśnie w jeden z tych różowych okresów, kiedy nie toleruje niczego,

co przeszkodziłoby w klaskaniu w dłonie lub zniszczyło jej uniesienie. W takich chwilach chciała być szczęśliwa za wszelką cenę. Szczęśliwa z powodu fanfar na ulicy, uśmiechu przechodnia, szczęśliwa z powodu sukcesu piosenkarki, wyniku sportowego, szczęśliwa z powodu zwykłej radości innych. Alleluja, alleluja, śpiewane w nieprzerwanym korowodzie w Lourdes. Przede wszystkim nie należało powstrzymywać Elvire w jej rozpędzie. Szła z na wpół przymkniętymi oczami, z uśmiechem na ustach, jak Philippe Petit po linie rozciągniętej pomiędzy dwoma bliźniaczymi wieżowcami World Trade Center. Policzek wymierzony przez wiatr, albo ironia mogły naruszyć jej równowagę. Wtedy Elvire spadłaby z bardzo wysoka prosto w otchłanie rozpaczy.

„Zdusiłeś mój śmiech” - powiedziała pewnego razu do Alassane'a. A ponieważ zdziwiło go jej nagle przygnębienie, dodała: „Ty musisz zawsze się zastanowić, zawsze przeanalizować, znaleźć powody wszystkiego, nawet własnej radości. Jak mogłeś do tego stopnia zapomnieć swój kraj, swój kontynent? Ja chcę się śmiać i tańczyć ot tak, dla samej przyjemności śmiania się i tańczenia, dla własnej przyjemności”.

Elvire z zachwytem patrzyła na każdy statek pozostawiający biały ślad na powierzchni wody. Ewolucja mew, fregat i ptaszysk na ciepłym niebie wydobywały z niej pełne podziwu okrzyki podobne do tych, jakie obserwujący popisy sztucznych ogni wydają przy ostatnim bukacie. Kiedy w przypływie entuzjazmu wskazała na widniejącą w oddali Ellis Island, Alassane pomimo całej swej dobrej woli nie mógł się powstrzymać od uściślenia:

- Przez długi czas nazywano ją Wyspą Łez.
- Zamilcz, zamilcz. Niegdyś dla tylu milionów imigrantów to była wyspa nadziei. Wreszcie dobijali do portu, a Miss Liberty ich przyjmowała.
- Najpierw oznaczano ich kredą, potem sortowano. Nie-

którzy byli bezlitośnie odrzucani, inni poddawani kwarantannie.

- Przestań, smutny, stary dzikusie.
- Było ponad trzy tysiące samobójstw na Ellis Island.
- Zapamiętujesz jedynie same paskudztwa.

- Ci, którzy przybywali na Ellis Island byli biedni, lecz widzisz, byli ludzie jeszcze biedniejsi od nich: ci, którzy nie wybrali sami przyjazdu na kontynent amerykański, ale zostali przywleczeni siłą. Miss Liberty jest białą panią, a jej pochodnia nigdy nie zapłonęła dla czarnych.

- Jeśli o ciebie chodzi, to przyleciałeś samolotem i jeśli ktokolwiek wybrał przyjazd tutaj, to z pewnością ty. Jakież Soumbedioune jest piękne, gdy się na nie patrzy z drugiego brzegu Atlantyku. Jacyż piękni wydają się kolorowi bracia, gdy tylko zaczynają nikać za horyzontem!

Przywarła do niego jakby chcąc złagodzić siłę ostatnich uwag. Zamiast zareplikować otoczył ramieniem Elvire.

- Jest pięknie - przyznał, a wzrok Elvire zapłonął równie mocno jak w wieczór Bożego Narodzenia pod Centrum Rockefellera.

Później znów zwrócili swe spojrzenia w stronę pełnego morza, przytuleni do siebie, zajęci w blasku zachodzącego słońca pościąganiem za swymi marzeniami i wspólnym przeżywaniem swego ciepła. Po długiej ciszy Alassane zapytał łagodnym głosem:

- Dobrze ci?
- Tak - potwierdziła wzdychając.

Milczała przez chwilę, po czym dodała:

- Bardzo mi dobrze, tak dobrze! Żałuję tylko jednej rzeczy, wiesz czego?

- Nie.
- Że twoja córka i Marie nie są w tej chwili z nami.

Nic nie odpowiedział, lecz ona poczuła w ramieniu, którym Alassane ją otaczał coś w rodzaju skurczu. Ciągnęła jednak dalej.

- Czy nie sądzisz, że powinniśmy żyć razem, we czworo, z Marie i twoją córką?

Gwałtownie zabrał rękę z ramion Elvire i odwróciwszy się od niej zaczął akcentować każdą sylabę, jakby chciał wbić jej do głowy słowa, których ona nie chciała słyszeć.

- Moja córka ma matkę. Powinnaś to zrozumieć, ona ma matkę.

- Myślisz, że tego nie wiem? Idioto, myślisz, że tego nie wiem! Dlaczego zawsze musisz wszystko zepsuć? Powiedz, dlaczego? Jesteś zwykłym, małym facecikiem, podłym i głupim. Mam w dupie twoją córkę, matkę twojej córki i ciebie samego. W dupie!

Natychmiast wstała i usłyszała stukot jej obcasów na kamiennych płytach. W nogach i w ramionach Alassane czuł mrowienie i skurcze wszystkich nerwów. Można by powiedzieć, że chciał go schwycić taki kurczak jak ten, który wykręcał członki Marie. A jednak ten nowy atak ze strony Elvire nie powinien był go zaskoczyć. Czyż nie spodziewał się go od wielu miesięcy? Czy Elvire nie wypytywała go coraz natrętniej o córkę? Czy nie zachęcała go, żeby przyprowadził Fatou do biura? Czy nie proponowała mu z uporczywą grzecznością, by zatrzymał limuzynę na niedzielę, kiedy miał iść na spacer z córką? Odgadł, że chciała przyciągnąć do siebie dziecko, które знаła tylko ze zdjęć.

Elvire należała do ludzi, którzy bez większych szkód przechodzą przez zawieruchę, bynajmniej nie dlatego, że brak im wrażliwości - Elvire miała jej więcej niż ktokolwiek - lecz dlatego, iż chwytają się nadziei przez bardzo długi czas niezniszczalnej. Przez te ostatnie miesiące czuł się naprawdę winnym, że nie może stłumić tej fali nadziei, która znów w niej zakiełkowała. Powinniśmy żyć we czworo - powiedziała. I oto nadzieja urosła w sekrecie i pieniała się teraz jak perz. Czyż nie należało nie czekając wyrwać ją z korzeniami? Czy nie powinien zachować się brutalnie i wyrwać kiełki na zawsze? Czy już nie stracił zbyt wiele czasu?

Nie cierpiał jej krzywdzić i jego niezdolność, niechęć do hamowania zapędów Elvire stanowiła często źródło konfliktów. Tyle marnych scenek, zrodzonych ze wzajemnego niezrozumienia ustawiło ich przeciw sobie. Po walce Alassane zapominał co ją wywoływało. Wtedy pamiętał tylko Elvire opętaną niesłychaną gwałtownością, Elvire, którą ból łamał na dwoje. Można było rzec, iż jakiś wąż wślizgiwał się do jej brzucha i jak złośliwy tasiemiec najeżony haczykami szarpał jej jelita do żywego. Z ust Elvire wydobywał się potępieńczy krzyk, bardziej rozpaczliwy niż kwilenie noworodka. Palce o obgryzionych paznokciach zanurzały się w chaosie fryzury. Szarpała kosmyki całymi garściami, jakby usiłowała zerwać ze swej czaszki skórę. Wówczas jej oczy przybierały zielonkawy odcień ostryg. Wyła, że jej nie kocha, że nigdy jej nie kochał. W tym pomieszaniu krzyków i sapań ledwie mógł wychwycić słowa, które podsycaly ten szal. Nienawiść i miłość podchodziły jej do gardła falami mdłości i jęcząc wyśpiewywała niekończące się wypowiedzenia wojny poprzedzielane pełnymi uczucia wyznaniem. Patrzył przerażony jak ta kobieta wylewa swe cierpienia z zapalczywością, prowadząc ją prawie do rozkoszy.

Któregoś razu, w kulminacyjnym momencie oblędu spoliczkowała go z brutalnością, o jaką nigdy by jej nie podejrzewał i wówczas poczuł dla niej litość. Konwulsje jej ciała musiały być chyba nieznośne, skoro doprowadziły ją aż do takiego stanu. Niewątpliwie zabiłaby Alassane'a, gdyby dana jej była taka sposobność. Niewątpliwie zabiłaby się, gdyby nikogo nie miała, gdyby tam, w Saint-Genet nie istniała jej siostra, jej nieruchoma, której niepewne życie było zawieszona na jej własnym. Jesteś ciałem z mego ciała, wyła z otchłani swego nieszczęścia, a on czuł, że wołała tak o wiele bardziej do Marie niż do niego. To ciało, które wspominała, chciała zniszczyć definitywnie.

Wtedy zaczął do niej łagodnie przemawiać, aby powoli przyzwyczaiła się do tego rodzaju szeptu i, zanim zaczął do

niej docierać sens pozwalała się kołysać rytmowi jego słów i wypływającej z nich czułości. Chowała swe pazury, zaś wąż uciszał się w jej brzuchu. Kiwała się na nogach, a głos Alasane'a zdawał się rozchodzić falami na wysokości ziemi i wznosić ku górze wzdłuż ciała Elvire. Kołysanie usypiało w niej bestię. Wszystko kończyło się wreszcie łzami, a kiwające się ciało odzyskiwało chwiejny spokój.

Elvire zniknęła w Battery Park. Alassane wyruszył na jej poszukiwanie. Jego kroki były długie i ciche. W tym ucywilizowanym ogrodzie przybierał wygląd myśliwego. Musiał ją odnaleźć, gdyż nie mógł sobie wyobrazić, iż miałby być oddzielony od tej białej kobiety o jasnych włosach, której kruchość wyczuł już po pierwszym spojrzeniu. Czyż bez niego nie uderzałyby się o kanty wszystkich mebli? Jak mogłyby bez niej poznać tajemnice tego miasta i tego życia? To co przeżyli razem było nieporównywalne, więc on biegał alejkami w poszukiwaniu Elvire. W oddali rozpoznał jej sylwetkę. Jej ruchy były szybkie, lecz nie sprawiała wrażenia, iż naprawdę ucieka. Można się było domyślić, że pragnie zostać złapana, więc pobiegł szybciej, żeby miała przyjemność z odniesionego zwycięstwa.

- Nienawidzę cię - powiedziała kiedy znalazł się koło niej.
- Wiem o tym.
- Nienawidzę cię. Czego chcesz jeszcze? Nienawidzę cię!
- A ja nie.
- Och! Ty jesteś niezdolny do jakichkolwiek uczuć.
- Oczywiście proszę Pani. Jestem starym dzikusiem i szoferem Pani.
- Nie potrzebuję szofera. Złapię taksówkę.
- Wiem, że Pani mnie nie potrzebuje. Lecz zaczyna być Pani zimno, a ja położyłem na tylnym siedzeniu limuzyny Pani sweter. Będzie go Pani potrzebowała.

Powiedziała, że nie jest jej zimno, a on wiedział, iż to nieprawda. Pograżali się nieodparcie oboje w tę dziwną muzykę, w ich własną muzykę, ze wszystkimi kiksami i

dysonansami i z tymi ulotnymi momentami pełnej harmonii, która załamywała się już przy kolejnym taktie.

Alassane otworzył drzwiczki, a Elvire zgodziła się usiąść u jego boku. Oparła głowę o zagłówek i z oczami zagubionymi w mroku wyruszającym na podbój World Trade Center, powiedziała: „Jedź, jedź. Tak bardzo kocham noc.”